JOSIE KALB



I.J. SINGER.

JOSIE KAŁB

I. J. SINGER

JOSIE KAŁB

WARSZAWA — 1934

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I.

W wielkim galicyjskim dworze cadyka reb Mełecha z Mieszawy gwarnie szykowano się do wesela córki rebego, Serełe.

Cadyk reb Mełech spieszył się bardzo z wydaniem zamąż swej najmłodszej córki.

Był to człowiek gwałtowny, ów cadyk reb Mełech. Sześćdziesięciokilkoletni, opasły, z wielkim brzuchem, nad którym długi, żółtawy, turecki „tałeskuten" wzdymał się, jak u kobiety w końcowym okresie ciąży, jurny był mimo to i pełen wigoru. Jego wyłupiaste piwne oczy spoglądały wokół tak przenikliwie, że zdawały się niemal wyskakiwać z orbit. Poprzez gęstwinę jego brody i pejsów, poprzez całą gmatwaninę zarostu na szyi i sfałdowanym karku, widać było jak się w nim krew burzyła, jak tryskały z niego zdrowie i energja.

Zapalczywy, głośny, o nadętych, zmysłowych wargach, nieustannie ssących grube, dymiące czy zgasłe cygaro, uparty był i despotyczny. Gdy się na coś uwziął, to dopóty poganiał i napędzał, aż swoje osiągnął.

Tak i z wydaniem córki zamąż pędził naoślep. Nie myślał nawet o przeczekaniu Zielonych Świąt, lecz wyznaczył ślub na trzydziesty trzeci dzień Długiej Pokuty, która wypełnia okres, dzielący Zielone Świątki od Wielkanocy.

Ze strony narzeczonego, syna cadyka z Rachmaniówki w Rosji, energicznie przeciwstawiano się temu gwałtownemu pośpiechowi rebego Mełecha z Mieszawy.

Przez cały rok, w ciągu którego trwał okres narzeczeństwa córki Mieszawskiego cadyka, Serełe, z Nachumciem, synem rebego z Rachmaniówki, krążyły listy polecone z cesarsko-królewskiej Galicji do Rosji i zpowrotem. Listy cadyka z Rachmaniówki, pisane kunsztowną hebrajszczyzną, według wszelkich zasad gramatyki, — co słowo to perełka — zmierzały wszystkie do jednego celu: jaknajdalej odwlec przedślubne układy i opóźnić wesele o kilka lat.

„Wasza Wielebność — długich Jej lat życzę — wie doskonale", — pisał cadyk z Rachmaniówki,—„że zarówno narzeczony, jak i narzeczona — oby długo w zdrowiu żyli — są przecież jeszcze dziećmi, mają ledwie po lat 14, a w zwyczaju jest u nas od czasów dziada naszego — oby duch jego obdarzył nas łaską — nie śpieszyć się zbytnio z podobnemi sprawami. Ponadto narzeczony dopieroco rozpoczął, pod kierownictwem uczonego talmudysty rebego Psachje Zwilera, naukę „Jore Dea" i szkoda byłoby zaiste przerywać mu rozpoczęte studja".

Na dworze mieszawskim, prawnucy cadyka z wielkim zapałem odlepiali z kopert znaczki pocztowe z podobizną rosyjskiego cara. Nie zdążył jeszcze cadyk oprawnym w perłową masę nożykiem porozcinać listów, a już chłopcy, śliniąc palce, zdejmowali znaczki zagraniczne.

— Dziadku — pytali wszyscy naraz — który cesarz jest ładniejszy: nasz czy rosyjski?

— Nasz... Bez porównania... — odpowiadał gniewnie, opędzając się kołpakiem od wnuków, cadyk reb Mełech, entuzjastyczny zwolennik c-k. monarchji austrjackiej: — Dajcie mi przeczytać list, próżniaki.

Listów swego przyszłego „mechutena" cadyk reb Mełech nie znosił. Te cyzelowane litery, takie wykwintne i wypieszczone, jak sam ich autor, cadyk z Rachmaniówki, wyprowadzały go z równowagi. Wielu wyrazów, zaczerpniętych z Pisma Świętego, nie rozumiał wcale, omijał je więc, jak się omija kacerskie nowinki. Głównie jednak gniewało go to, że z tamtej strony zwlekano z weselem. Ze złości wsysał się nadętemi, zmysłowemi wargami w zgasłe, wilgotne cygaro i wściekał się na „gabe" Srula Awigdora, że go nie było nigdy pod ręką, by mu cygaro zapalić.

— Srul-Wigdor, krzyczał, choć tamten nie słyszał — Srul-Wigdor, już ja cię nauczę!...

Nie, reb Mełech nie znosił listów swego przyszłego „mechutena". Czuł się mocno dotknięty tem ciągłem odwlekaniem ślubu córki. Od roku już bowiem sam cadyk, reb Mełech był wdowcem. Trzecia jego żona, matka Serele, młoda jeszcze, zaledwie 30-letnia kobieta zmarła ze swem maleństwem na szkarlatynę. Rebemu dziecka nie bardzo było żal, pierwsze bowiem jego żony, które poślubił i pochował, obdarzyły go licznem potomstwem. Synami i córkami. Zwłaszcza zaś córkami.

Cały dwór był pełen dzieci, wnuków, prawnuków. Wszystkie one mieszkały w tym oto wielkim, murowanym, rabinowym gmachu o nagich ścianach i wysokich oknach z blaszanemi, wirowemi wentylatorami wgórze, podobnym raczej do koszarów. Wciąż tu coś dobudowywano, dosztukowywano, wtłaczano nowe mieszkania, całe piętra, tak, by miejsca starczyło dla wszystkich. Dostawiane domki, ganki i oficyny, pozbawione wszelkiego stylu i formy, tuliły się do głównego budyn-

ku i „bóżnicy", jak małe obdarte żebraczątka do starego barczystego, ślepego żebraka. Wciąż odbywały się tu we dworze zabawy, wesela, obrzezania, zaręczyny, gratulacje, konfirmacje, uroczystości pierwszych nauk 5-cioksięgu Mojżesza. Wnucząt we dworze było tak wiele, że sam rebe, człowiek o niebardzo tęgiej głowie, często plątał je z sobą, nie pamiętając, które z nich od którego z jego dzieci pochodzi. Było to we dworze powodem wielkiego rozgoryczenia ich rodziców.

Niebardzo przeto było mu żal zmarłego dziecka. Bardziej ubolewał nad stratą swej żony, rabinowej. Tę trzecią więcej od pierwszych dwóch kochał. Pamięta ją jeszcze, jak młoda była, wesoła i krewka. Przypomina sobie, jak pewnej nocy dziwne mu rzekła słowa:

— Gdybyś nie miał takiej długiej brody — powiedziała — byłbyś jeszcze wcale młody...

Też pomysł kobiety!

Słowa te, choć niezbyt skromne — (poprzednie żony bały go się, odnosiły się do niego z wielkim respektem i, wogóle nie rozmawiały z nim) — te słowa sprawiły mu wielką radość. Zapamiętał je na zawsze. Nawet na pogrzebie, gdy opłakiwał żonę, i opowiadał chasydom o jej bogobojności i cnocie, przyszły mu one, właśnie te słowa, na myśl. I tak się rozszlochał, aż trzęsła mu się broda i pejsy. Chasydzi lamentowali jak baby. Wszyscy sądzili, że po śmierci tej żony cadyk więcej się nie ożeni.

— Bez uroku, w tym wieku... — mawiali do siebie synowie rebego, jak zresztą zwykły mówić ze sobą dzieci cadyków o swych ojcach, którzy zasiedzieli się zbyt długo na swym rabinackim stolcu.

Córki jego, tęgie, rozlane kobiety, mówiły również o tem ze swymi mężami, nie wierząc, by ich ojciec mógł się jeszcze teraz żenić. Ze Świętych Ksiąg, tłómaczonych na żydowski, wiedziały, że żadna żydowska córka nie powinna poślubić mężczyzny, który pochował już trzy żony. Taki mężczyzna zwie się „katlen“, to znaczy katem kobiet.

— Eh, — uspakajały swych mężów, którzy zawczasu już się obawiali nowych spadkobierców — nie wierzymy... Któraż to żydowska córka zechce narażać życie?....

Lecz sam mieszawski rebe miał inne wyrachowanie. Zupełnie inne. Szykował się do ślubu, i to do ślubu z młodą dziewczyną, która mu wpadła w oko.

Wśród rabinów i potomków cadyka, którzy stale jeżdżą do Mieszawy, był syn rabina, reb Mechełe z Chywniewa, który również miał zostać rabinem. Był on jednak jąkałą i głupkiem, tak że własny jego wuj z łatwością zdołał pozyskać sobie wszystkich jego chasydów. Mechełe jeździł przeto po świecie, zbierając jałmużnę, i od czasu do czasu wpadał do Mieszawy. Otóż u tego rebego Mechełe z Chywniewa wychowywała się jego krewniaczka, sierota, również rabinowa wnuczka, dziewczyna biedna, bez posagu.

Zawsze, ilekroć reb Mechełe żegnał się z cadykiem z Mieszawy, wręczając mu kwitek z wypisaną nań prośbą, wspominał tam o swej sierocie. O dobrą partję dla niej prosił w tym kwitku reb Mechełe. I mieszawskiemu cadykowi utkwiło to w pamięci.

Tę dziewczynę on sam sobie swatał.

Zupełnie niespodziewanie począł serdeczniej podejmować jąkałę, na którego dotąd najmniejszej nie

zwracał uwagi. Przy stole podsuwał mu najlepsze cząstki, ‚szrajim“, osobiście podawał kilkakrotnie wino, polecił swemu gabemu sadzać go na zaszczytnem miejscu, pomiędzy wyróżnionymi gośćmi. Na pożegnanie, zamykał się z nim w oddzielnym pokoju, częstował go cygarem. Pewnego razu przy podobnej okazji podarował mu nawet swą bursztynową cygarniczkę.

— Palisz w zwyczajnej cygarniczce, jak posługacz kąpielowy — rzekł mu — eh, nie wypada nawet... synowi rabina...

I zaraz potem przystąpił do rzeczy.

— Jestem jeszcze, chwała Bogu — powiedział, wybałuszając na jąkałę swe wyłupiaste oczy — w pełni sił; powiedz tej dziewczynie, że będzie miała jeszcze, z boską pomocą, dorodnych synów. I niech się nie obawia poślubić „katlena“, gdyż nie jest to żadne prawo, tylko zwyczaj, i w dodatku niemądry zwyczaj. Ja w to nie wierzę, ja...

Z przyjemnością przytem cmoknął kilkakrotnie, pociągając z wygasłego cygara, chwycił jąkałę za wyliniałę brodę i szybko wyrzekł:

— A wy będziecie moim „mechutenem“. Przy moim stole będziecie zasiadać.

Słowo „mechuten“ tak wzruszyło biednego kalekę, że pozwolił się wodzić za brodę rozpromienionemu rebemu Mejłechowi. Z radości cadyk biegał po pokoju, nie wypuszczając z ręki brody jąkały.

— Myślę właśnie, że jest to zupełnie w porządku — wyrzekł jąkała jednym tchem, nie zająknąwszy się nawet.

Dodało mu to takiej odwagi, że naraz spróbował przytoczyć świetny przykład, który słyszał zwykle od

ojca swego, gdy temu przedstawiano dogodną jakąś propozycję: „Garnek koszerny i koszerna miska“.

Lecz przy tych słowach zaciął się tak mocno, że omal nie udławił się trudnemi wyrazami. Wtedy wreszcie rebe puścił jego brodę, biorąc w rękę — własną.

Zapytać o zdanie narzeczonej rebemu nie przyszło nawet na myśl. Wiedział bowiem, że jest sierotą, bez centa posagu, którą przygarnął wuj, również nędzarz, i że będzie uważała sobie za szczęście zostać żoną rabina mieszawskiego.

Jedyną przeszkodę stanowiła dla rebego Mełecha jego najmłodsza córka, Serełe, jedynaczka po zmarłej trzeciej żonie. Ożenić się przed wydaniem jej zamąż nie mógł. Podrażniłoby to wszystkich synów i córki, zakotłowałby się cały dwór. I chasydom nie poszłoby to w smak. Broń Boże, nicby nie powiedzieli. Uważaliby, że tak być powinno, lecz do sercaby im to nie przypadło. Dlatego też śpieszył się bardzo z wydaniem czemprędzej Serełe zamąż, by zaraz po jej ślubie, samemu, poraz czwarty stanąć pod baldachimem z dziewczyną-sierotą.

— „Urodziwa“, — określił mu jąkała dziewczynę, — „piękna, jak świat“ — mówią kobiety.

Choć jej nigdy nie widział, wyobrażał ją sobie jako podobną do swej ostatnio zgasłej żony, za którą tęsknił bardzo. Toteż gorączkowo kończył przedślubne ugody o swą córkę.

W liście do rebego z Rachmaniówki sam mu był podsunął myśl o tem małżeństwie. Gdy ten odpowiadał półsłówkami, nie zwlekając wyjechał zobaczyć się z nim w Karlsbadzie, dokąd, chory na kamienie żółciowe, cadyk z Rachmaniówki udawał się rokrocznie na ku-

rację. Napozór wyglądało to tak, że rebe mieszawski niby to czuje się nietęgo i że kąpiele pójdą mu na zdrowie. A podczas spacerów na wodach tak długo gardłował, z taką zapalczywością i zawziętością wgadywał to małżeństwo w rebego z Rachmaniówki, aż gwałtem wymusił na nim zgodę. Nawet osobistej swej godności nie oszczędzał przytem mieszawski rebe. Choć wiekiem starszy od cadyka z Rachmaniówki i mający o wiele większą ilość chasydów-zwolenników, poniżał się przed tamtym, przyrzekał znacznie grubszy posag, niż pozostałym swym córkom.

— Nno — wzdychał — niech już będzie jeszcze jeden tysiączek. Skoro wy macie chłopca, to wy jesteście górą.

Rebe z Rachmaniówki skrzywił się na te słowa.

— Górą... Ee... — bąknął. — Górą... Co za określenie...

Cadyk z Rachmaniówki był kontrastem rebego z Mieszawy.

Wysmukły, o miękkiej szpakowatej bródce, schludnej i lśniącej jedwabiście, o głębokich czarnych mistycznych oczach, o jakby rzeźbionej prześwietlonej twarzy, o chorobliwej oliwkowej cerze i wąskich, wydłużonych palcach, igrających nerwowo, a przecież spokojnie, z małą złotą tabakierką, w śnieżnobiałym sztywnym kołnierzu rabinowym na matowo - jedwabnej, dobrze skrojonej kapocie — odcinał się wyraźnie od swego mieszawskiego „mechutena".

O ile mieszawski rebe, przez swe gęste owłosienie i obrzękłą tuszę, był pośmiewiskiem uliczników, którzy mu wymyślali od kozłów - baranów, wołając za nim: „Cap, cap!.. Meee", — o tyle cadyk z Rachmaniówki

wzbudzał ogólny podziw. Jasnowłose wiedenki pożerały go oczami.

— „Ah, wie herrlich sieht dieser Wunderrabbi aus!“ — mówiły jedna do drugiej.—„Mężczyzna o takich ciemnych oczach potrafi kochać do szaleństwa. — „Nicht wahr?“

Cadyk z Rachmaniówki nie znosił swego „mechutena“. Wstydził się go nawet. Znieść nie mógł jego dzikich wybryków, cmokania cygara, ciągłego spluwania, rozwichrzonej, atłasowej kapoty, kołtuniastej brody i pejsów. Nie cierpiał jego ochrypłego głosu, wymachiwania rękami, niechlujnego wysławiania się, całego tego owłosionego cielska, zalatującego ostrą wonią potu, „mykwy“, rzemieni od „tefilin“, ciasta domowego wypieku i miodu.

W rozmowie z cadykiem z Rachmaniówki reb Mełech gestykulował gwałtownie, deptał mu po nogach, przypierał go co chwila swym wielkim brzuchem do coraz to innego drzewa, chwytał go za guziki, szturchał łokciami, zabiegał mu drogę, choć miejsca było poddostatkiem, obijał mu boki, powtarzał dziesięć razy tę samą myśl, połykał słowa, opryskiwał go śliną i chwytał raz po raz za wypieszczoną bródkę.

Już choćby tylko dlatego, by go się wreszcie pozbyć, zgodził się rebe z Rachmaniówki na małżeństwo. Znieść już nie mógł ciągłego targowania się o posag i podarunki ślubne, tego dzikiego cielęcego zachwytu, a szczególnie owych zalatujących od cadyka z Mieszawy zapachów. Podczas całej rozmowy, cadyk z Rachmaniówki ani na chwilę nie odejmował od nosa swej złotej tabakierki.

— Aa, aa — upajał się — co za aromatyczna tabaka!

Na małżeństwo przystał, lecz z wyznaczeniem terminu ślubu zbytnio się nie śpieszył. A rebe mieszawski nie przestawał zarzucać go listami. Cadyk z Rachmaniówki znał dobrze powody tego pośpiechu. Motie-Gudł, jego „gabe“, złośnik o ostrym jastrzębim nosie, zacięty przeciwnik cadyków galicyjskich, doręczając swemu rebemu listy z Mieszawy, drwił sobie zawsze z tamtego „mechutena“.

— Śpieszy mu się do ślubu, temu mieszawskiemu — mawiał — ta dziewczyna nie daje mu się modlić spokojnie. Nie dziwota... po trzech żonach... taka praktyka...

Rebe skrzyczał swego „gabe“.

— Zbyt złośliwy jesteś, Motie — strofował go, — twój język zaprowadzi cię do piekła.

Lecz Motie-Gudł wiedział, że w rzeczywistości cadyk jest z jego słów zadowolony. Rebe nie chciał osobiście czytać listów swego „mechutena“, lecz dawał je do odczytania swemu „gabe“. Nawiasem mówiąc, zazdrościł nawet tego małżeństwa staremu. W tym wieku z tak młodą dziewczyną...

— Oby słowa moje nie były grzeszne — mawiał do swej żony, kobiety chorowitej, bladej, nerwowej, o pergaminowej cerze, na której dziedzictwo wielu pokoleń rabinów wycisnęło swe chorobliwe piętno — ale czemu się tak pali ten mój „mechuten“? Dobre to dla młodego wdowca....

Lekko westchnął przytem kilkakrotnie.

Małżonka jego, kobieta wyjątkowo mądra, o prawdziwie męskim rozumie, o niezwykle subtelnej intuicji,

która cechuje istoty chorowite, wyczuła w słowach męża odcień zawiści do „mechutena“. I uraziło ją to w samo serce. Przygryzła blade wargi i cichutko wycedziła:

— Niech robi, co chce. Ja mego Nachumcie do Galicji nie poślę. Przecież to dziecko jeszcze... niema się czego śpieszyć.

Cadyk z Rachmaniówki odpisywał swemu „mechutenowi“ kunsztowne listy, — co słowo to perełka, — starając się nie wykazywać mu swej niechęci. Przeciwnie, zasypywał go wielkiemi, przesadnemi tytułami oraz mądremi cytatami i przypowieściami z Talmudu, ale wykręcał się od ostatecznej odpowiedzi.

Oboje, ojciec i matka, choć nic o tem z sobą nie mówili, wiedzieli dobrze, że jeszcze zawcześnie żenić Nachumcie. Podobny do ojca, wysoki, smukły, delikatny jak młoda dziewczyna, Nachumcie był chłopcem nerwowym i przeczulonym, jak jego matka oraz wszyscy przodkowie tego szlachetnego rodu cadyków. Był przytem zagadkowy, pociągała go Kabała. Nie pomagały perswazje ojca, który usiłował go przekonać, że trzynastoletni chłopak powinien raczej zajmować się talmudem, nie zaś kabałą — Nachumcie nie ustępował. Zamykał się samotnie w pokojach, by mu tam nikt nie przeszkadzał i zagłębiał się w tajemniczych, mistycznych studjach. Dziwnemi chadzał drogami ów młody Nachumcie. Milczek, zamknięty w sobie, spoglądał wokół wielkiemi rozwartemi oczyma, nie widząc przytem nic, co się dokoła niego dzieje. Tajemnie szykował się nawet do wielkich jakichś spraw. Wyczytał gdzieś o kabaliście A-Ri, który zaklęciami wywoływał żywe gołębie, i chciał mu w tej sztuce dorównać. Chodził często

do „mykwy“, powtarzał dziwaczne imiona aniołów i uprawiał posty.

Ojciec usiłował odciągnąć chłopca od tych praktyk Cadyk, człowiek o usposobieniu raczej świeckiem, smakosz i wygodniś, esteta, zrozumieć nie mógł skrytośc chłopca, jego zaparcia się samego siebie i uporu.

— Musisz wiedzieć, Nachumcie — rzekł kiedyś do niego — że dziadek twój, — niech pamięć jego spłynie na nas w łasce — zwykł był twierdzić, że głuptaski nawet w niebie nie są mile widziani...

Wcale nie miał ochoty odsyłać go do Mieszawy, d tych krzykaczy i świętoszków. Obawiał się, że dopier tam chłopiec się wykolei i wyrośnie na dzikusa.

Matce małżeństwo to również nie przypadało do serca. Nieraz jej jedwabna chusteczka mokra była od łez gdy Nachumcie pościł lub chodził, jak błędny. W dodatku, będąc zagranicą, miała możność przyjrzeć si jego przyszłej żonie, Serełe. Podobna do ojca, jeszcz jako trzynastoletnia dziewczyna, była już dojrzała krewką kobietą. Miała silne nogi, rude włosy, mocn zęby i tak wydatny biust, że nawet piersi rabinow w okresie karmienia Nachumcie nie mogły mu dorów nać. Przypomina to sobie teraz zupełnie wyraźn Pożerała narzeczoną oczyma istoty duchowo-wyższ oczyma, które na zwykłe kobiety spoglądają z zadr cią o ich wybujałą kobiecość.

— Tfu, tfu — udawała często, że pluje, by w t sposób uchronić ją przed złym urokiem — bez urok co za dziewczyna...

Porównywała ją z Nachumcie, z tym delikatnym i subtelnym chłopcem, i jej matczyne serce cierpiało.

— Oby tylko byli szczęśliwi — szeptała — takie to eszcze delikatne...

Pragnęła szczerze i otwarcie rozmówić się z mężem, ecz wszyscy tu byli zbyt subtelni, by nazywać rzeczy po imieniu. Zresztą rozumiano się bez słów. Rabinowa w liście do swego „mechutena" odważyła się nawet dopisać kilka słów o swem przywiązaniu do „dziecka".

W pięknej, godnej uczonego mężczyzny, hebrajszczyźnie pisała o swym Nachumcie i zakończyła biblijnym cytatem, słowami Jehudy do brata jego, wicekróla Józefa, o Benjaminie, którego ten odważył się zatrzymać w Egipcie.

„A dusza moja jest związana z jego duszą".

Lecz rebe mieszawski nawet czytać nie chciał, co pisze kobieta.

— Wasza Wielebność wie — donosił swemu „mechutenowi", nawet słówkiem nie wspominając o dopisku jego małżonki, wywodząc słowa niekształtne, równie niedbałe i rozstrzępione, jak on sam, mieszawski rebe, — słowa, w których roiło się od błędów, opuszczeń i urywanych końcówek — że w zwyczaju u nas est jeszcze od pradziadów, nie zwlekać ze ślubem dłuej niż rok. Co się zaś tyczy studjów nad „Jore Dea", tóre narzeczony — oby długo żył — rozpoczął pod ierownictwem swego wykładowcy, to nie mogą one anowić przeszkody, ponieważ po pierwsze nie brak, hwała Bogu, w Mieszawie uczonych Żydów, po drugie zaś mógłby wykładowca przybyć wraz z narzeczonym do Mieszawy i przebywać we dworze tak długo, jak mu się żywnie będzie podobało."

Jednocześnie nadszedł złoty zegarek dla narzeczone-

go; ciężki, gruby, z podwójnym łańcuszkiem, jakie zwykli na opasłych brzuchach nosić dorobkiewicze.

Obaj „mechuteni“ oszukiwali się wzajemnie, urągali sobie zaocznie, pisali przesadne, pełne zachwytów listy i poznawali się na swych wzajemnych podstępach. Innego wyjścia jednak nie było. Rebe mieszawski, dzikus i uparciuch, nie dał się zbić z tropu. Wysyłał telegramy, posłańców. Niemożliwe było unieważnić ugody małżeńskie. Co świat na to powie? I cadyk z Rachmaniówki, łagodny i pełen umiaru, nie znoszący udręczeń i zmęczony tumultem mieszawskiego rebego, prędko dał za wybranę i zgodził się na przyśpieszenie terminu ślubu.

— Lepiej jest ciąć pergamin — niż drzeć papier...— odezwał się do żony.

Nie musiał jej, tej mądrej głowie, tłómaczyć, co miał na myśli: że lepszy rozwód, niż zerwanie zaręczyn. Jej zaś zależało przedewszystkiem na jednej rzeczy: odwlec wesele przynajmniej do końca lata, by wraz z synem skorzystać z dobrodziejstw zagranicznych kurortów, pokrzepić trochę narzeczonego, a po drodze zasięgnąć porady u wiedeńskiego profesora. Ale mieszawski rebe i na to przystać nie chciał.

— Wasza Wielebność wie — pisał — że zwyczajem u nas, jeszcze od pradziadów, wesela są odprawiane w 33-cim dniu święta „Długiej Pokuty“.

I uroczystości weselne zostały wyznaczone na ów dzień.

Rozdział II.

Zaraz po Wielkanocy, na kilka tygodni przed weselem, rojno i gwarno było na dworze mieszawskim.

Uczniowie „Jeszybotu“ zawczasu już, jak zwykle przed uroczystością, przerwali naukę, włóczyli się bezczynnie i docinali sobie nawzajem dwuznacznemi dowcipami. Dopiero pod wieczór, spodziewając się wizyty cadyka, sięgali po naddarty talmud, udając hałaśliwie, że pilnie studjują.

Pieczeniarze, stali „stołownicy“ dworu, odżyli naraz, poczuli się u siebie w domu. Zdzierali wprost skórę z wiejskich Żydów, którzy przyjeżdżali po błogosławieństwo do cadyka. Rzucali się poprostu na kobiety, powracające od rebego. Z krzykiem „oby się spełniły wasze życzenia“, wywoływali taki rwetes, że niewiasty, nie krępując się, na ich oczach sięgały za staniki, podnosiły spódnice i ze zwiniętych w obwarzanek pończoch wyciągały węzełki, ofiarowując im miedziaki.

— Cóż wy sobie myślicie — krzyczeli — groszaki dajecie. — Co?!...

Targowali się, życzyli szczęścia i zdrowia, zabierali kobietom ostatnie pieniądze, nie pozostawiając im nawet na zapłacenie furmanki. Wykradali u skąpych a bogatych nowożeńców woreczki z „tałesem“ i u szynkarzy zastawiali je za miarkę miodu. Wciąż pętali się koło kuchni, gotowi każdej chwili „chapnąć“ jakiś tłusty kąsek.

Starsi pieczeniarze, o wielkich wzdętych brzuchach i gęstych brodach, nawet w powszednie dni nie zdejmowali z siebie postrzępionych, sobotnich atłasowych

kapot, i w trzynasto-kątnych kołpakach, po kozacku na bakier, paradowali jak w święta.

Modlono się w pośpiechu, opuszczając całe ustępy, jak czasu świąt „Symchat Tora“. Modlitw pokutnych wogóle tu nie odmawiano, zawsze bowiem szykowano się do jakiejś uroczystości. Zawczasu już z miast i miasteczek przybywało coraz więcej darmozjadów. Próżniacy, korzystając z okazji, pozostawiali żony i dzieci i śpieszyli do Mieszawy na wyżerkę.

— Mazeł tow — winszowali sobie, jak „mechuteni“, przy każdym kieliszku wódki, przy każdej szklaneczce miodu — oby nam szczęście zawsze sprzyjało!

Dworskie kuchnie dymiły, smażono tam i wytapiano smalec. Synowie cadyka korzystali z zamieszania; każdy zosobna udawał rebego, podejmował chasydów, rozdzielał „szirajim“, popijał wino i komentował Talmud. Każdy starał się pozyskać jaknajwiększą ilość zwolenników. Każdy miał na swe usługi służbę rabina, która stała na czatach, pilnując, by nie wpadł tu przypadkiem ojciec i nie zobaczył, jak właśni synowie już za życia rebego dzielą się jego uprawnieniami. Kucharki gotowały i harowały bez ustanku. „Gabe“ Srul-Awigdor przystawił im do pomocy gromadę biedniejszych pieczeniarzy, włóczęgów, niezdarnych i niezaradnych, chudych, o wyskubanych bródkach i wyliniałych pejsach, w małych zatłuszczonych kapeluszach.

— Do kuchni! do kuchni! — ciągnął ich za kołnierze kapot gabe Srul-Awigdor — Bóg ma dość waszych psalmów! Idźcie obierać kartofle.

Znosili drzewo z komórek, wodę ze studni, czyścili cielęce nóżki, myli wołowe żołądki, tarli ostry chrzan. Z zaczerwienionych oczu spływały im łzy po zapad-

łych policzkach. Służącym, rozczochranym podstarzałym dziewczętom, o olbrzymich piersiach, przecierających dziury w bluzkach, o kołyszących się biodrach, na krótkich żydowskich nogach, policzki lśniły od ciągłego gotowania i objadania się. Tłustemi ramionami w zakasanych rękawach ugniatały w wielkich miskach ciasto. Dmuchały w ogień, grzebały w garnkach, parzyły sobie palce i złościły się na swych pomocników, oraz na wałęsające się psy i świnie sąsiadów-gospodarzy, które w żaden sposób nie chciały ustąpić, wyłapując co chwila kości, jelita i odpadki drobiu. Choćby nie wiem jak zlewano je gorącemi i zimnemi pomyjami, otrząsały się tylko i znów upartcie czekały.

— Hej, mężczyźni — wrzeszczały służące — a przepędźcie no te psy i świnie!...

Lecz mężczyźni bali się psów i brzydzili się świń. Wołali tylko zdaleka:

— A ciu... a pudzies!...

A gabe Izrael-Awigdor był poprostu wniebowzięty. Krępy, o twarzy pełnej wągrów i piegów, z czerwoną ognistą brodą i pejsami, mimo jedwabno-atłasową kapotę wyglądał gminnie i znać w nim było dawnego posługacza, który potrafił jednak tak mocno ująć w ręce cały dwór, że wkrótce awansował na głównego powiernika rebego. Jego rozwarte nozdrza były zawsze pełne tabaki, a czerwone, owłosione ręce sięgały wszędzie. Tu wytargał za uszy jakiegoś chłopaka, że nie siedzi kamieniem i nie uczy się, tam znowu jakiemuś biedakowi nasunął kapelusz na oczy, to znów wlazł swemi zabłoconemi butami na stół między święte księgi, aby pokazać posługaczowi, że szkiełka od lamp są zakopcone.

— Ty, batiaru jeden — warczał — tak się czyści szkiełko? chodźno tu, a nauczę cię, jak czyścić należy...

Ujął przytem połę kapoty posługacza i wytarł nią sadzę.

Raz strofował chłopaków za to, że nie uczą się, sypiąc przytem prostackiemi, przekręconemi cytatami z Biblji, innym razem wpadał do kuchni, zaglądał do wielkich garnków, zręcznie wsunął rękę pod spódnicę służącej, a jednocześnie demonstrował swe przywiązanie do dworu.

— Dolać wody do grochówki! — krzyczał na służące — poco taka gęsta? Te darmozjady, te żarłoki jeszcze sobie zęby połamią na takiej gęstej zupie...

Do cadyka nawet nie zaglądał, chyba gdy wprowadzić miał chasydów, przybywających z podarunkami, i samemu coś przytem skorzystać. Ilekroć wołał go rebe, gdy mu zgasło cygaro, nigdy go nie było. Cadyk aż się pienił ze złości, krzyczał, że go przepędzi, lecz Izrael-Awigdor nic sobie z tego nie robił.

Cadyk bardziej go potrzebował, niż on cadyka.

Nikt tak dobrze nie był obeznany z dworem, jak gabe. Nikt prócz niego nie znał tak dobrze wszystkich biesiadników. Wiedział, ile flaszek wina z dworskiej piwnicy należy postawić przed każdym gościem, nie pytając go się wcale, czy sobie tego życzy, czy nie. Zwyczajowo bowiem goście zmuszeni byli kupować wino u Izraela-Awigdora w podarunku dla rebego. Orjentował się, jak i gdzie kogo usadowić, zwłaszcza zaś bogaczy, — by nikt nie czuł się obrażony. Wiedział, komu podsunąć obfitą porcję, a kogo zbyć drobnostką. Potrafił powstrzymać największy tłum u drzwi cadyka i wpuścić tylko bogatych i zasłużonych. W dro-

dze, gdy rebe wyruszał na zbiórkę pieniężną, był niezastąpiony. Umiał tak nastraszyć chasydów, dyktować takie sumy, że nie odważali się sprzeciwiać

— Powiadam ci, jak jestem Żydem, że nadarzyła ci się nielada gratka, — szeptał każdemu w ucho — możesz mi postawić flaszkę miodu...

Z władzami był również w dobrych stosunkach. Zawsze uzyskiwał dla cadyka osobny przedział w wagonie. Od dziedziców wydostawał karety dla rebego. Gdy wypadało mu wyjeżdżać z rebem na jakąś uroczystość u innych cadyków, on, Izrael-Awigdor, umiał tak się postawić, narobić tyle hałasu, że natychmiast jego cadyk stawał się panem obcego domu, a miejscowi rabini z ich „gabe“ mieli miny zaproszonych gości. Z tymi „gabe“ obchodził się, jak z posługaczami. Najważniejsze jednak było to, że za dobrze poprostu już wiedział, co się dzieje we dworze; znał wszystkie intrygi, tajemnice domowe, rodzinne spory. Wślizgiwał się wszędzie tak łatwo, że pewnej soboty po południu, zaraz po obiedzie, niespodzianie zastał rebego z jego trzecią żoną w niedwuznacznej pozycji...

Broń Boże, nie przyłapał ich na żadnym grzechu. Wszakże byli małżeństwem! Ale od tej chwili spoglądał cadykowi prosto w oczy, rzucał złodziejskie spojrzenia, przestał mu usługiwać i udawał, że nie słyszy jego krzyków:

— Srulwigdor, już ja cię napędzę!...

Teraz, przed weselem Serełe, zupełnie zaniedbał cadyka. Nawet nie zaglądał do niego, posyłając tam swych pomocników. Ciągle popijał miód z chasydami, zażywał mocną tabakę, kręcił się w kuchni wśród dziewuch tak zręcznie, by nikt się w tem nie połapał.

W dzień ślubu zjechało się tysiące chasydów. Krakowscy bogacze wynajmowali całe wagony, modlili się w pociągu, tańczyli, śpiewali, popijali i opowiadali sobie o cudach cadyków . Chrześcjan i Żydów postępowych o ogolonych brodach nie wpuszczano wcale. Chasydzi częstowali konduktorów, którzy pili zdrowie cadyka. Nietylko konduktorzy-żydzi zamienili niemiecki język na żydowską, soczystą galicyjską gwarę, lecz nawet Polacy i Rusini poczęli mówić po żydowsku. Ubodzy chasydzi wlekli się piechotą, czepiali się przygodnych furmanek, przy wtórze siarczystych przekleństw woźniców obrywając batem. Wszystkie mieszawskie zajazdy i prywatne pokoje, stajnie, komórki i strychy były pełne przybyszów. Żebracy ciągnęli ze wszystkich stron.

Uczniowie „Jeszybotu" nie mogli doczekać się Zielonych Świąt i wbrew zwyczajowi kąpali się w rzece w okresie Wielkiej Pokuty. Wytrenowani pływacy, wykazywali swą sztukę w crawl'u, na desce i hałasowali jak w łaźni:

— Aj, dobrze, aj, świetnie jest, Żydzi...

Zaraz po kąpieli cała gromada udała się do dworu, by w wielkiej kuczce przebrać się za kozaków. Na każdem dworskiem weselu w Mieszawie chłopcy i młodzieńcy przebierali się za jeźdźców, dosiadali koni i na spotkanie narzeczonego cwałowali do stacji, oddalonej o kilka kilometrów od miasteczka.

W dworskiej kuczce, między rupieciami i sprzętami, poniewierały się stosy wojskowych mundurów, które od jednego wesela do drugiego pokrywały się pleśnią. Chłopcy wciągali długie, wąskie spodnie z lampasami, narzucali huzarskie surduty, których szamerowanie,

błyszczące guziki i pstrokate wyszycia tworzyły istny galimatjas stylów: mieszaninę węgierskich huzarów, operetkowych kawalerzystów i staropolskich piechurów z czasów Sobieskiego. Szczególnie cudaczne wydawały się futrzane czapy o długich czarnych końskich kitach. Cherlawe figurki typowych uczni Jeszybotu, na których ubranie wisiało, jak worek, o rozczochranych bródkach i zwisających pejsach, wyglądały jak Turcy, których pokazuje się w bałaganach po małych miasteczkach.

Wszyscy furmani i gospodarze żydowskich zajazdów przyprowadzili swe konie dla tych „kozaków". Małe, zmęczone szkapiny ze spuszczonemi łbami i oblepionemi sieczką chrapami, oderwane przed chwilą od lepkiego, smacznego obroku, broniły się przed „kozakami", którzy usiłowali wgramolić się na ich ostre, garbate grzbiety. Nie ruszały z miejsca. „Kozacy" szarpali za cugle i, by nie spaść, kurczowo trzymali się końskich grzyw.

Kilku chasydów wtoczyło do opustoszałej kuczki beczkę, używaną do kwaszenia barszczu na Wielkanoc. Inni wnosili z kuchni kubły gorącej wody i wlewali do beczki, a godniejsi i bardziej poważani goście, bogacze i uczeni, wyciskali sok z cytryn do beczki i z woreczków sypali cukier do wody. Tak robiono „punsz", słynny mieszawski „punsz" na wesele. Sprzeczano się, wydzierano sobie z rąk cukier i cytryny, a każdy uważał się za jedynego wytrawnego, powołanego punszmistrza.

— Daj, ja ci pokażę, pokrako! — przezywano się wzajemnie bez obrazy.

Wszyscy dolewali wody, wyciskali cytryny, kosztowali i mlaskali językiem:

— Żydzi, — zachwycano się — to nie punsz, to nektar!...

Przed dom zajechała kareta, zaprzężona w cztery siwki „na szpic". To hrabia Olcha przysyłał na każde wesele we dworze swą karetę dla narzeczonego. Za to cadyk polecał swym chasydom, by głosowali na hrabiego podczas wyborów do parlamentu austrjackiego. Stangret, olbrzymi chłop o długich płowych wąsach, które wrastały mu w bokobrody, wychylił kieliszek, zagryzł piernikiem, wyniesionym ze dworu, i trzasnął długim biczem po wszystkich starych „kozackich" szkapach, że aż się rozbrykały, jak za młodych lat.

— Żywo, żydowskie wojsko! — krzyknął na przestraszonych „kozaków", kurczowo trzymających się końskich grzyw. — Hej, tate — mame! naprzód, marsz!...

I ruszył z miejsca na gościniec tak ostro, że wnet wszystko znikło w słońcu i w gęstych tumanach kurzu. Nie było już widać wystraszonych spojrzeń jeźdźców, w których oczach niepozorne szkapiny urastały w galopie do olbrzymich rozmiarów; nie było już słychać krzyków młodzieńców, którzy ze strachu odmawiać poczęli modlitwy. Tętent kopyt końskich i trzask batów zagłuszyły wszystko dokoła. Gdy pociąg nadszedł, jeźdźcy ze śpiewnym okrzykiem pocwałowali ku narzeczonemu.

— Niech żyje pan młody! — krzyczeli, ściskając mu wszyscy naraz rękę. — „Szolem alejchem!"

Narzeczony, znużony drogą, zaniepokojony obcem i nowem otoczeniem, zdumiony cudacznemi zjawami, jakich w Rachmaniówce nigdy nie widziano, stał oszołomiony i blady. Dużemi, czarnemi źrenicami, które

zdawały się być większe w ciemno-niebieskich kręgach pod oczami, spoglądał na obce mu zbiegowisko, ścisk, tłum i wstydził się objawów oddawanej mu czci i otaczającego go zgiełku. Zmęczyły go uściski gorących i spoconych rąk, które wprost gwałtem mu się narzucały. Końcami palców swej długiej, chłopięcej ręki ledwie dotykał tego kłębowiska dłoni.

— Powoli, powoli! — ostrzegał gabe Motie Gudł z Rachmaniówki, rzucając gniewne spojrzenia na tłum. Wróg galicyjskich cadyków i ich otoczenia, zawczasu już patrzał nienawistnemi oczyma na tych austrjackich niechlujów. Jego mocno zakrzywiony nos zaostrzył się, jak u jastrzębia, co zdala dostrzegł swą zdobycz. „Kozacy“ nie słuchali go, pchali się jeszcze bardziej i Motie Gudł zabrał się do uczenia ich respektu.

— Nie pchajcie się, bydlaki! — łajał siarczyście — łobuzerja!

Izrael-Awigdor odrazu podchwycił słowa przybysza i w jednej chwili utarł nosa tej rosyjskiej świni, co przyszła rządzić się w Mieszawie.

— Szacunek dla Żydów! — wołał — łobuzów jest pełno w Rachmaniówce, w Mieszawie są tylko Żydzi pobożni i godni poważania.

Obydwaj zaperzyli się. Nos Motie Gudł stał się tak czerwony, jak broda Srul-Awigdora. Już zawczasu znienawidzili się, patrząc na siebie, jak dwa koguty przed walką.

— Szpaler dla pana młodego, szpaler — rozkazywał Motie Gudł.

Narzeczonemu plątały się nogi; patrzał swemi dużemi, dziecinnemi, pełnemi strachu oczami na tłum i zupełnie stracił kontenans.

Krótka jedwabna kapotka, skrojona na miarę, małe połyskujące buty, śnieżnobiały, wykładany, wyprasowany kołnierzyk, odcinający się od błyszczącej czerni jedwabnego stroju, pół rabinowy, pół świecki kapelusik na głowie, czyniły go jeszcze szczuplejszym, bardziej dziecięcym, niż był w istocie.

Matka jego, rabinowa z Rachmaniówki, ubrana według ostatniej mody, w kapeluszu, jak dama, podeszła do narzeczonego i maleńką chusteczką koronkową wytarła mu zroszone potem czoło, czyniąc to tak delikatnie i pomacierzyńsku , jakgdyby syn jej był nie w przededniu ślubu, lecz wciąż jeszcze maleńkiem dzieckiem.

--Nachumcie — rzekła — oby na mnie spadło wszelkie zło, jakie ciebie spotkać może, moje drogie dziecko!

Chasydzi usłyszeli, co powiedziała, i utkwiło im to w pamięci; dotknęły ich te słowa, nie podobał im się strój rabinowej, niespotykany nietylko u rabinów, lecz nawet u świeckich Żydów; bardziej jeszcze obrażał ich jej sposób zachowania się wobec narzeczonego.

— „Litwaki“ — mówili sobie w duchu Żydzi galicyjscy, którzy uważają wszystkich z tamtej strony granicy za „litwaków“. Przez chwilę dręczyła ich myśl o Mieszawie, która brata się z Rosją. Milczano jednak, wierząc, że prawdopodobnie tak być powinno.

Jedynie stangret, kręcąc wąsy, popatrzył na narzeczonego okiem znawcy i głośno zaopinjował.

— To dopiero narzeczony — odezwał się do konduktorów i tragarzy, kiwając głową—taki młodziutki, matka mu będzie musiała odpinać porteczki...

— Cha, cha, cha! — zaśmiali się chłopi. Śmieli się głośno, serdecznie, śmiechem podobnym do pękania

beczek w letni upalny dzień. Naraz pieśń pokrytych kurzem „kozaków“ przerwała ten ich donośny śmiech.

— „Ejn kalohejnu“ — śpiewali „kozacy“. — „Nie masz Boga nad Jehowę“...

Rozdział III.

Długi, letni dzień narzeczeni spędzili poszcząc.

Po Serełe nie można było poznać, że pości. Była głodna, lecz spokojna, zrównoważona. Nawet cień niepokoju nie zachmurzył jej błogostanu.

Przez cały czas narzeczeństwa zachowywała się spokojnie, robiła wszystko, czego od niej żądano, jakgdyby nie była młodą dziewczyną na wydaniu, lecz starą panną, której na starość przytrafiła się partja. Obojętnie, nie pytając nawet o swego przyszłego, wysłuchała od ojca nowiny, że zostaje narzeczoną syna cadyka z Rachmaniówki. Z równym spokojem przyjmowała zaręczynowe podarunki, nadsyłane jej w atłasowych wyściełanych szkatułkach.

— Ach, jakie ładne! — pochwaliła zaledwie.

Z tym samym spokojem i obojętnością słuchała pouczenia o pierwszych obowiązkach narzeczonej od swych sióstr, rozlanych bab, córek rebego z poprzednich małżeństw, które jęły ją uświadamiać na kilka dni przed ślubem.

Starały się rozmawiać z młodą dziewczyną bardzo tajemniczo, niedomawiając wiele, o owych obowiązkach i cnotach kobiety zamężnej tak, by czternastoletnia narzeczona ich się nie wstydziła.

— Serełe — mówiły — my, kobiety, nie musimy uczyć się talmudu. Pan Bóg przeznaczył to wyłącznie dla mężczyzn. Ale za to powinniśmy przestrzegać naszych obowiązków i cnót, co jest równoznaczne z nauką talmudu...

Przytaczały przytem przykłady z Pisma Świętego o pramatkach, o Sarze, Rebece, Racheli i Lei, dobierając najdelikatniejszych słów, byle tylko Serełe nie zażenować. Lecz było to zupełnie zbyteczne.

Serełe, ta wielka, rosła, opasła dziewczyna, robiła wszystko z prostotą i spokojem. Żaden rumieniec wstydu nie oblał jej okrągłych policzków, żaden uśmiech nie rozświetlił jej chłodnych oczu. Tchnęła spokojem, spokojem niewiasty, która szykuje się do nowego życia z poczuciem obowiązku i pewnością siebie.

Z tym samym spokojem udała się w wigilję ślubu do dworskiej „mykwy", dokąd ją odprowadzały wszystkie jej siostry i kumoszki przy akompanjamecie wrzaskliwej miasteczkowej kapeli. Siostry zazdrośnie spoglądały na jej młode, jędrne, dziewczęce ciało, na jej dojrzałe, rozwinięte już biodra i piersi i spluwały dla uchronienia jej od uroku:

— Tfu, tfu... bez uroku...

Podawały jej pomarańcze i różne orzeźwiające łakocie, jak się zazwyczaj częstuje narzeczoną, osłabioną kąpielą i ceremonjałem.

— Jedz, narzeczona — zachęcały ją — serce ci pewnie osłabło.

Serełe jednak tego nie potrzebowała. Czuła się dobrze i rześko.

Z tą samą statecznością przyjęła kąpielową, która przyszła ogolić jej głowę.

W Mieszawie narzeczonej golono zazwyczaj głowę nie nazajutrz, lecz w dzień ślubu. Siostry przygotowywały ją do tego obrzędu. Z lat dziewczęcych, które kobiety tak chętnie wspominają, pamiętały jeszcze ów lęk przed zgoleniem włosów. Tuliły więc pieszczotliwie głowę Serełe, przebierały palcami jej gęste włosy, plotły warkocze i prawiły komplementy.

— Co za gęsty las — mówiły tajemniczo, z ową zadumą kobiet, którym plecenie warkoczy narzeczonej przypomina ich pierwsze szczęście i późniejszy uwiąd — niech to zastąpi, Serełe, owe pierwsze kłosy, które nasi ojcowie w Jerozolimie składali Bogu w ofierze.

Dla Serełe jednak nie było to wcale ofiarą. Wiedziała, że tak być powinno, więc poddała się temu, jak się poddaje wszelkim innym obowiązkom. Kąpielowej, która ją goliła zabrakło wprost słów do wychwalania jej pobożności i cnót.

— Taka czysta duszyczka — mówiła, maczając w wódce podany jej piernik — oby jej słońce tak przyświecało, jak świecą jej rumiane policzki, mój dobry Boże!

Dużemi nożycami ścinała jej włosy, cięła krzywo, tworząc wyrwy, a potem błysnęła brzytwą i zeskrobała dziewczynie krótkostrzyżoną głowę, która teraz nabrała wyglądu owczego łba.

— Mazeł-tow! mazeł-tow! — winszowały siostry, wkładając na jej zmalałą głowę białą atłasową chusteczkę.

— Mazeł-tow! — odpowiedziała Serełe, związując końce chusteczki pod brodą, jak to czynią doświadczone mężatki.

Kąpielowa obchodziła wszystkich krewnych, zbierając datki za golenie.

— Grosz za każdy włos — rzekła, podchodząc do panny młodej — dałby Bóg doczekać chrzcin twego syna...

— I waszym córkom — odpowiedziała, nie żenując się, Serełe.

Z tą samą niezmąconą obojętnością siedziała później w komnacie dla narzeczonej i z grubej, oprawnej w słoniową kość księgi ze złotą sprzączką dowiadywała się o oczekujących ją obowiązkach małżeńskich.

— ... A winna mu być oddaną — czytała głośno na nutę trenów — nie czynić mu, broń Boże, zmartwień, miłować go i być mu chętną w spełnianiu obowiązku małżeńskiego wedle zakonu, a Wiekuisty obdarzy ją bogobojnymi synami...

Natomiast Nachmucie, pan młody, czuł się zupełnie inaczej. Był bardzo niespokojny.

Cały długi dzień letni i krótką letnią noc dręczyły go myśli o dniu ślubu. Dobę całą jechał koleją przez granicę z Rachmaniówki do Mieszawy. Pragnął teraz ciszy, odpoczynku. Ani na chwilę jednak nie zostawiano go w spokoju. Przedewszystkiem przychodzili go powitać. Na wesele zjechało się tysiące Żydów i każdemu należało uścisnąć rękę, odpowiedzieć „alejchem szolem“. Poczem dotkliwie bolała go ręka i zaschło mu w gardle.

Po ukończonych powitaniach, jego przyszły teść, cadyk mieszawski, poprosił go do siebie i zatrzymał przez dłuższą chwilę. Tego dnia cadyk reb Mełech już kilkakrotnie trącał się kieliszkiem i zagryzał piernikiem, z przybyłymi cadykami i „mechutenami“ swych

córek i synów. Upić się jeszcze nie upił, lecz był zlekka podchmielony, podochocony. Chwyciła go nieprzeparta chęć gadania. Mówił prędko, połykał słowa, przyśpiewując przytem na galicyjską, rabiniczną nutę, a Nachumcie z Rachmanówki nic prawie nie zrozumiał. Mieszawski rebe pragnął bardzo wykazać się przed nim swą wiedzą, właśnie dlatego, że jej nadmiarem poszczycić się nie mógł. Jeszcze z czasu pierwszego ślubu swego pamiętał fragmencik z owego przemówienia, które przed jakiemiś może 50 laty wygłosil był publicznie, i w całości powtórzył go przed Nachumcie. Wpadł przytem w dziki zachwyt, chwytał chłopca za podbródek, jakgdyby ten nosił już brodę, klaskał w dłonie, przypierał go, szturchał w boki, opryskiwał śliną i po dziesięć razy powtarzał to samo:

— Rozumiesz mnie, czy nie? Ha, cooo?...

Puszczał mu przytem w oczy kłęby ostrego dymu z cygara. Na czczy żołądek chłopca ostry dym kładł się gorzkim posmakiem. Dławiło go w gardle, kaszlał. Lecz „mechuten“ tego nie słyszał. Nigdy zresztą nie słyszał nikogo prócz siebie; sam wciąż mówił, sam wciąż narzucał się wszystkim.

— Rozumiesz mnie... rozumiesz? Ha? cooo... — mruczał poprzez kołtuniastą brodę i wąsy.

Zaledwie Nachmucie opuścił progi przyszłego teścia, gdy synowie cadyka, równie ociężali i tępi, jak ich ojciec, poczęli oprowadzać go po różnych domostwach. Wszędzie częstowano się wódką, winszowano sobie, zagryzano piernikiem, nie pamiętając nawet, że narzeczony pości.

— Na zdrowie, na zdrowie, na szczęście Żydom! — winszowano mu i długo potrząsano jego ręką.

Nadomiar w mieszkaniu jednego z synów cadyka, uczepił się go pewien uczony młodzieniec, chluba mieszawskich chasydów, który za wszelką cenę pragnął mu zaimponować swą wiedzą. Był to chłopiec zbzikowany, dziwak i uparty, jak kozioł. Nawet w ruchach jego, w potrząsaniu głową, gdy zadawał pytanie, było coś z kozła. Jego rozwichrzone pejsy sterczały w górę, jak rogi.

— Z drugiej jednak strony — miał zwyczaj wciąż zaprzeczać — z drugiej jednak strony można twierdzić coś wręcz przeciwnego...

Zaledwie Nachmucie zdążył zgodzić się z jego zdaniem, gdy ten już mówił coś wręcz odwrotnego. Na Nachmucie aż poty wystąpiły.

Kąpiel rytualna, przygotowana dla pana młodego, była gorąca, mimo to że na dworze był skwar. Panujący w łazience zaduch dusił do utraty przytomności.

Ojciec Nachmucie kilkakrotnie starał się nakłonić go do przekąszenia przynajmniej kawałka piernika, umaczanego w słodkiej wódce.

— Dzieci cadyków — perswadował — nie poszczą przed ślubem...

Lecz Nachmucie nie dał się przekonać. Niebawem przybyła matka i zwróciła się doń, chcąc na nim wymusić, by coś zjadł.

— Dziecko drogie — błagała — posłuszeństwo względem matki znaczy u Boga więcej, niż post. Spełnij przykazanie o czci dla matki.

Lecz nie pozwolił jej nawet przyjść do słowa.

— Mamo — prosił — nie dręcz mnie, nie będę jadł.

Ustawicznie zaglądał do księgi kabały, której nie wypuszczał z rąk. Wychowawca jego, reb Psachje Zwiler,

człowiek uczony i ponury, który wraz z nim przybył na wesele, wciąż zmuszał go do powtarzania przemówienia, które miał wygłosić przy stole.

W bóżnicy, gdzie nakryto stoły, powietrze było gęste, prawie namacalne. Chasydzi zasłonili sobą wszystkie drzwi i okna. Młodzież leżała pod stołami, przewieszała się przez ławki, plecy przy plecach, ramię przy ramieniu. Chłopcy przywiązali się pasami do słupów bóżnicznych i wisieli niejako w powietrzu. Dzieciaki gramoliły się, tkwiąc nogami w tylnych kieszeniach chasydzkich kapot, byle tylko móc zobaczyć pana młodego. Skośne warstwy kurzu kładły się na głowy, jak deski.

Wielka liczba świec w srebrnych siedmioramiennych lichtarzach, kandelabrach i świecznikach kopciła, topniała, nasycając powietrze czadem. Ludzie pocili się, lepili do siebie. A cała spiekota skupiała się w miejscu, gdzie siedział pan młody, otoczony rodziną i gośćmi.

Nachmucie miał głowę rozpaloną i ociężałą. Prócz jarmułki włożono mu na zmęczoną głowę kołpak, który uciskał, parzył i nużył skronie. Krople potu spływały po jego kędzierzawych pejsach i plamiły wyprasowany śnieżnobiały, wykładany kołnierz.

W apartamentach kobiecych, u panny młodej, było przestrzennie i przewiewnie. Dziewczęta tańczyły ze sobą, unosząc treny swych szerokich, bufiastych sukienek, i rozmawiały z muzykantami z niemiecka:

— Herr Musikant, spielen Sie freundlichst eine „Scheere".

Kelnerzy, w krótkich narzutkach, z małemi jarmułkami na czubach głowy, uwijali się z chłodzącemi napojami po pokojach i z elegancją prowincjonalnych

amantów operetkowych podawali je z szacunkiem kobietom.

— Wollen Sie etwas geniessen?...

Małe dziewczynki z olbrzymiemi kokardami w rozpuszczonych, karbowanych włosach, dygały, wachlując się. Kobiety błyszczały od złota i brylantów; sztuczne czereśnie i kwiatuszki trzęsły się na ich perukach i czepkach. „Marszalik“ z rozczesaną, szlachecką brodą i świecką jarmułką na czubie rymował kwiecistą niemczyzną, zaprawianą wersetami z Biblji i zakrapianą cytatami z Schillera i Lessinga. Wymachiwał rękami, błyskał oczyma, naśladując operetkowego śpiewaka, którego widział kiedyś w miejskim kabarecie, i ukradkiem flirtował z dziewczętami.

„O, posłuchajcie mnie, czcigodna narzeczona i wy, miłe dziewczęta,
„Saro, Rywko, Rachelo, Różo i także ty, Jento!
„Ani śmierci, ni małżeństwa nikt uniknąć nie może,
„Bo miłość dla młodych ludzi to przykazanie Boże.
„Powiada wielki poeta: róże pachną, gdy są świeże,
„Więc radujcie się wszystkie razem i to w dużej mierze,
„Niech twe szczęście, narzeczona, promienieje jak słońce kochane,
„U Pana Boga Wszechmogącego łzami wypłakane“.

U mężczyzn jednak, w bóżnicy, panował ścisk aż do uduszenia. Coraz to inny chasyd mdlał z gorąca. Żydzi brali go za głowę i nogi i wynosili na dziedziniec pod studnię. Tam chłopcy tak długo lali wodę z pompy na omdlałego, aż odzyskiwał przytomność.

— Piwa, dajcie mi szklankę piwa — błagali Żydzi służbę, która z dużych beczek toczyła piwo.

— Cicho, sza! — krzyczał Srul-Awigdor — pan młody będzie za chwilę przemawiał. Niech będzie cicho, jak makiem zasiał. Uwaga!

Nachmucie zaschło w gardle, język lepił się do podniebienia, niby obce ciało. Paliły go skronie, bolały go oczy. Lecz wszystko to nie mogło być przeszkodą do wygłoszenia toastu. Tysiące Żydów nastawiło uszu. Cadycy, rabini, uczeni i inni dostojnicy nachylili się, by tem lepiej usłyszeć słowa pana młodego.

— No, panie młody! — rzucił ponury wychowawca — wszyscy czekają na twe słowo.

Całogodzinne przemówienie tak go zmęczyło, że dla narzucenia zasłony na pannę młodą musiano go podtrzymać i poprowadzić. Wypadła mu nawet z ręki białe, jedwabna chusteczka, gdy narzucał ją na twarz narzeczonej.

— Oj! — jęknęły kobiety — jakgdyby święte rodały upadły na ziemię.

Był to zły znak.

Złocistego rosołu nie mógł wcale jeść. Panna młoda zaś zajadała z dużym apetytem. Nie zamieniła z nim ani słowa. Bardzo chciała mu powiedzieć, by jadł, lecz nader się wstydziła tego obcego chłopca, którego po raz pierwszy oglądała i, milcząc, zajadała dalej. Ze wspólnej złotej miseczki, w której podano dla młodej pary rosół, Nachmucie przełknął zaledwie łyżkę, poczem natychmiast ją odłożył. Był tak przybity, że nawet nie spojrzał na narzeczoną.

A gdy późną nocą dwaj dostojni starcy wzięli go za ręce, wiele pouczali o pierwszym małżeńskim obowiąz-

ku, a potem niespodzianie pozostawili w obcym pokoju, zatrzaskując za sobą drzwi, — czuł się tak bezsilny i opuszczony, jak porzucone przez matkę dziecko.

Ze świeżej pościeli, z pod całej góry pierzyn i poduszek, patrzała na niego para szerokootwartych oczu. Zastygłym wzrokiem spojrzał na tę pościel, na tę głowę obcej kobiety, głowę w białym czepku z czerwonemi wstążkami. Czerwień olśniła mu oczy. Na tle bieli łyszczała para rumianych, pełnych policzków, obcych, nadętych, rozpłomienionych. Zimne poty oblały go nagle i ogarnęły go mdłości.

— Mamo — zawołał cichutko, w bezgranicznem cierpieniu i wstydzie — ma-mo...

Nazajutrz przywołał go teść do siebie, wskazał krzesło i kazał mu usiąść. Cadyk mieszawski usadowił się naprzeciwko i cała gęstwina jego brody, pejsów i kępek włosów w uszach, trzęsła się w gniewie.

— Et — wybełkotał — nie mogę tego zrozumieć... W Mieszawie nie słyszy się o niczem podobnem... et...

Nachmucie stał się jeszcze bardziej szczupły i wyciągnięty. Stracił naraz mowę. Zdjął go lęk, ogarnął strach przed teściem, przed jego kołtuniastą brodą i pejsami, przed obcymi ludźmi, nawet przed ową twarzą w pościeli, której nie pamiętał, jeno której czerwony blask wstążek i płomień nadętych policzków migotały mu w oczach.

— Mamo — szeptał bezdźwięcznemi wargi, jak dziecko zdjęte wielkim strachem — mamo...

Rozdział IV.

Siedmioma dniami pokuty były dla Nachmucie owe siedem dni gratulacji.

Noc w noc odbywały się uczty, lało się wino. Teść polecił mu komentować dla gości ustępy z talmudu. Zewsząd cisnęli się chasydzi ze spoconemi rękami, by trącić się z nim kieliszkiem. Potem znów ci sami starcy brali go za ręce, seplenili bezzębnemi ustami słowa, które rumieńcem pokrywały jego smagłą twarz i wkońcu zatrzaskiwali za nim drzwi od sypialni Serełe.

Z samego rana, jeszcze przed modlitwą, cadyk reb Mełech polecił swej najstarszej córce, wielkiej pokracznej kobiecie, udać się do młodej mężatki na zwiady.

Wracając od siostry, potrząsała tylko obydwoma końcami czarnej jedwabnej chustki na głowie, niby skrzydłami:

— Et — mówiła — nic...

Ze złości cadyk dziesięć razy conajmniej mlaskał wargami, ssąc zgasłe cygaro.

— Na miłość boską! — krzyczał.

Nazajutrz po gratulacjach cadyk wezwał Serełe.

Przybyła w długiej, żółtej jedwabnej sukni. Na ogolonej głowie miała atłasowy czepek, z całym ogródkiem sztucznych czereśni, szpilek, zielonych liści i pstrych kwiatuszków. Czepek był za duży i zsuwał się na uszy. Ojciec wskazał jej drewniane krzesło, przenaczone dla dostojnych chasydów. Sam zaś rozparł się w niskim skórzanym fotelu. Jego wybałuszone oczy przenikały nawskroś młodą mężatkę, tak iż uczuła chłód w piersi i przysłoniła je ręką. Cadyk spoglądał na nią z taką

powagą i bezwzględnością, jakgdyby pragnął wypędzić upartego złego ducha z wiejskiej dziewczyny, lecz ten go nie chciał usłuchać.

— Nnuuu? — spytał wreszcie — przeciągając na nutę talmudu.

Serełe milczała.

— Jaki będzie koniec? — momentalnie przeszedł na ton Żyda-kupca.

Serełe patrzała zastygłym wzrokiem.

— Był u ciebie?

— Nieee — wybuchła Serełe głośnym płaczem. Zdawało się, że płaczą nietylko jej oczy, lecz i usta i nos.

— Idź już, idź, głupia... — przepędzał ją ojciec, popychając ku drzwiom — no, idźże, idź...

Poprosił „szamesa" o kilka ksiąg „Szulchan Aruch", oprawnych w zgrzebne płótno i już nadszarpanych. Siadł raptem przy stole i wybałuszonemi oczyma przeszukiwał w szeregach gęstych i drobnych liter postastanowienia o obowiązkach małżeńskich.

Zdecydował się napisać list do cadyka z Rachmaniówki, który nazajutrz po ślubie, nie czekając nawet do następnego tygodnia gratulacyj, powrócił z żoną do domu. Doniesie mu, jaką sprawił mu syn jego „pociechę", a przytem wtrąci też słówko o rozwodzie. Musiał jednak w tym celu uprzednio zapoznać się z przepisami, dotyczącemi podobnego wypadku, wiedzieć, ile należy się żonie od męża tytułem rekompensaty za wyrządzony wstyd, jak wysoki winien być zwrot kosztów ogólnych, jak również, co należy uczynić z posagiem i podarunkami.

Całą dobę przeszukiwał i ślęczał nad dużemi naddartemi księgami. Nadmiaru wiedzy nigdy nie posiadał. Od wielu lat, od chwili, gdy zaczął piastować stanowisko cadyka, nie zajrzał nawet do ksiąg. Od czasu do czasu studjował nieco kabały, księgi Zohar, lecz i to jedynie w poszukiwaniu nowych konceptów dla swych przemówień. Był on nietylko cadykiem, lecz sprawował w miasteczku również urząd rabina. Nigdy jednak nie rozstrzygał spornych zagadnień, gdyż ich rozstrzygnąć nie umiał. Zastępował go w tem pewien uczony Żyd, którego z tego powodu nazywano „mamką cadyka".

Zasięgać rady u „mamki" nie wypadało mu. Poco zdradzać tajemnice dworu? Mozolił się przeto nad grubemi foljałami „Szulchan Aruchu", gubił się w licznych komentarzach, naszpikowanych maleńkiemi trudnemi słowami i niedomówieniami. Pocił się, jak w łaźni.

Wkońcu jednak wygramolił się cadyk mieszawski z tych trudności. Po długich wysiłkach dopiął celu. Skombinował, w jaki sposób dać odpowiednią nauczkę temu pyszałkowi, cadykowi z Rajchmaniówki, jak zmusić młodzieńca do rozwodu, jak z miejsca odesłać do domu i odebrać mu wszystko do ostatniej nitki, temu benjaminkowi cadyka rosyjskiego.

Zakasał więc szerokie rękawy swego jedwabnego pstrokatego szlafroka i niezwłocznie zabrał się do pisania „mechutenowi" złośliwego listu, pełnego wykoślawionych liter i niedokończonych słów. Zdążył już napisać szumny zwrot tytułowy, po którym następować miały słowa cierpkie i pełne goryczy, gdy nagle wpa-

dła do pokoju najstarsza córka cadyka, prowadząc za rękę Serełe, i głośno zawołała:

— Mazeł tow, ojcze! Mazeł tow!

Cadyk ze zdumienia wytrzeszczył oczy. Zdawało się, że lada chwila przekręcą mu się, jak u lalki, którą odwrócono do góry nogami.

— Co to ma znaczyć? — spytał.

— Wczoraj był u niej — odrzekła córka — zupełnie nieoczekiwanie. Serełe, opowiedz ojcu, nie wstydź się.

Z rumieńcem na chłodnej twarzy, Serełe opowiedziała otwarcie o wszystkiem.

— No więc, chwała Bogu — rzekł rebe, uśmiechając się poprzez całą gęstwinę swego zarostu — chyba ktoś rzucił był urok. Trzeba było natychmiast odczynić. Chwała Ci, Boże, za to!

I, jak zwykle, kazał kobietom wynosić się z pokoju.

— No, idź już, idź, głupiutka — przepędzał młodą mężatkę — idź i bądź zawsze cnotliwą Żydówką! Słyszysz?...

Pisma do swego „mechutena“ już nie dokończył, napisał natomiast list do jąkały, wuja owej sierotki. Pisał, by zaraz, natychmiast po otrzymaniu listu, przyjechał do Mieszawy dla omówienia terminu ślubu między nim, mieszawskim cadykiem, a dziewczyną, Małkełe, — oby zdrową była. — Dla oszczędzenia czasu, pisał, zaręczyny nie odbędą się przed ślubem, lecz obie te uroczystości odprawi się jednocześnie, a narazie wystarczą zapowiedzi. Do listu załączył dwudziestoguldenowy banknot na wydatki dla jąkały. Przez chwilę wahał się, czy nie jest to jednak zbyt wiele. Może star-

czy piętnaście dla tego dziada? Ale nagle przyszły mu na myśl słowa jąkały:

— Urodziwa, piękna jak świat, mówią kobiety.

Wyjął więc ze skórzanej torebki papierową piątkę i z westchnieniem skąpstwa i satysfakcji dołożył ją do poprzedniej dwudziestki.

— Niech sobie użyje biedaczysko — rzekł sam do siebie. — Zawsze to jednak syn rabinów...

Naraz przypomniał sobie: powinien jeszcze dopisać, że co się tyczy podarunków dla narzeczonej, to on z Boską pomocą narzeczonej nie zawstydzi. Przeciwnie, wystroi ją i obdarzy, jak na pannę młodą wypada. Wyposaży ją w stroje, jak przystoi wysokourodzonej córce żydowskiej Wkońcu wcisnął jeszcze kilka drobnych wierszy, by się nie obawiała intryg i plotek dworskich, gdyż otoczy ją swemi opiekuńczemi skrzydłami i osłoni ją szatą godności swojej. A chociaż osobiście odpowiadałby mu raczej ślub w ścisłem gronie bliskich, to jednak, mając na względzie narzeczoną, która jest dziewicą i której wesele wedle prawa i tradycji, jak wszystkich szlachetnie urodzonych córek żydowskich, winno być huczne, każe on przy Boskiej pomocy na własny koszt wyprawić wspaniały ślub z gośćmi i grajkami, w mieście narzeczonej, jak to jest w zwyczaju, z pomocą Wszechmocnego Boga, niech Imię Jego będzie pochwalone.

Podpisał się imieniem ojca, dziadka i pradziadków. Grubemi wargami mocno ślinił kopertę, chcąc ją dobrze zakleić. Przywołał jednego z wnuków i polecił mu zaadresować list, gdyż poza hebrajskim innego alfabetu nie znał. Podziwiał piękny charakter obcego mu pisma u chłopca i dał mu za to guldena.

Potem usiadł zadowolony w miękkim fotelu, przyciął świeże cygaro i zawołał:

— Srul-Wigdor! Srul-Wigdor!...

Tym razem gabe Izrael-Awigdor zjawił się natychmiast i podał rebemu ognia. Wiedział, że nie chodzi mu tylko o ogień. Sprawa była ważniejsza. Należało przyjąć pewnego kijowskiego bogacza, reb Pałtjela Hurwitza, który z Kijowa, przekroczywszy granicę austrjacką, przybył na wesele do Mieszawy.

Reb Pałtiel Hurwitz, wielki kupiec leśny, powiernik możnych panów, mający dostęp do gubernatorów, właściciel wielkiej cukrowni, mówiący po rosyjsku, był przytem gorącym zwolennikiem rebego z Mieszawy. Kilka razy do roku zbierał dzieci i wnuków, wyrabiał im paszporty zagraniczne i jeździł do cadyka. Na wesele najmłodszej córki rebego przywiózł Pałtiel Hurwitz pełnych tysiąc rubli, nie licząc podarków dla narzeczonego, jak wielki srebrny, siedmioramienny świecznik i drogocenny futrzany kołpak. Również dzieci jego, a nawet wnuki poprzywoziły podarunki. Lecz reb Mełech pragnął czego innego. Pałtiel Hurwitz zwierzył mu się, że u pewnego generała nadarza się okazja kupna lasu na Polesiu, na czem można zarobić majątek. Lecz z prawami nabycia jest coś nie w porządku, gdyż istnieją pewne przeszkody ze strony władz i, jeśliby Żydzi zadenuncjowali, co zdaje się nie ulegać wątpliwości, — łatwo można, Boże broń, wpaść i dostać się do kryminału, a nawet na katorgę, uchowaj Boże. Toteż zasięgnąć chciał rady rebego, co należy uczynić.

Rebemu Mełechowi przyszło odrazu na myśl, że byłoby wcale nieźle, gdyby Pałtiel Hurwitz przyjął go do

spółki. Zwłaszcza w tej chwili, gdy szykuje się do ożenku, potrzebne mu są większe sumy na pokrycie wydatków narzeczonej, na zakup prezentów, tak że spółka ta bardzoby mu się przydała. Ach, jak bardzo! Rozumie się, że Pałtiel od rebego nie będzie żądał kapitału do interesu. Broń Boże! Nieraz już chasydzi wciągali go do interesów, jako wspólnika. Ale w danym wypadku interes był za wielki, aby połowę jego można było podarować cadykowi.

— „To trochę za wiele“ — pomyślał cadyk mieszawski. Mógł tem rozgniewać Pałtiela i stracić go na zawsze. Byłoby to wielką, nie do powetowania szkodą. A z drugiej strony Pałtiel ma stracha. Interes nie jest taki prosty, grozi, uchowaj Boże, więzieniem; gdy zaś on, cadyk, zapewni, że wszystko pójdzie gładko, doda to Pałtielowi odwagi.

Dlatego też zwlekał, przetrzymywał Pałtiela jaknajdłużej w Mieszawie, nie chcąc dać mu błogosławieństwa na drogę. Wiedział, że to zawsze niepokoi chasydów, szczególnie bogaczy, ludzi zajętych, którzy prowadzą handel na wielką skalę z generałami i dygnitarzami i żyją w ciągłej obawie denuncjacyj. Wiedział, że to ich straszy, odbiera im odwagę, pewność siebie, napełnia ich lękiem — toteż miękną szybko i zgadzają się na wszystko.

Ilekroć Pałtieł Hurwitz posyłał Izrael-Awigdora do cadyka z prośbą o błogosławieństwo przed wyjazdem, rebe wykrętnie odpowiadał:

— E, i czegóż tak mu się śpieszy, temu Pałtielowi?

Pałtiel Hurwitz skręcał się poprostu ze zgryzoty. W domu czekali nań ludzie, sprawy i interesy. Dzień w dzień otrzymywał telegramy od swych zarządzają-

cych, by natychmiast powracał. Błagał Izrael-Awigdora, nie licząc, wciskał mu w rękę guldeny:

— Izrael-Awigdor — idźże i powiedz rebemu, że muszę już wyjechać. Generałowie czekają na mnie. Pamiętaj — generałowie...

Ale cadyk nie chciał o tem słyszeć.

— E, — mówił — już ja sam go przywołam w odpowiedniej chwili...“

Pałtiela Hurwitza sprawa ta zaczęła wkońcu gniewać. Przy całej swej pobożności był przecież zuchwały i butny, zwłaszcza ze względu na swe liczne stosunki. Nieraz już popijał wino ze szlachtą i oficerami, raz nawet jadł z nimi, nie nakrywszy głowy i przytem „trefne“. W Petersburgu zwykł był towarzyszyć im do restauracyj, niezawsze przestrzegając rytuału żydowskiego. Podczas podróży, gdy w lesie młoda żona gajowego, ściągając mu przed snem buty, przymiliła się doń słodko, prosząc o podwyżkę dla męża — nie zwykł był odmawiać. Z wielką przyjemnością pozwalał, by całowała z wdzięcznością kosmatą jego rękę — poczem kazał gasić światło.

Te grzechy, nad któremi nieraz ciężko wzdychał, nadszarpnęły jednak jego wiarę i chwilami budziły w nim nawet zuchwalstwo. W końcu gniewał się na samego rebego. — Co rebe, to rebe — myślał sobie — ale interes — interesem. Buntował się:

— Nie, to nie! — rzucił kiedyś w złości Izrael-Awigdorowi. — To wyjadę bez błogosławieństwa!

Lecz po chwili już żałował tego, co powiedział. Przypominał sobie, że interesy niezawsze są gładkie, i że nie brak żydów-denuncjantów, zazdrośników. Pozatem — piekło też nie jest drobnostką. Palą tam i sma-

żą — Boże litościwy! Człowiek nie uczy się Talmudu, modlitwę też nieraz połyka w pośpiechu. W podróży wszystko się zdarza. I grzeszyć trafia mu się również... Aj, te grzechy! — Boże kochany! A Bóg wszystko pamięta, zapisuje. Jest groźny i mściwy. Mści się nawet na synach za grzechy ojców. Potrzebne jest zmiłowanie, potrzebny jest cadyk, by modlił się za nami. Bóg kocha swych cadyków, a tym, którzy ich popierają, wybacza Wiekuisty. Prawda, że wielkie mają potrzeby Jego cadycy, muszą jeździć do wód, wraz ze swemi żonami, dziećmi i wnukami, lubią jedwabie, atłasy, aksamity i futra. Żony ich potrzebują złota i klejnotów. A przytem liczne mają potomstwo, owi cadycy. Wciąż wyprawiają wesela, potrzeba im srebra, brylantów, pereł. Lecz są tego warci. Jest na kim polegać, jest kogo prosić o pomoc na wypadek, broń Boże, choroby lub denuncjacji. Jest się o kogo oprzeć. A dobrze jest mieć w kimś oparcie, nawet gdy się jest bogaczem, miljonerem. Bo czem że jest człowiek, nieboże?..

I żałował swych nieczystych myśli i czynił sobie wyrzuty za swe ostre słowa. Opuścił głowę, rozmyślał i rozważał — może kryje się coś za tem, że rebe nie chce mu dać na drogę błogosławieństwa. Może przewiduje coś? Niebezpieczeństwo jakieś, lub, Boże broń, denuncjację — a może zgoła zbrodnię, uchowaj Bóg? Cały świat pełen jest donosicieli, złoczyńców, zazdrośników. A gdy po całym tygodniu rozmyślań i niekoju przyszedł doń w końcu z rozpromienioną twarzą Srul-Awigdor i szepnął:

— Reb Pałtiel — rebe kazał was prosić do siebie! — Pałtiel Hurwitz, wszedł do cadyka pokorny, uległy,

wierzący i gotów na wszystko, czego rebe od niego zażąda.

Cadyk przyjął Pałtiela z radością.

— Siadaj, Pałtielu — powiedział, uśmiechając się do niego. — Siadaj!..

Sam zaś podszedł do szafki, wyjął piernik i wino i nalał Pałtielowi pełny srebrny kielich.

— Rebe osobiście się fatyguje... — bronił się Pałtiel. Lecz rebe nie słuchał go i tak szczodrze nalewał, że przelał wino na stół.

Był to dla Pałtiela dobry znak, widział w tem prognozę szczęścia, pomyślności i fortuny.

Poczem rebe wyciągnął do niego dłoń. Potrząsał silną, owłosioną rękę bogacza swoją miękką rabinową ręką, i powiedział z pośpiechem:

— No cóż — widzę, że się czegoś lękasz? Zatem, abyś pozbył się wszelkiej obawy, weźmiemy ten las do spółki. Czuję, że to wola niebios.

Pałtiel nawet słówkiem nie zaoponował.

— Oby nam było na szczęście — winszował, potrząsając ręką cadyka i popijając liche wino, które „gabe“ Izrael-Awigdor sam fabrykował, gościom zaś sprzedawał, jako wino węgierskie.

Pożegnawszy się z Pałtielem, cadyk reb Mełech z zadowoleniem zapalił cygaro hawańskie, którem poczęstował go bogacz, i otoczył się gęstemi kłębami dymu. Zatarł kilkakrotnie z satysfakcją ręce i mruczał:

— Chwała imieniowi Twemu...

Poczem siadł przy stole, wychylił kielich wina i zagryzł piernikiem. Wprowadziło go to w podniosły nastrój, przywiodło mu na myśl uroczystości weselne i przypomniało bliski jego ślub z dziewczyną-sierotą.

Ściągnął brwi, jakby chciał ją dojrzeć, choć dotąd nigdy jej nie widział. Toteż wywołał tylko w pamięci mglisty obraz swej zmarłej trzeciej żony.

Raptem chwycił pióro do ręki i, choć dopieroco wysłał był list do jąkały, napisał do niego po raz drugi, że gdyby nawet chciał się teraz udać na wędrówkę na zbieranie datków, niech odłoży to na kiedyindziej, a niezwłocznie przybędzie do Mieszawy. Straty pokryje mu podwójnie z boską pomocą on sam, cadyk mieszawski.

— Teraz mogę sobie na to pozwolić — myślał, przypominając sobie zawartą spółkę. — Z boską pomocą wszystko będzie dobrze, — ufał, — a nikt też nie zadenuncjuje — broń Boże — wszak żydzi są, chwała Bogu, ludźmi!

Rozdział V.

Nachumcie czuł się we dworze mieszawskim samotny i opuszczony.

Teraz nie miano mu już nic do zarzucenia. Po pierwszych dniach dziecinnego lęku niespodziewanie okazał się mężczyzną.

Codzienne uroczystości od dnia ślubu aż po gratulacje, owi dwaj bezzębni starcy, szepcący i syczący mu w ucho, śpiew chasydów, powłóczyste bezczelne spojrzenia kobiet, gniewne basowe porykiwanie teścia, to całe wyczekiwanie wszystkich dokoła — przygniatały czternastoletniego młodzieńca, kładły mu się na piersi jak ciężki balast, mąciły mu umysł i drażniły nerwy. Gdy znalazł się wówczas za raptownie zatrzaśniętemi

drzwiami, wepchnięty do sypialni, na czystej lśniącej pościeli nie widział Serełe, młodej swej żonki, lecz tylko biały nocny czepek, wstążki bijące czerwienią i rozpłomienione policzki, które przejęły go strachem, obawą, poczuciem obcości, wstydu i bezsilności. Dręczył się tylko w owe bezsenne noce.

Serełe spodziewała się Nachumcie. W jej wyczekiwaniu nie było jednak nic z lęku, tajemniczości, utajonego drżenia, które tak bardzo pociąga, zwłaszcza przewrażliwionych chłopców w okresie ich pierwszej rozbudzonej namiętności. Było to tylko nieme oczekiwanie samicy, cierpliwa bierność dojrzałego już płciowo stworzenia, chłodny pęd ryby, co sunie po wodzie jedynie dla złożenia ikry.

Zdrowa, wcześnie rozwinięta, jak to bywa z większością dziewcząt żydowskich, matka in spe, gotowa już niejako z góry do poczęcia płodu i wydania potomstwa na świat, uświadomiona przez siostry i przepisy rytualne dla kobiet, niecierpliwie wyczekiwała przeznaczonego sobie małżonka, by mu się oddać bez kaprysów i najmniejszego oporu. Nie było w niej nic z tego, co może pociągnąć oblubieńca: nie znała pieszczotliwych słów, zalotności, ani nawet ruchów, które wabią, nęcą, roztkliwiają i zdają się coś obiecywać. Milcząca, uległa i ociężała pod wielkim stosem pościeli tak długo jedynie czekała, aż wreszcie zasypiała i plotła przez sen, wymawiając niesamowite, niejasne wyrazy, w sposób przypominający wysławianie się jej ojca. Było to jeszcze bardziej odpychające dla czuwającego Nachumcie.

Dopiero po pewnym czasie, zupełnie niespodziewanie, gdy wszyscy we dworze stracili już nadzieję docze-

kania się od niego pociechy, a cadyk jął już przebąkiwać o rozwodzie, dopiero wówczas, gdy nikt już nie zwracał nań uwagi, nie prowadził za rękę, nie podpowiadał, nie stał pode drzwiami, nie zatrzaskiwał ich za nim, nie wpatrywał mu się w oczy — dopiero wówczas nagle coś w nim dojrzało. Zbudziło się w nim potężne uczucie, które przejęło go takiem nieoczekiwanem pożądaniem, taką drażniącą, a słodką siłą, że sam wyczuł w sobie ów proces dojrzewania, czuł, jak pierś mu się pręży, ramiona nabierają mocy, żyły nabrzmiewają w nogach, a krew pulsuje bujna i gorąca.

Nawet oczy jego nabrały innego wyrazu. Mgliste i mętne dawniej, gdy dostrzegały jedynie ów biały czepek i czerwone wstążki, jaśniały teraz czystością i przejrzystością szyby, którą wytarto z oparów — dostrzegały poraz pierwszy kobietę, nie ów twór wyobraźni, powstały przy studjach Talmudu, nie zmącone, niejasne zjawy z nad ksiąg Kabały — lecz kobietę z krwi i kości, i z ciała, które odcinało się od biało-lśniącej pościeli.

Ta nagle wybuchła żądza posiadania była tak wielka, że stał się w swej pierwszej namiętności pewny siebie, nie jak wstydliwy młodzieniec, lecz jak dojrzały i doświadczony mężczyzna. Serełe odrazu pokochała go. Pokochała go mocno, jak mężczyznę, i jak dziecko zarazem. Przywiązała się doń uczuciem kobiety silnej, szukającej w szlachetnym i tkliwym mężu nietyle mężczyzny, ile dziecka — dziecka, któreby mogła pieścić i dla którego mogłaby się poświęcać.

Gdy rankiem, ubierając się, opowiadała Serełe o sobie, starszym jej siostrom błyszczały oczy, zdjął je lęk przed tym niezrozumiałym Nachmucie, obawiały się

powierzyć mu żydowskie cnoty siostry; postanowiły strzec jej i sypiać z nią tak długo, jak długo zezwala na to rytuał.

— Pamiętaj, Serełe, — ostrzegały ją — byś pozostała cnotliwą córką żydowską. Albowiem dla trzech rzeczy schodzą młode kobiety z tego świata przy porodzie: za niespalenie ciasta Bogu w ofierze, za niezapalanie świec w wigilję świąt, za dopuszczanie do siebie mężczyzny w okresie nieczystości. Serełe, męża należy kochać, ale bardziej jeszcze miłować należy świętą Torę. Masz się trzymać zdala, nie pozwolić mu nawet się dotknąć..."

Serełe kiwała potakująco głową, choć dobrze wiedziała, że słówkiem nawet nie potrafi się sprzeciwić swemu małżonkowi. Z całą uległością prostych i nieskomplikowanych natur widziała już w Nachmucie, w owym smukłym, czarnookim mężu, kogoś znacznie wyższego od siebie. Nie, nie byłaby w stanie cofnąć ręki, gdyby Nachmucie zechciał tylko jej dotknąć.

Lecz wszystkie przestrogi były zbyteczne. Gdy zostawali sami w pokoju, Nachmucie nawet nie próbował zbliżyć się do niej. I podczas obiadu milczał. Ilekroć dokładała mu ze swego talerza kurze skrzydełko, zwracał je milcząc, nie spojrzawszy nawet na nią.

Nachmucie od pierwszej chwili nie lubił Serełe. Odpychająca była dla niego jej ociężałość, jej babski sposób mówienia, sapania, gadanie przez sen, ciągłe czytanie psalmów na nutę starych bab, cała jej tłusta, rumiana, tępa twarz, która bardziej jeszcze działała mu na nerwy, gdy sterczał nad nią ów wysoki atłasowy czepek z pękami czereśni, kwiatuszków i szpilek, co

chwiały się za każdem poruszeniem i opadały na jej goloną głowę.

W Mieszawie czuł się on naogół obco, był opuszczony i samotny, stęskniony za domem rodzinnym w Rachmaniówce.

Ciągle miał przed oczyma ten dom, obraz jego ani na chwilę nie znikał mu z pamięci.

Widział przed sobą wielki bielony dwór z dziedzińcem, pośrodku którego stała studnia, omszała pompa, nad którą wznosi się żelazny lwi łeb. Przez jego paszczę szeroko rozwartą przelewa się bez przerwy czysta, zimna woda i z wartką wesołością opada na gładkie białe kamienie, podmyte i wyżłobione ustawicznem spływaniem strumienia. Tam, we dworze pokoje są szerokie, wysokie i bardzo jasne. Okna czyściutkie, przejrzyste, zawieszone śnieżno-białemi schludnemi firankami. Teraz z pewnością są one napół odchylone i lekki wietrzyk igra z niemi. Po świętach „Sukoth" dozorca dworski Naftule nasypie żółtego piasku między podwójne okna, a służąca Marjaszka powycina z czerwonego papieru wysokie tutki i powtyka je w żółty piasek, na który jeszcze rzuci skrawki waty, jak płatki śniegu.

Pokój ojca obity jest tapetą w złote liście. Pachnie tu mocną aromatyczną herbatą, którą ojciec stale pije z czerwonej szklanki. Ojciec pali cienkie, wonne papierosy, z których unoszą się cieniutkie, wijące się pasemka niebieskawego dymu. Zapach goździków bije z rozmaitych kadzielniczek, zalatuje zza oszklonych drzwiczek czerwonej mahoniowej szafki. Teraz ojciec nuci pewnie piosenkę, cichą, tkliwą piosenkę. Widzi

swego Nachmucie, uśmiecha się doń nie jak surowy ojciec, lecz jak przyjaciel.

— No i cóż, Nachmucie? — pyta. — Uczysz się?

Na pierwszem piętrze mieszka matka. Pokoje są szerokie, lecz mroczne, okna zawieszone ciężkiemi firankami i pluszowemi portjerami. Na dużej tacy kipi dobrotliwie błyszczący brzuchaty samowar. Znad wielkich szaf na garderobę spoglądają duże lwie głowy z okrągłemi pierścieniami w paszczękach. Te lwie łby wcale nie wyglądają groźnie, choć mają gęste rzeźbione grzywy i łańcuchy w zębach. Są to lwy oswojone, pokojowe i łagodne. Wszędzie połyskują srebra: lichtarze, kandelabry, srebrne puhary, kieliszki, tacki, koszyczki, dzbany; migocą barwne szkła i kryształy.

Matka w brunatnej chusteczce na głowie, obciągniętej aż po brwi, jest często niezdrowa, cierpi bowiem na migrenę. Ale cierpienia jej są ciche, domowe, swojskie. Zawsze prawie siedzi na otomanie, kryjąc nogi pod jedwabną suknią, zpod której wystają tylko koniuszki maleńkich czarnych, atłasowych pantofelków. Przeważnie jest zaczytana.

Niemalże stale przebywa u niej jedna z dalekich krewnych, wykwintna dama, córka pewnego cadyka, rozwódka, która nie mogła zżyć się ze swym dostojnym mężem, miała bowiem zbyt wiele arystokratycznych nawyków, i dlatego przybyła na dwór w Rachmaniówce, gdzie wszystko się wybacza, wszystkiemu się pobłaża, i gdzie nikt nie wtrąca się w nieswoje sprawy.

Żyjący we dworze są tak odosobnieni i odgrodzeni od otaczającego miasteczka, jak w jakimś zamku szlacheckim. Pierwsze piętro, zamieszkałe przez rabinową,

nie ma nic wspólnego z parterem, pokojami cadyka i chasydów. Nawet Motie-Gudł nie pokazuje się tu wcale. Czasami tylko jakiś szczególnie bogaty i zeuropeizowany chasyd, przybyły z Petersburga lub Moskwy, odwiedzi rabinową. Podejmie go wtedy dobrem winem, słodyczami, siedząc razem ze swą daleką krewną przy stole. Obie patrzą z zaciekawieniem na obcego, wielkomiejskiego przybysza, przysłuchując się nowinom z szerokiego świata.

— Cóż więc — pyta krewna gościa — Petersburg wciąż stoi na tem samem miejscu? Co?

Nachmucie jest już dorosłym młodzieńcem. Reb Psachje Zwieler studjuje z nim trudne rozdziały Talmudu, o ślubach i rozwodach. Swatają mu już partję, pociąga go już Kabała, lecz matka tuli go jeszcze do piersi, gładzi mu głowę i nuci kołysankę, dziwną jakąś piosenkę. Pamięta dobrze te słowa i tę melodję:

„Leciał, leciał ptak zza siedmiu mórz i gór,
„Pod królewskie okno sfrunął z szumem piór:
„Zbudź się, zbudź, królowo, przetrzyj oczy w śnie —
„Król i mąż twój wieści przeze mnie ci śle...“

Wyrywa się z objęć matki. Nie wypada mu. Lecz matka nie chce go puścić.

— Nachmucie — mówi pieszczotliwie — dziecko drogie, nie martw twej matki, pozwól mi śpiewać. Wszak czcić powinieneś matkę swoją!...

Wstydzi się, lecz jest mu tak błogo, przytulnie i ciepło. To znów czasem chwyci go w ramiona krewna, owa rozwódka, i pożądliwie wycałuje mu oczy. Im bardziej się opiera, tem mocniej ona tuli go do siebie, całuje go namiętnie i śmieje się.

— Głuptasku — mówi — skąd masz takie piękne oczy, Nachmucie, mój królewiczu?...

Więc choć się stara nie myśleć o domu, dworze i mieszkaniu, zapomnieć ich nie może. Usiłuje zatopić się w księgach, zamknąć oczy. Lecz im bardziej oczy zamyka, tem jaśniej staje przed nim rodzinny dom, pokój każdy, każdy kąt. A tu, w Mieszawie, wszystko jest mu obce, odpychające, nawet wstrętne.

Nie znosi tego wielkiego ciężkiego podwórza i niekształtnych budynków, spoglądających obłupanemi, łatanemi murami; ścierpieć nie może tej studni z zardzewiałym łańcuchem, który ciągle tak skrzypi przy wyciąganiu wody. Drażnią go te kupy śmieci tuż obok bóżnicy, w których grzebią zawsze koty, psy, świnie i wrony.

Mdli go zapach kąpieli rytualnych i rózeg kąpielowych, przenikający wszędzie poprzez drzwi i okna. Denerwują go ci kołtuniaści domownicy i chasydzi w podartych ubraniach, przepoconych kapeluszach o zmierzwionych brodach, ci zabłoceni po kołnierze od kapot żydzi, jakich w Rachmaniówce nie widuje się nigdy. Stoją wciąż pod ścianami domów, pod wszystkiemi oknami i drzwiami, i odchylając poły swych kapot, załatwiają swe fizjologiczne potrzeby.

Wstrętem przejmuje go stojąca pośrodku podwórza olbrzymia beczka do mycia rąk — nigdy niema w niej wody, tylko na dnie znajduje się trochę starej, gęstej, cuchnącej cieczy, nad którą głęboko pochylają się żydzi, maczając zaledwie palce u rąk, by móc strząsnąć kilka kropel na spodnie i z czystem sumieniem udać się na modlitwę... Trudno mu znieść wielką bóżnicę, ogołoconą z wszelkich ozdób. Jedynie ciężkie drew-

niane stoły i ławki stoją w niej po bokach, a podarte modlitewniki, rozstrzępione, oprawne w grube płótno albo pozbawione opraw, wałęsają się lub leżą na kupie, w nieładzie, na wielkich półkach, wzdłuż ścian. Odpychający jest ten duży niekształtny piec, zza którego zalatujący zaduch mdli i mąci w głowie. Zaduch szmat, brudnych, spoconych ciał przesiadujących tu nędzarzy i włóczęgów, którzy tu sypiają, palą, obliczają jałmużnę i smrodzą. Obcy są mu ci modlący się ludzie z ich podskakiwaniem, tańczeniem, z ich wrzaskiem, łykaniem słów, ciskaniem się i zwarjowanym śpiewem. Obrzydzeniem przejmują go uczty w bóżnicy, owe ciężkie stoły, brudne obrusy, po których Izrael-Awigdor łazi swemi zabłoconemi butami. Zanieczyszczonemi tabaką rękoma bierze mięso i rybę z rąk rebego i rozdziela je między chasydów. Ilekroć sam cadyk podaje jemu, Nachmucie, rękami kawał ryby, nie może go przełknąć z obrzydzenia. Nie znosi tego lepkiego wina, które Izrael-Awigdor sam fabrykuje, nazywając je winem węgierskiem i częstując niem przy stole. Boi się wszystkich dzieci cadyka, wnuków jego i rodziny, dorosłych i młodych, opasłych i włochatych, niezgrabnych i złośliwych, co spoglądają nań złemi, wrogiemi oczyma.

Nie znosi tych pokojów, zapchanych ciężkiemi szafami, twardemi skórzanemi fotelami i ogromnemi łóżkami z mnóstwem pościeli. Ciągle fruwa tu pierze, osiada na wszystkich przedmiotach. Nie znosi jedzenia, tego wymoczonego mięsa, źle oskubanych kurzych skrzydełek, niedoskrobanych ciepłych nóżek cielęcych i falistych flaków, lepiących się, gęstych i niesmacznych. Nie smakuje mu herbata, podawana tu w grubych

szklankach, przeważnie brudnych, która przypomina zapachem „mikwę“ i rózgi kąpielowe. W żaden sposób nie można się tego zapachu pozbyć. Obca mu jest i odstręczająca własna jego żona, ta rozrosła Serełe, której luźny czepek opada stale na uszy, suknie zwisają, a trzewiki ciężkie, niekształtne stukają po niezbyt często mytej podłodze.

Rumieni się ona zawsze, gdy wchodzi do niej. Przybiera odpowiednią pozę, nie ruszając się z miejsca i jest bardzo uległa. Lecz słowa wymówić nie jest w stanie. Jedyną pieszczotą, którą go obdarza, jest przekładanie podczas obiadu z swojego na jego talerz kurzego skrzydełka.

Ze wstrętem odrzuca jej zpowrotem niedoskubane skrzydełko, i ogarnia go tęsknota, szalona tęsknota ściska go jak obręczą. Tęskni za ojcem, matką, za daleką krewną, za jasnemi pokojami, za studnią na dziedzińcu z zieloną lwią głową, z której ciecze woda na wyżłobione kamienie, za błyszczącym srebrem, za niebieskiemi pasmami dymu z ojcowskich cienkich papierosów, za aromatem mocnej, czerwonej herbaty i za tym upajającym zapachem goździków, wznoszącym się z kadzielniczek srebrnych.

Ta woń rozchyla mu cienkie nozdrza jego rzeźbionego nosa...

Rozdział VI.

Niezwykle uroczyście i hucznie wyprawiono wkrótce wesele cadyka reb Mełecha z Mieszawy z sierotką Małkełe.

Zaraz po „Tyszebow“ *) wyruszył cadyk z orszakiem tysięcy chasydów do Kut, miasteczka na Podkarpaciu, gdzie miało się odbyć wesele. Małkełe nie życzyła sobie, by narzeczony przybył na ślub do niej do Przemyśla. Wuj opowiadał jej o zaszczycie, jaki ją spotka dzięki przybyciu mieszawskiego cadyka z wieloma rabinami, chasydami i bogaczami. Ale nie chciała nawet o tem słyszeć. Wstydziła się przed swemi koleżankami, że narzeczony jej jest taki stary, i groziła, że ucieknie w dzień ślubu, jeśli nie urządzi się wesela gdzieindziej.

Wuj jej, jąkała, drżał ze strachu. Z jednej strony bał się gniewu cadyka, z drugiej strony bardziej jeszcze obawiał się narzeczonej. Znał dobrze tę upartą Małkełe, wiedział, co to za nieposłuszna złośnica. Nieraz już uciekała z domu i trudno było potem sprowadzić ją zpowrotem. Toteż w bardzo delikatny sposób, używając przeróżnych omówień, starał się wytłumaczyć sprawę cadykowi mieszawskiemu. Jąkał się przytem jeszcze bardziej, tak że aż oblał się potem. Ale cadyk mieszawski nie gniewał się wcale.

— Nic nie szkodzi — rzekł — jest jeszcze dzieckiem, trzeba jej wybaczyć.

Wybrał więc jako miejsce ślubu Kuty, miasteczko leżące na uboczu, w połowie drogi od Przemyśla, otoczone wysokiemi górami, miasteczko gdzie mieszkają żydzi prości, lecz pobożni. Wdodatku miasteczko uchodzi za święte. Tu w okolicznych górach kopał glinę wielki cudotwórca „Bał-Szem“ i jednokonnym wózkiem odwoził ją do miasteczka na sprzedaż. I w rzeczce, która przecina miasteczko, kąpał się „Bał-Szem“.

*) Post z powodu zburzenia Jerozolimy w 9-tym dniu miesiąca Ab.

Rzeczka jest czysta i choć płytka, lecz szumiąca i bulgocąca, płynie, pieniąc się i srebrząc po ostrych kamieniach, zaścielających oba jej brzegi. W pewnem miejscu staje się głęboka, sięga człowiekowi po szyję. W tem to właśnie miejscu Bał-Szem zmywał z ciała lepiącą się glinę. Chore kobiety, dotknięte bezdzietnością, przychodzą tu się kąpać i szukać pocieszenia. I cadyk reb Mełech chciał się zanurzyć w tych falach przed czwartym swym ślubem. Dzięki Bogu, czuje się jeszcze dobrze na zdrowiu, lecz nie zawadzi użyć kąpieli w tak świętym zdroju, zwłaszcza gdy się pragnie męskiego potomstwa.

Wesele wyprawiono huczne. Prócz tysięcy chasydów przybyło wielu górali i gazdów z gór okolicznych. Chłopcy strojni w pióra, dziewczęta w koszulach z bufiastemi rękawami, w paciorkach na szyi, przyjechali na drabiniastych wozach, tańczyli po żydowskich karczmach i strzelali na wiwat. Kusztykający pasterze zatrzymywali się ze swemi stadami owiec, chuderlawi chłopi o długich wąsach, w portkach łatanych na kolanach, odrywali konie od roboty, wyściełali wozy słomą i wieźli chasydów do miasta. Zadowoleni z dobrych zarobków, znosili suche gałęzie i rozpalali ogniska na cześć nowożeńców. Razem z grajkami żydowskiemi przybyła kapela chłopska, składająca się ze skrzypiec, fujarek i kobzy — wydętej skóry koźlej, na której przygrywał bosy, wyschnięty, stary dziad, odziany w barani kożuch.

Nazajutrz po ślubie wróciła do Mieszawy cała karawana wozów. Do przewiezienia samych prezentów i podarunków ślubnych trzeba było nająć kilka chłopskich furmanek. Za niemi jechał w karecie sam rebe

ze swą świtą. Długie sznury bryczek z bogaczami, wozów, wyścielanych słomą, z zamożnymi chasydami, i na piechotę wędrujących biedaków ciągnęły po zakurzonych drogach i szlakach górskich. Na samym końcu, w otoczeniu licznych kobiet, kumoszek, służących i posługaczy, jechała młoda pani. Chasydzi śpiewali.

Wszystko to jednak nie było w stanie rozweselić sześćdziesięciokilkoletniego nowożeńca, cadyka reb Mełecha.

Przygnębiony, jakby nie wracał z własnego wesela, lecz z pogrzebu kogoś bliskiego, siedział cadyk w wyściełanej karecie, otoczony swą świtą. Śpiewy chasydów drażniły go i denerwowały.

Cadyk reb Mełech miał powody do smutku.

Już w sam dzień ślubu narzeczona jego Małkełe nie zachowała się odpowiednio.

W Mieszawie panował zwyczaj, że narzeczonej golono głowę już w dzień ślubu, nie zaś nazajutrz. Zwyczaj ten był uświęcony tradycją i nikt w mieszawskim dworze nie ważył mu się sprzeciwić. To też i do Małkełe w dniu wesela przybyła z miasteczka rytualna fryzjerka w towarzystwie dwuch kobiet, by z wielką pompą dokonać obrzędu postrzyżyn. Lecz Małkełe wpiła się obydwiema rękami w swe gęste, krucze włosy i nie pozwoliła nikomu się zbliżyć.

— Nic nie szkodzi, jeszcze się zmieni — powiedziała fryzjerka, zgryźliwa kobieta o spiczastym, pełnym złości podbródku i jednym tylko zębie w szczerbatych ustach — wszystkie one takie, ale nic im to nie pomoże...

Błysnęła przytem brzytwą:

— Boże kochany, chciałabym ja mieć tyle guldenów, ile już głów ogoliłam... Chodź, kochanie, chodź!...

Ale Małkełe nie posłuchała.

Przychodziły ją prosić kobiety, błagały, perswadowały, obiecywały podarunki, 100 guldenów reńskich — lecz Małkełe nie ustępowała. Kurczowo wpijała ręce we włosy i krzyczała:

— Wprzód chyba utniecie mi ręce... Nie pozwolę!...

— Dzieciaku, czy ci nie wszystko jedno? — przemawiały jej do rozumu kobiety — przecież i tak będziesz musiała je ogolić; więc cóż, chodzi ci tylko o jeden dzień?...

— Jutro tak, ale dzisiaj nie — odparła Małkełe. — Będę gryzła każdego, kto się do mnie zbliży. Oczy mu wydrapię!...

Ukazała przytem dwa rzędy ostrych, białych zębów. Kobiety przeraziły się.

Rebe osobiście przyszedł ją prosić.

— Panno młoda — powiedział — masz zostać mieszawską rabinową, winnaś się tedy zastosować do zwyczajów mieszawskiego dworu. Życzę sobie, byś dała się ogolić.

— A ja nie życzę sobie tego — odparła twardo Małkełe, patrząc rebemu z nienawiścią w oczy.

Rebego aż zakłuło w sercu. Pierwszy to raz zdarzyło się, że ktoś mu się oparł, po raz pierwszy ktoś w ten sposób do niego przemawiał.

Wuj jąkała drżał na całem ciele. Oczekiwał czegoś strasznego. Przekonany był, że cadyk każe pakować rzeczy i wracać do Mieszawy. Lecz nic się nie stało. Rebe uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Uparta, jak przystoi córce cadyków... No cóż, nie jest to żaden przepis, lecz zwyczaj zaledwie — niech już tak będzie...

Niczem to jednak było w porównaniu z tem, czego dokazała później. Przez cały dzień szykował się cadyk reb Mełech do nocy poślubnej. Jakkolwiek nie było to dla niego nowością — wszakże trzykrotnie już stawał do ślubu i za każdym razem z dziewicą — niemniej jednak tym razem niespokojny był i podrażniony jak nigdy. Nie przestawał studjować przepisów o pożyciu małżeńskiem, jakgdyby był młodym oblubieńcem. Modlił się, wyszukując sobie takie modlitwy, których nie można znaleźć w żadnych modlitewnikach, lecz tylko w księgach specjalnych i to w bardzo starych wydaniach. Krótkiemi, grubemi palcami rozczesywał swą gęstą brodę i pejsy, których dotąd nigdy nie tknął nawet ręką, i które nigdy nie czuły na sobie grzebienia. Pod pozorem osłabienia przerwał nawet całodzienny post i napił się wódki, zagryzając ją piernikiem. A nawet przez pewnego starego chasyda dał sobie zażegnać uroki. Starzec umył ręce i wygłosił:

— Trzy białogłowy — trzy niewiasty stały na cyplu skalistym. Rzekła jedna: chory; rzekła druga: nie będzie choroby ni słabości. Jeśli mężczyzna cię skrzywdził, niech mu włosy z głowy i brody wypadną. Jeśli cię skrzywdziła kobieta, niech straci zęby i niechaj uschną jej piersi. Podobnie jak woda nie ma swej drogi, a ryba i mrówka nie posiadają nerek, tak niech żadna choroba, żadna słabość, żadna niedola i strata, żaden zły urok nie dotknie Mełecha, syna Dwojry Blumy, gdyż wywodzi się on z rodu Józefa-Cadyka, którego nie imały się żadne złe uroki. Zaklinam was,

wszelkie oczy: złe oko, oko ciemne ,oko jasne, oko zielone, oko wąskie, wyłupiaste oko, oko mężczyzny, kobiety, staruchy lub młodej dziewczyny, która nie zaznała jeszcze mężczyzny — odwróćcie się i nie miejcie dostępu do Mełecha, syna Dwojry Blumy, do żadnej z jego 148 części ciała, ani też do żadnej z jego 365 żył, ani na jawie, ani we śnie...‘.

Małkełe również przygotowywały kobiety. Po raz setny mówiły jej o wielkiem szczęściu, którego doznaje, stając się żoną nienawistnego sobie cadyka, o zaszczycie związanym z tytułem wielkiej mieszawskiej rabinowej.

— Aniołowie starali się o to w niebiosach — mówiły jej — powinnaś się radować...

Niezliczone razy, aż do znudzenia, pouczały ją o szacunku, jaki winnna rebemu, o uległości należnej jego woli. A potem, gładząc ją po głowie i spluwając, odczyniały złe uroki. Z rozpromienionemi twarzami odziały ją z przesadną delikatnością w białą koszulę, sięgającą do stóp i zapinaną aż pod szyję, by nie widać było ani kawałka nagiego ciała. Małkełe nie stawiała oporu, pozwalając im robić ze sobą wszystko, co chciały. Zapomniały więc o jej poprzednich wybrykach i prawiły jej wiele komplementów. Rozczesywały palcami jej krucze włosy, włożyły jej na głowę biały czepek z niebieskiemi atłasowemi wstążkami, i skrzętnie ukryły pod czepkiem każde pasemko włosów.

— Schowaj, schowaj — ostrzegały — niech nikt nie dojrzy tej hańby...

Poczem całowały jej głowę i wysuwały się chyłkiem z pokoju.

— Mazełtow, obyśmy doczekali po dziewięciu miesiącach chrzcin twego syna!...

Nie odezwała się ani słowem Małkełe, gdy rebe wszedł do jej sypialni, śledziła tylko każdy jego ruch dużemi, ciekawemi oczyma. Widziała, jak zrzuca z siebie atłasową kapotę, jak drżącemi rękoma usiłuje ściągnąć przez głowę swój wielki „tales-kuten". Słyszała, jak mruczy coś pod nosem, mamrocze jakąś modlitwę; słyszała, jak starczo i ciężko wzdycha; obserwowała, jak drżą jego broda i pejsy, wywołując śmieszne cienie na oświetlonej ścianie. Ledwo zaś zgasił światło i począł jarmułką pocierać sobie czubek głowy, zręcznie i zwinnie, jak młoda koza, wyskoczyła z łóżka i stanęła pośrodku pokoju w samej tylko koszuli, błyskając czarnemi oczyma, niby fosforem w ciemności.

Na chwilę rebe osłupiał. Pomieszało się coś w starczej jego głowie.

— Chyba to duchy — błysnęło mu w myśli — owe demony, co zakłócają wszelką radość żydom...

Drżał na całem ciele. Kurczowym ruchem rąk począł szukać na sobie „tales-kuten". Wnet jednak oprzytomniał i tak wytrzeszczył swe wyłupiaste oczy, że zdawały się wylatywać z oczodołów.

— Na miłość boską! — mruczał, czując się zgubionym — i nie wiedział, co począć.

Na co jak na co, ale na to nie był przygotowany. W ciągu długiego swego życia małżeńskiego, które ciągnęło się od trzynastego do sześćdziesiątego któregoś roku życia, przechodził różne koleje. Poprzednie jego trzy żony także nie były wszystkie do siebie podobne. W jego starczej głowie plątały się przeróżne

przeżycia, chwile i noce rozmaite: noce wielkiej rozkoszy i noce niewieścich łez, noce niedosytu i kobiecego rozpasania...

Lecz coś podobnego? Podobna samowola?... Takie szyderstwo?... I to z kogo?... Z niego, z mieszawskiego cadyka?!...

Gdyby miał tu pod ręką wuja jej, tego jąkałę, dałby mu porządną nauczkę. Czyż nie jest to zaszczyt dla tego nędzarza, że on, cadyk mieszawski, zniżył się aż do poślubienia biednej dziewczyny, sieroty?... Dla tej dziewczyny to szczęście... Powinna je ocenić i okazać mu odpowiedni respekt. Lecz z wujem nie można było teraz mówić. Mówić należało raczej z nią, z tą właśnie dziewczyną-sierotą, która powinna czuć się wniebowzięta z racji doznanego zaszczytu i szczęścia, stającego się jej udziałem. A mówić z kobietą rebe mieszawski nie potrafił, nie wiedział, jak się do tego zabrać. Nigdy nie zwracał się do kobiet, prócz tych, które przychodziły doń z płaczem i lamentem po radę. Nawet ze swemi trzema żonami rzadko kiedy zamienił słowo. A zresztą, o czem tu gadać z kobietami?...

Narazie próbował po dobroci. Nie odezwał się ani słowem, broń Boże! Co tu gadać z babą? i do tego z taką młódką nierozsądną?... Ale troszczył się jednak o jej zdrowie.

— Nno — mruczał w złości — nie wolno tak wyłazić!... Można się, Boże broń, przeziębić!...

Nic mu nie odpowiedziała, tylko jak kot łyskała w ciemności swem fosforyzującem spojrzeniem.

Gdy to nie pomogło, chwycił się argumentów pobożności.

— Aj — mówił — żydowskiej córce, i do tego wnuczce rabina... nie przystoi tak... to wielki grzech wyrządzać przykrość małżonkowi...

A gdy i to nie poskutkowało, wpadł we wściekłość; cała gęstwina jego brody i pejsów trzęsła się w gniewie.

— Cóż za czelność!... co za zuchwalstwo! — wrzeszczał — mores przede mną!...

W szalonym gniewie zapomniał, kim jest, gdzie się znajduje, i zlazł z łóżka, by skarcić ją, tę bezczelną dziewczynę, i przemocą nauczyć szacunku dla mieszawskiego cadyka.

Lecz oto opuściły go siły, nogi poczęły mu dygotać i ręce drżeć. Poczuł naraz swą starość, zaciążyły mu lata, i stary, złamany, jął stękać i wzdychać, nie jak pan młody w noc poślubną, lecz jak starzec spragniony spokoju i odpoczynku.

Teraz dopiero panna młoda podeszła do niego. Z litości gładziła mu jarmułkę, a on czuł się tak osłabiony, tak złamany, że nie miał już sił wyciągnąć do niej ręki. Przykryła go ciężką pierzyną, położyła poduszkę na nogi, a potem — zmorzył go sen.

I teraz, gdy w wyściełanej karecie wracał z uroczystości weselnych do Mieszawy, obraz owej nocy stał mu przed oczyma, a głowa ciężyła mu jak ołów.

— Wpadłem — obijało mu się po głowie — brzydko wpadłem...

Śpiew chasydów wiercił mu dziury w mózgu, drażnił go, jakgdyby to nie pieśni płynęły, lecz szyderstwa. Kilkakrotnie chciał już ręką dać znak, by zmilkli, ale powstrzymał się. — Poco się zdradzać? — myślał. — Nikt nie powinien wiedzieć o jego cierpieniu.

Siedząc w trzęsącej się karecie, uświadomił sobie, że nie będzie w stanie się rozwieść. Popierwsze, nie wypadałoby to wobec jego chasydów, których i tak już dziwiło, że po raz czwarty się ożenił. Jednem słówkiem się temu nie sprzeciwili, broń Boże! Myśleli, że widać, musi tak być. Zjechali się więc na wesele, nazwozili pieniędzy i prezentów. Jakby to wyglądało, gdyby się teraz miał rozwieść? A co powiedzą inni chasydzi? Śmieliby się przecież w kułak... Na dworach innych cadyków, wrogów jego i przeciwników, nie posiadanoby się z radości. Nie, nie trzeba sprawiać im takiej przyjemności. W żadnym razie!

Podrugie, nie mógł zdobyć się na to ze względu na własny dwór . Dzieci jego — synowie i córki — ostrzegały go przed ponownym ożenkiem. Nie posłuchał ich. Teraz własne jego dzieci będą śmiać się z niego, będą szydzić i drwić. Ustanie wszelki przed nim respekt. Do tego nie może dopuścić.

Potrzecie, szkoda mu było żony, która jechała tam w drugiej bryczce, otoczona rodziną i kumoszkami. Prawda, zmartwiła go, sprawiła mu ból, nie zachowała się wcale, jak przystoi żydowskiej córce. Kto wie, czy on się z tego wszystkiego nie rozchoruje?

Jest już w podeszłym wieku, nie należy go gnębić, trzeba być dla niego wyrozumiałym. Gdy się dręczy, słabnie, jak to się zdarzyło wczoraj. Kto wie, czy to nie pod wpływem zmartwień opuściły go ostatnie siły. Czuje się naraz taki słaby, znużony, zupełnie inaczej, niż przed ślubem. Prawda, dziś rano przy stole wielu chasydów życzyło mu na starość syna. A błogosławieństwo tysięcy żydów — to nie drobnostka. Ale czuje się zmęczony, bezsilny, stary, bardzo stary. A winę pono-

sī ona — tylko ona. Gdzież to słyszano o czemś podobnem? Chyba wśród chłopów, lub prostego ludu, pośród tragarzy? Rozwiązłość przenikła między chasydów, pobożnych żydów i potomków rabinów.

Toteż poczuł nienawiść do tej, co jechała w oddzielnej bryczce, otoczona rodziną i kumoszkami. Z drugiej jednak strony nie chciałby się z nią rozstać. Cóż mu bowiem teraz pozostało? Dzieci stały mu się wrogami i czyhają już, by się podzielić jego spuścizną. „Gabe" Izrael-Awigdor jest również jego wrogiem i zuchwalcem. Ani jednego bliskiego człowieka. A ona jest taka młoda, cud piękności — mówią kobiety. Nie wzbraniał przeto chasydom śpiewać. Przeciwnie, starał się przybrać zadowolony wyraz twarzy. Przekonany był, że wszystko pozostanie tak, jak jest. Nikt nie powinien wiedzieć. Nie zdawał sobie jednak sprawy, czy powinien pomówić z wujem jąkałą, czy nie? Chwilami zdawało mu się, że powinien to zrobić. Chciało mu się wyzłościć, wygadać, kogoś wykrzyczeć. A wiedział, że na nikogo nie można tak krzyczeć, jak na tego jąkałę. A może on pomówi z nią osobiście — myślał sobie — wyperswaduje jej, wyzłości się i udobrucha ją. Ale wnet przyszedł do przekonania, że nie zda się to na nic. Zdobyć ją musi własnemi siłami, chodzi głównie o to, by nie był tak słaby, by czuł się bardziej pewny siebie. A może zgoła zasięgnąć rady u któregoś z profesorów? A może wyjechać na kurację? Najważniejsze jednak, to przed nikim się nie zdradzić, nie wzbudzać politowania.

I przemógł się cadyk reb Mełech, przejął otuchą i wiarą. Zaczął palić jedno cygaro za drugiem, szukając w tem zapomnienia.

— Srul-Wigdor! — coraz to budził swego „gabe“ — ognia mi podaj — Srul Wigdor!

Izrael Awigdor pocierał zapałkę, zapalał mu zgasłe cygaro i przy świetle płomyka zuchwałym i łobuzerskim zarazem wzrokiem spoglądał prosto w oczy swemu rebemu.

Od dworskiej służby dowiedział się, że między niewiastami, które przyszły zrana z życzeniami do pani młodej, doszło do cichych scen. Za bardzo się czegoś spierano przy pościeli, skrzyczano narzeczoną i szeptano pomiędzy sobą. Izrael Awigdor zrozumiał, że ani zdrój Bał-Szema Cudotwórcy, ani zażegnanie uroków niewiele pomogły. To też złodziejskim swym, bezczelnym wzrokiem patrzył prosto w oczy rebemu.

— Narzeczony, możesz udawać, jak chcesz!... Znamy się na tem — myślał w duchu, niosąc do nosa niuch tabaki.

Wreszcie cadyk nasunął kołpak na bakier, jak zwykle, gdy powziął jakąś stanowczą decyzję, i zawołał z animuszem:

— Sruwigdor, gratulacje muszą się odbyć uroczyście i z przepychem. A stoły nakryć w wielkiej bóżnicy — słyszysz, Srul-Wigdor!...

Rozdział VII.

W ciągu siedmiu dni gratulacyj, które z wielką pompą odbywały się w Mieszawie, wuj jąkała, a bardziej jeszcze żona jego, ciotka Adełe, żyli w ciągłym strachu przed wybrykami swej Małkełe, mieszawskiej rabinowej. Drżeli z obawy, by nie zrobiła znów jakie-

goś kawału, jakiejś niespodzianki, a co najważniejsze, by nie porzuciła nagle wszystkiego i wszystkich i nie uciekła podczas uroczystości.

W niepokoju i lęku przed tą możliwością trwali jej wychowawcy przez cały czas, w ciągu tych kilku miesięcy zaręczynowych, począwszy od dnia, gdy wuj przyjechał z Mieszawy z nowiną, że cadyk pragnie poślubić dziewczynę.

Wraz z satysfakcją, jaką sprawiała mu myśl o wydaniu swej krewniaczki zamąż za mieszawskiego rebegi, o spowinowaceniu się z wielkim cadykiem i podniesieniu w ten sposób podupadłego swego znaczenia wśród ludzi, dręczył ich stale jakiś niepokój i lęk. Obawiali się wciąż, by ta dziwaczka Małkełe nie wywołała jakiegoś brzydkiego skandalu i nie wystawiła siebie i swych opiekunów na wstyd, hańbę i pośmiewisko mieszawskiego dworu. Nie dowierzali własnemu szczęściu.

Gdy wuj-jąkała przyjechał niespodzianie z ową radosną wieścią o szczęśliwem małżeństwie, żona jego Adełe odezwała się jednem tylko słowem:

— Dureń!

To właśnie ona, ciotka Adełe, była panem domu. Uważała się za bardzo mądrą, i nie chciała nawet słyszeć tego, co jej mąż wyjąkiwał w wielkiem podnieceniu.

— W sam raz partja dla naszej Małkełe — pokpiwała — lepiejbyś z nią o tem nie gadał, bo ci włosy z brody powyrywa.

Lecz wuj jej nie słuchał. Bez żadnego wstępu, w obawie, by mu żona nie przeszkodziła, przystąpił do dziewczyny z temi słowy:

— Mmmazel tow! — wykrztusił z siebie — Mmałkełe, będziesz mieszawską rabinową!

Ciotka Adełe aż zbladła. Spodziewała się czegoś strasznego. Ale Małkełe wybuchła tylko śmiechem. Wstrząsał nią śmiech szalony. Nie spytała nawet, kim jest ów mieszawski rebe, w jakim jest wieku, lecz śmiała się tylko, śmiała się spazmatycznie, skręcając się w śmiechu aż do ziemi.

— Mamo! — wołała — i znów wybuchała śmiechem.

— Czego tak chichoczesz? — nie mógł już wuj dłużej znieść śmiechu dziewczyny. — Nie chcesz cadyka z Mieszawy?

— Chcę, chcę! — krzyczała Małkełe. Ale gdzie jest piernik zaręczynowy? Gdzie go wuj podział? Ja chcę kawałek piernika...

Wuj stał się nagle tak dumny ze swego zwycięstwa, z pierwszego triumfu w życiu, że zapomniał o swym częstym strachu przed żoną. Wyprostowany, pewien siebie podszedł do żony i podsunął jej dwie figi pod nos.

— Arystoteles! — odezwał się — kto jest mądry, a kto głupi?

— Obyś ty był mądry! — wywracając oczy, odpowiedziała ciotka Adełe — nie mów „hop“, póki nie przeskoczysz...

Małżeństwo doszło do skutku.

W rodzinie Małkełe wszyscy byli szczęśliwi, lecz niespokojni. Dziewczyna chyba zwarjowała — jej zgodę na to małżeństwo tłumaczono sobie, jako jeden z warjackich wybryków Małkełe. Nie wierzono zresztą, że do zaślubin wogóle dojdzie. Znano ją zbyt dobrze z rodzinie, tę szaloną Małkełe. Dosyć miano z nią

kłopotów, jak zresztą i z jej matką. Do siedemnastego roku życia już trzykrotnie uciekała z domu swego wuja i trzy razy musiano ją cichaczem sprowadzać zpowrotem.

Nieczysta krew — szeptano o niej w rodzinie — wraz z mlekiem matki wyssała z jej piersi krew nieczystą. I matka Małkełe, rabinowa córka i synowa cadyka, również uciekła z domu. Była zaledwie o piętnaście lat starsza od swej córki. Wyszła zamąż, mając lat czternaście, a w piętnastym roku życia powiła już córkę. W jedenaście lat po ślubie matki Małkełe była już dziesięcioletnią dziewczyną i zaczęto już myśleć o partji dla niej. Dwudziestopięcioletnia matka córki na wydaniu niespodziewanie uciekła z domu, porzuciwszy męża, dziecko i dwór; zbiegła z węgierskim kawalerzystą, oficerem miejskiego garnizonu, do Budapesztu. Rodzina wyklęła ją, wyrzekła się jej na zawsze. Mąż jej, chorowity potomek wielu pokoleń chasydów, zmarł ze wstydu i tęsknoty... Lecz sprawa cała została tajemnicą. Nawet w sąsiednich dworach nie wiedziano o tym skandalu. Mówiono tylko, że matka Małkełe jest chora i przebywa zagranicą.

Małkełe, zostawszy sierotą, przeszła na wychowanie do ciotki Adełe, która nie miała dzieci ze swym mężem jąkałą i koniecznie chciała jakieś dziecko przygarnąć. Zresztą dom jąkały uchodził za bardzo pobożny, bogobojny, a rodzina pragnęła, by Małkełe była wychowywana w duchu prawdziwej tradycji żydowskiej.

Wuj natychmiast zabrał się do dzieła, wciągając dziewczynę w jarzmo żydowskich obowiązków, czytał z nią rozmaite dzieła o moralności i całemi godzinami pouczał o piekle, gdzie palą i pieką grzeszników.

Uchodził za specjalistę w tych sprawach i dokładnie wiedział, co się dzieje w piekle, potrafił opisać wszystkie kotły ze smołą, wszystkie narzędzia tortur. Ciotka, kobieta leniwa, poczęła również posługiwać się małą, wciąż jej kazała coś sobie podawać, przynosić, ściągać trzewiki, byle tylko dziewczynę utrzymać w karbach i wychować na pobożną i wierną córkę narodu żydowskiego.

Ale dziewczyna odrazu przeciwstawiła się zarówno wujowi, jak i ciotce. Opowiadań wuja o piekle nawet słuchać nie chciała.

— Słyszałam już o tem! — przerywała mu ostro, odwracając się do niego plecami.

Ciotki również nie chciała słuchać i nie okazywała jej szacunku. Ciotka musiała po dziesięć razy na nią wołać, zanim Małkełe raczyła się odezwać. Nawet i wówczas słuchać nie chciała, gdy ciotka opowiadała jej cuda o cadykach i świętobliwych niewiastach.

— Niech mi ciocia Adełe lepiej coś opowie o mamie — przerywała jej właśnie w tem miejscu opowiadania, gdy Wielki Cudotwórca, Bał-Szem, zmagał się z wilkołakiem...

Ciotka Adełe nie pozwoliła jej nawet dokończyć.

— Nie wspominaj o niej! — zakazała — nie masz już matki. Ja jestem teraz twą matką...

— Nie, moja matka jest moją matką! — tupała mała nóżkami — ty jesteś tylko moją ciocią.

W rodzinie poczęto obawiać się tej małej.

— Wrodziła się zupełnie w matkę, przeklęta niech będzie jej pamięć — szeptano...

Podobnie jak i matka jej, Małkełe rosła szybko, była wysoka, zgrabna, smukła jak topola. Oczy miała

czarne o spojrzeniu tak ostrem, że prawie nieżydowskiem. Coś dzikiego błyskało w nich, coś cygańskiego. Włosy jej także rosły dziko, były kruczo-czarne o niebieskim odcieniu, nie kędzierzawe, opadały na ramiona prostemi, gładkiemi pasmami. Żaden kędzior nie wił się na jej skroniach. Równie ostre, czarne i gładkie były jej brwi, długie i poważne, zbiegające się nad kształtnym i prostym nosem, który rozszerzał się nieco i kończył nerwowo drgającemi nozdrzami.

Ciotka, ilekroć czesała małą i plotła jej grube warkocze, wzdychała:

— Nie ma to za grosz w sobie żydowskiego wdzięku!... Spójrz-no na te gładkie kudły, na te plecy proste, jak u gojki — zupełnie, jak „tamta".

Przez „tamtą" rozumiano jej matkę, której imienia nie wymawiano. I tak jak „tamta", Małkełe nie liczyła się z nikim, nie pozwalała nikomu rozporządzać swoją osobą, była uparta, dzika i despotyczna. Miewała nieraz dnie szalone: dnie śmiechu, dzikich wybryków i wesołości bez powodu, to znów dnie nagłego milczenia, goryczy i melancholji bez przyczyny.

— Jakiś bies nieczysty siedzi w tem dziecku — mawiała często ciotka Adełe do męża — jakiś zły duch.

Coś złowrogiego miały w sobie owe dnie jej smutku i wesołości, lubiła się bawić, ale bawiła się dziwacznie, zupełnie inaczej, niż wszystkie dzieci, omal że nie roznosząc pokoju. Gromadziła pełną izbę dzieci, wywracała wszystkie stare, skórzane fotele, wyciągała ze stołów wszystkie szuflady, rozrzucając dokumenty, i robiła t. zw. „kolej" — kurjer, pędzący hen daleko na Węgry, aż do Budapesztu, gdzie przebywa jej matka.

Prócz zabaw w „kolej“ lubiła też bawić się w wesela. Wyciągała z szaf ciotki stare jedwabne stroje weselne, krynoliny, futra, staromodne kapelusze z kolorowemi piórami i ptaszkami, i stroiła się w nie. Gdy tylko znalazła szkatułkę ciotki z broszkami, łańcuszkiem i sznurem pereł, kładła na siebie biżuterję, przystrajała włosy zdobnemi szpilkami i przebierała się za pannę młodą.

Ciotka strofowała ją.

— Małkełe, zrujnujesz mnie, djable, zniszczysz mi suknie. Cóż więcej, niestety, mam prócz tych szmat, ja biedna, na świecie!

Lecz Małkełe jej nie słuchała. Robiła swoje, hałasowała, rozkazywała dzieciom wrzeszczeć, stukać, śpiewać, tańczyć. Ciotka, nieprzyzwyczajona do dzieci, jęczała, że uszy ją bolą od krzyku i że nie dają jej czytać opowieści o cudach cadyków. Małkełe nic sobie z tego nie robiła.

— Dzieci, stukać! — rozkazywała — pociąg musi przybyć jaknajprędzej do Budapesztu.

Owe „wesela“ urządzała równie hałaśliwie. Pewnego razu przyszły nawet sąsiadki ze skargami, gdyż na jednej z podobnych zabaw, na której Małkełe była panną młodą, a ośmioletni chłopczyk z chederu — panem młodym, poleciła dwom swym przyjaciółkom „kumoszkom“, by młodą parę poprowadziły na noc poślubną do sypialni. Dzieci opowiedziały to swym matkom, które przybiegły ze skargą do ciotki Adełe.

— Droga rabinowo, przecież to niesłychane, żeby dziecko już o takich rzeczach wiedziało...

W ciągu kilku dni ciotka badała dziewczynę, usiłując z niej wydostać, skąd dowiedziała się tego, kto jej

o tem mówił. Lecz Małkełe milczała zawzięcie. Tej nocy ciotka nie mogła zasnąć i zbudziła męża ze snu:

— Słyszysz — budziła go ciągnąc za jarmułkę, miast wołać na niego po imieniu, — słyszysz, żeby tylko dziewczyna nie przyniosła nam wstydu!...

Później Małkełe wpadła w inne szaleństwo. Zapałała nagłą miłością do dzieci i to z taką dziką pasją, że matki jej wprost unikały. Gdy przyłapała gdzieś jakiegoś bobasa, całowała go tak namiętnie, tak go ściskała i szczypała, że dziecko dusiło się niemal.

— Czarownica idzie! — wołały matki i uciekały przed nią. Młode matki przypisywały jej rzucanie czarów i złych uroków i lękliwie szeptały przekleństwa na nią:

— Sól ci w oko i pieprz ci w nos...

Gdziekolwiek zachorowało dziecko, matki natychmiast biegły do ciotki Adełe, by wyrwać frendzelek z chustki Małkełe i spalić go w ogniu dla odczynienia uroku. W ten sposób niszczono jej wszystkie chustki. Ciotka Adełe omalże nie umierała ze wstydu.

Mając lat trzynaście, Małkełe poraz pierwszy uciekła z domu.

Bez odzieży, bez bielizny, bez grosza w kieszeni, wsiadła do pociągu i puściła się do Budapesztu, do matki, o której nic nie wiedziała i której nawet nie znała adresu. Znaleziono ją w drodze i odesłano zpowrotem przez policję do domu. Ciotka była pewna, że dziewczyna padnie jej do kolan, że będzie błagać o wybaczenie, lecz Małkełe nawet oczu nie spuściła. Z upartem spojrzeniem, w którem widniał pierwszy głód, spoglądała ciotce prosto w oczy i wypaliła:

— A właśnie, że znów ucieknę!... do matki!...

Wuj i ciotka całemi dniami nie przestawali obmawiać matki przed dziewczyną. Wciąż i wciąż wygadywali, że matka jej była powodem śmierci ojca, wyliczali jej wszystkie grzechy, opowiadali o wstydzie, jaki wyrządziła całej rodzinie, i o jej skamieniałem sercu, co nawet o własnem dziecku nic wiedzieć nie chce, lecz dziewczyny to nie wzruszało.

— Chcę do mamy! — uporczywie powtarzała.
— Będziesz musiała jeść z nią wieprzowinę.
— Chcę do mamy!!...
— Będziesz przecież razem z „gojami"...
— Chcę do mamy!!...
— Wychrzczą cię jeszcze, uchowaj Boże.
— Chcę do mamy... Ucieknę!...

Dotrzymała słowa. Dwukrotnie jeszcze uciekała z domu. Lecz matki nie znalazła. „Tamta" znikła, jak kamfora. I dziewczyna zmuszona była powrócić do swych opiekunów. Od owego czasu jednak stała się milcząca, z nikim nie rozmawiała, stroniła od ludzi. Całe dnie przesiadywała u okna, przyglądając się wojskowym z garnizonu, którzy spacerowali po ulicy. Śledziła wzrokiem każdego przechodzącego oficera, dopóki nie stawał się coraz mniejszy i mniejszy i wkońcu znikał zupełnie.

Wtedy właśnie przyjechał z Mieszawy wuj i przywiózł nowinę o zaręczynach z cadykiem. Dla rodziny było to zbawieniem. Bez posagu, obca, złośnica, o opinji niedobrej, mogła zasiedzieć się w domu, jako stara panna, aż do siwych włosów — wiedziała o tem rodzina — lub, uchowaj Boże, wyjść zamąż za robotnika.

— Takie szczęście! — powtarzano w domu, ale w szczęście to nie wierzono.

— Chciałabym już ujrzeć ją pod baldachimem — wzdychała ciotka, podnosząc oczy na zakopcony pułap — oby zasługi przodków przyszły jej z pomocą!

Przodkowie nie zawiedli. Ciotka doczekała się chwili, w której zobaczyła Małkełe pod baldachimem. Nawet siedem dni gratulacyj miała już za sobą. Lecz nie znikła obawa — przeciwnie, jej niepokój wzrastał z każdą godziną, z każdą nawet chwilą.

— Coś mi to zbyt gładko idzie — obym tego nie wyrzekła w złą godzinę — ciągle powtarzała mężowi — serce mi wali, oby się coś złego nie stało!

Nic się jednak nie stało.

Wszystko szło jaknajlepiej. W ciągu kilku miesięcy narzeczeństwa, Małkełe ani razu nie wspomniała o narzeczonym. Cieszyła się tylko każdym nowym prezentem, który przysyłał jej mieszawski rebe. Podarunków cadyk przysyłał bardzo wiele. Po trzech jego żonach pozostało dużo biżuterji: brylantowe pierścionki, kolczyki, djamentowe broszki, ozdobne szpilki, bransoletki, djademy i napierśniki, wysadzane drogocennemi kamieniami. Córki wprawdzie chciały sobie przywłaszczać spuściznę, każda po swojej matce, lecz ojciec nie pozwalał. Biżuterja każdej żony zostawała dla następnej. Po śmierci trzeciej wszystkie córki chciały wreszcie podzielić między sobą biżuterję, lecz rebe wszystko schował do kutego żelazem kufra na rolkach, który stał zawsze w jego pokoju, klucz zaś rebe miał stale przy sobie. Nie śpieszył się. Miał swoje wyrachowanie. Teraz wszystko to przesyłał narzeczonej, a Małkełe była szczęśliwa. Ustawicznie przy-

glądała się klejnotom, obwiesiła się niemi, stroiła i podziwiała w maleńkiem lusterku, jedynej błyskotce w domu ciotki. Puszyła się, przybierała miny wielkiej damy. Na wyprawę dla panny młodej cadyk przysłał grube pieniądze. Miał wprawdzie zamiar przesłać narzeczonej stroje, które zostały po jego trzech żonach, wiele jedwabnych i atłasowych sukien, oraz futra, lecz Małkełe nie zgodziła się na to. Trwało to długo, zanim rebemu zdołano wytłumaczyć, że staromodnych strojów nie można dziś nosić, choć są jeszcze świeże i tak kosztowne.

— Doprawdy? — dziwił się słowom jąkały, który powtórzył tak, jak mu nakazała żona — nie do pomyślenia, wa, wa, wa...

I przesyłał coraz większe sumy na wyprawę dla narzeczonej. Całemi dniami biegała po sklepach, zakupując aksamity, atłasy i wełny, wybierała materjały pstrokate i jaskrawe, takie dzikie i burzliwe w kolorze, jak ona sama. Kazała sobie odcinać ze wszystkiego, cokolwiek kupcy jej pokazali, a ciotce nawet targować się nie pozwoliła.

— Szalona — gniewała się ciotka — poco ci tyle szmatek? Szkoda pieniędzy.

— Tak mi się podoba... — odpowiadała dziewczyna.

Potem do domu ciotki Adele przybyli krawcy ze swymi pomocnikami i maszynami i szyli wyprawę na miejscu. Majstrowie śpiewali synagogalne melodje, czeladnicy nucili miłosne piosenki zniemiecka, rzucając przytem spojrzenia na narzeczoną. Stuk maszyn, pieśni krawców i ciągłe przymiarki wzbudzały w Małkełe taką radość, że w pewnej chwili złapała ciotkę

w objęcia i poczęła pokrywać pocałunkami oba jej policzki.

— Djablico, puść mnie już — błagała ciotka — posiniaczysz mi jeszcze twarz, ty furjo jedna!..

Wesele było dla Małkełe powodem niezmiernej radości. Ani razu jednak nie wypytywała, jak wygląda narzeczony. Prawda, już przy pierwszem spotkaniu doszło między nimi do sprzeczki. Najpierw przy goleniu głowy, później w noc poślubną.

Stary był zły. Och, jakże się złościł! Aż mu się jarmułka trzęsła. Ale Małkełe wcale się tem nie przejmowała, przeciwnie, pobudzało to ją do śmiechu. Chciało się jej śmiać z tego, śmiać dorozpuku.

O przyszłości nie myślała wcale. Bawił ją ten ceremonjał, ten gwar, to ciągłe kręcenie się wokoło niej, cieszyło ją tłoczenie się chasydów, gardłowanie wścibskich kumoszek, zgiełk kapeli, ciągłe nadskakiwanie jej i schlebianie.

Droga z Kut do Mieszawy przeszła wesoło. Z wszystkich wiosek wychodzili na spotkanie żydowscy arendarze z życzeniami dla cadyka, podsuwali dziecięce główki do błogosławieństwa, prosząc o nie również i dla siebie. Znosili w podarunku flaszki miodu i mleka. Żony arendarzy całowały Małkełe po rękach.

— Wygląda jak królowa, — prawiły jej komplementy, — z twarzy jej promienieje duch Boży.

Cała Mieszawa wyległa na ich spotkanie. Mężczyźni tańczyli, kobiety w podskokach ofiarowywały młodzieńcom zdobione złotym papierem pierniki; chłopcy wyszli na spotkanie z płonącemi świecami, pochodniami i kolorowemi lampjonami. Małkełe ogarnęła taka szalona wesołość, że poczęła huśtać się w bryczce i klaska-

ła wręce. Kumoszki ze strony narzeczonego, oburzone, napuszyły się jak indyki.

Z tą samą dziecięcą radością, z jaką, jako mała dziewczynka, urządzała wesela, nakładając na siebie wszelkie szmatki ciotki, papląc przytem i hałasując — cieszyła scię teraz na swem własnem weselu; radowała ją muzyka, światła, cieszyły kufry, pełne sukien, wiezione za nią na kilku furmankach.

We dworze cadyka dzieci, córki, synowe, wnuczki i krewne powitały Małkełe z niechęcią i zazdrością, które kryły pod pozorami przyjaźni i pochlebstwa. Coraz to inna córka podchodziła do niej, przyglądała się klejnotom, które Małkełe miała na sobie, i wzdychała:

— To naszej matki, — niech pamięć jej będzie błogosławiona, — noś je na zdrowie...

Wszystko to jednak podobało się Małkełe. Już podczas pierwszych dni pobytu czuła, że mieszkańcy dworu nienawidzą się nawzajem, wygadują na siebie, że we dworze istnieją przeciwne sobie obozy, córki rozmaitych matek i synowe, które zazdroszczą jedna drugiej, i nie znoszą się. Ludzie obydwu tych obozów poczęli krzątać się koło niej, docinali sobie, opowiadali o wzajemnych tajemnicach i złośliwie plotkowali. Od pierwszej chwili zwęszyła niezgodę i zawiść, i to przypadło jej do gustu. Nicpoń-Małkełe poczuła, że będzie tu miała pole do działania, będzie mogła coś mieszać, kłócić, rzucać zarzewie waśni, sterować i panować. W ciągu całego tygodnia gratulacyj czuła się, jak ryba we wodzie. Ciotka Adełe nie miała żadnego powodu do niepokojenia się. Później dopiero, po powrocie do domu z mężem-jąkałą, mogła mieć pewne obawy.

Po siedmiu dniach uciechy, gwaru i szumu, przyszły dnie spokojne i monotonne. Rozjechali się chasydzi, zamilkły kapele, a Małkełe pozostała samotna w dużym ponurym domu, pozbawionym wszelkich ozdób, gdzie świecą tylko nagie ściany, gdzie stoją zamknięte staromodne szafy, pełne sukien i strojów, pogryzionych przez mole, po trzech poprzednich żonach cadyka, które tu mieszkały i zmarły. Duże, nieczyszczone okna o czterech szybach wychodziły na brudne, źle brukowane i puste podwórko. Małkełe zlekka rozchyliła firanki i wlepiła oczy w szybę. Nic jednak więcej dostrzec nie mogła, prócz obłupanych murów, krzywych poddaszy, łatanych dachów, ustawicznie skrzypiącej studni, drepcącego chasydka w zatłuszczonym kapeluszu i zabłąkanego kota. Nawet gdyby tu siedzieć miała całe lata — nie ujrzy nigdy nic innego. Wnet ogarnęła ją tęsknota, tęsknota za oknem u ciotki w Przemyślu, przez które widać przechodzących oficerów z twierdzy, tęsknota za czemś dalekiem, za gwizdkami lokomotyw, za migocącemi w nocy czerwono-zielonemi latarkami konduktorów, za dalą, za owym Budapesztem, gdzie jej matka, już prawie zapomniana matka, mieszka z obcym kawalerzystą.

W pokoju nie było żadnego lustra, broń Boże! Lecz Małkełe przeglądała się we wszystkiem, w srebrnych tacach, w puszkach rozstawionych wszędzie, w klejnotach i w małem lusterczku, jedynej własności, którą ukradkiem przywiozła ze sobą z domu ciotki Adełe. Głowę miała już mniejszą, ogoloną. Ukłuło ją to w samo serce, jak cienkiem ostrym nożem.

Sama sobie pokazała język.

— Małpo! — rzuciła młodej kobietce w lusterku.

Ale wnet nasunęła czarną jedwabną chusteczkę na brwi, na owe brwi, co schodzą się nad jej cienkiem nerwowym nosem. Zrobiła jeszcze kilka min i znów spodobała się sama sobie.

Nie wiedziała jeszcze dokładnie, co tu ze sobą pocznie, co jej tu znów wpadnie do głowy, pamiętała jednak, że jest w posiadaniu obfitej cennej biżuterji. Strojów ma również poddostatkiem. Brała więc klejnoty, ważyła je w ręku, bawiła się niemi, a brylatntowe ognie skrzyły się radośnie w jej czarnych oczach.

— Z takiem bogactwem — zaświeciła jej myśl w głowie — można daleko uciec w jakąś ciemną noc, gdy za Budapesztem ogarnie tęsknota...

Na samą myśl o minach, jakie nazajutrz mieć tu będą wszyscy, gdy zastaną pusty pokój, na samo tylko wspomnienie o wystraszonej twarzy ciotki Adełe i o jąkaniu się wuja, poczęła śmiać się głośno w tym pustym pokoju rabina. Na odgłos śmiechu przybiegła służąca, stara panna, lecz wesoła z usposobienia.

— Och, rabinowo, jakżeż się przestraszyłam — odezwała się, podtrzymując swemi czerwonemi, pokancerowanemi rękoma wielkie, rozlane piersi.

— Dlaczego? — spytała Małkełe.

— Poprzednie rabinowe — oby nam pani długo żyła — nigdy się nie śmiały — odpowiedziała dziewczynna. — Alboż tu się kiedy kto śmieje?

Z tych słów służącej powiało smutkiem, do serca Małkełe wdarł się chłód, pokój przygniatał ją swą pustką. Obce dale stały się jej bliższe, pociągały ją ku sobie.

Lecz nagle na dziedzińcu spostrzegła człowieka, jakiego tutaj nie spodziewała się zobaczyć. W okamgnie-

niu poczuła, że tu jest jej miejsce, a nie w obcej dali, tu, w tym wielkim obłupanym dworze, że wszystkie jej tęsknoty nie mają znaczenia, że tu, tylko tu jest jej szczęście i jej przeznaczenie.

Po wszystkich hołdach i przyjęciach, które urządzali synowie i córki cadyka dla nowej rabinowej, po wszystkich pochlebstwach i wyczerpaniu zabiegów o jej względy i zaufanie, po docinkach, poczęstunkach i wtajemniczeniu jej we wszystkie intrygi, Małkełe została zaproszona do Serełe, najmłodszej córki cadyka.

Bardziej, niż wszyscy, szukała Serełe przyjaźni nowej rabinowej. Nie kierowała się żadnemi względami ubocznemi ani wyrachowaniem. Była na to za młoda, za naiwna i zbyt ślepo oddana swojemu Nachumcie. Tej kobiecie młodej, dużej i dobrodusznej obcą była wszelka złość i nienawiść, a dalekie od niej — wszelkie schlebianie, zazdrość i wyrafinowanie. Szukała poprostu przyjaciółki, rówieśnicy, jak każda młoda mężatka po ślubie, która kocha swego męża; a że nigdy nie przebywa w towarzystwie mężczyzn, pragnie więc mieć towarzyszkę i powiernicę, z którą można dzielić się radością, spowiadać się jej ze smutków i powierzać tajemnice swoje.

Serełe przygotowała obfite przyjęcie: wiele kloszów z lepkiemi miodownikami i placuszkami, z konfiturami, wiśniami, sokami, migdałami. Nie miała pojęcia, o czem ma mówić z Małkełe, wstydziła się i nie wiedziała, w jakiej formie ma się do niej zwracać. Małkełe była jej rówieśnicą, ale zarazem i czemś wyższem od niej, gdyż żoną jej ojca, jej macochą. Nie mogła pogodzić się z myślą o mówieniu do niej „ty“, a również trudno było tytułować ją „pani“. Toteż ciągle ru-

mieniła się i tylko od czasu do czasu, bawiąc się sznureczkiem pereł, powtarzała w trzeciej osobie te same słowa:

— Mój Boże, Małkełe nie kosztuje konfitur... Słodycze moje widocznie jej nie smakują...

Małkełe sprzykrzyły się w końcu łakocie, przymilanie się Serełe, nie mniej od owych kilku jej słów, które były równie nudne i lepkie, jak konfitury i miodowe placuszki.

Pożegnała się, zamierzając wyjść. Lecz w progu natknęła się na Nachmucie, męża Serełe. W chwili gdy wychodziła, on wchodził. Chcieli się wyminąć nawzajem, lecz przez to mocniej tylko zderzyli się z sobą. Zapadł już był sobotni wieczór. Pokój Serełe, oświetlony dwiema zaledwie świecami, tonął w półmroku.

W jedwabnym wzorzystym szlafroku, w którym zarysowały się kontury jego elastycznej postaci, w białym, miękkim, wykładanym kołnierzu, okalającym jego smagłą, ciepłą szyję — stał Nachmucie we drzwiach, smukły, pełen czaru, otulony półmrokiem sobotniego wieczoru. Naprzeciw niego stała Małkełe w długiej czarnojedwąbnej sukni, z czarną, sięgającą po brwi chusteczką na głowie, kształtna, zgrabna, ciemnolica. Przystanęli na chwilę, wylęknieni, w zamieszaniu. Oboje chcieli się wyminąć. coś sobie powiedzieć, lecz nie znajdywali słów. Naraz spotkały się ich spojrzenia. Dwie pary oczu czarnych, żarzących się i pełnych zachwytu wtopiły się w siebie, zapłonęły i zabłysły oddaniem się, szczęściem, i zdrętwiały, jak w hypnozie.

Uratować sytuację mogła tylko Serełe. Mogła podejść do nich, rzucić słówko jakieś, powiedzieć swemu

Nachmucie, że to Małkełe, młoda rabinowa, i wyrwać ich z tego wspólnego odrętwienia, z którego nie było wyjścia. Ale Serełe była jak sparaliżowana, ruszyć się nie mogła z miejsca. Stała skamieniała, z opuszczonemi rękoma, jak nieszczęśliwa kobieta, której wytrącono szklane naczynie, i niemem spojrzeniem obejmowała szczątki, u jej stóp leżące. Pierwszy ocknął się Nachmucie. Nagłym ruchem swej wąskiej, chłopięcej ręki przesłonił sobie oczy, odsunął się na bok i zawstydzony wybełkotał:

— Dobry wieczór!...

Słowa te wyrwały Małkełe z odrętwienia i rumieńcem oblały jej twarz od wysokozapiętego na szyi kołnierza czarnojedwabnej sukni aż po gęste brwi.

— Mamo! — zawołała w zachwycie.

I szybko pobiegła do domu, jakgdyby ją kto gonił; zrzuciła z siebie mocno spiętą suknię i uwolniła się ze wszystkich fiszbinów i drutów. Pierś jej wypełniły szczęście, litość i miłość zarazem dla tego, kogo tak nagle spotkała, kto, wraz z namiętnością do mężczyzny, wzbudził w niej uczucie macierzyńskie, jak do dziecka. Odczuła taki pociąg do tego chłopca w jedwabnym, wzorzystym szlafroku, jak kilka lat temu, w domu u ciotki, do owych obcych dzieci, których matki stroniły od niej. Pragnęła pieścić, tulić do piersi, przebierać palcami kędziory, poświęcać się i oddawać swe życie w ofierze.

Ogarnęło ją nowe, nieznane dotychczas uczucie, które przenikało ją całą od stóp do głów: pragnęła tulić do piersi dziecko z nim poczęte, które byłoby tak samo urocze, jak on, którego ujrzała po raz pierwszy, jako obcego i bliskiego zarazem. Uczucie to było w niej tak

gwałtowne, tak rozkoszne i bolesne zarazem, że odkryła pierś młodą, jędrną, małą i drżącą pierś, którą ujęła obiema rękoma, jakgdyby karmiła niemowlę, co samo nie potrafi jeszcze uchwycić ustami piersi matki.

A Nachmucie leżał bezsennie w swym pokoju, trawiony gorączką. Z podwórza dolatywał śpiew chasydów, którzy późną nocą odprawiali posobotnią ucztę. Ktoś czerpał wodę. Studnia skrzypiała w nocy. Nie słyszał tego nawet. Widział ją — widział ją we drzwiach. Jej płonące oczy paliły go. Wyciągnął rękę do Serełe i niespodziewanie począł ją pieścić, najpierw łagodnie, i zaraz znów mocniej, dziko.

Nigdy jeszcze Serełe nie zaznała tyle miłości od Nachmucie, jak owej nocy. W rozkosznem upojeniu nie słyszała nawet, jak ją nazywa obcem imieniem.

— Małkełe — namiętnie szeptał do niej.

Rozdział VIII.

Nachmucie pogrążył się w Kabale. Czytał w niej: Tajemnica połączenia się niewiasty z mężczyzną polega na doskonałości zespolenia się sił męskich i kobiecych tak, by powstało jedno ciało. A mężczyzna, co pożądliwemi oczyma i z wielką tęsknotą czeka na przyjście pięknej i rozkosz dającej Matronity, z radością przypada do niej, i ściska ją, i pieści, i zaspakaja jej żądzę. A po jego pocałunkach, które są zespoleniem dusz, po zespoleniu wewnętrznem, następuje zewnętrzne zespolenie — ręka do ręki, usta do ust, oko do oka. A całus ich obojga w jeden zamienia się oddech. I piękna dziewica bez oczu, wobec której wszystkie inne są

brzydkie i w cień odsunięte, a wszelkie męskie i kobiece siły naśladują miłość Matronity i łączą się ze sobą i zespalają...

Talmudu nie mógł studjować. Wykładowca jego, reb Psachje Zwiler, który pozostał na dworze mieszawskim, by nadal kierować nauką Nachmucie, zabrał się do nauczania go trudnych traktatów, ale Nachmucie nic z tego nie pojmował. Oczy jego nie widziały nawet liter. Widziały tylko ją, Małkełe. Widział ją na dużych kartach foljałów, na wyrzeźbionych lwach nad ołtarzem bóźnicy, w aksamitnych płaszczykach rodałów, w czerwieni zachodzącego słońca. Kartki ksiąg kabalistycznych były mu bliskie, przemówiły doń.

Reb Psachje, człowiek o rzadkiej, jasnej, nigdy nie siwiejącej brodzie, wprost nie poznawał Nachmucie, który stale był teraz zamyślony, zadumany, zajęty sobą. W chwilach trudnej nauki, podczas zawiłych problematów, kiedy należy skupić całą uwagę, Nachmucie naraz odrywał oczy od księgi, zamyślał się nad jakąś drobnostką, nad jakąś brzęczącą muchą, nad skośnym snopem światła, nad przelatującym ptakiem, co przypadkowo końcem swego skrzydła zawadził o okno bóźnicy.

— Nachmucie — odezwał się raz cicho reb Psachje — na co patrzysz?

— Na nic — odpowiedział Nachmucie, jakgdyby go obudzono ze snu — zadumałem się!

Częstokroć nie orjentował się, gdzie czytają, zupełnie jak chłopak z chederu. Reb Psachje cierpiał. Ponury, asceta, któremu stale piekło stało przed oczyma, wiedział dobrze, jak wielkim grzechem jest przerywanie nauki dla jakichś drobnostek, zamiana Pisma Święte-

go, które jest wieczne, na rzeczy, nie mające żadnej wartości. Nieraz opowiadał on Nachmucie o pewnym wileńskim mędrcu, który podczas studjów zanurzał nogi do zimnej wody, byle tylko nie usnąć, nie zadumać się. Byli też tacy cadycy, którzy wykłuli sobie oczy, by nie dać się prowadzić przez „złą wolę", co czyha pożądliwie na oko człowieka.

Reb Psachje nie złościł się. Żył według zasad ksiąg moralności, zwalczał w sobie wszelkie ludzkie słabostki i przyzwyczajenia. Wiedział, że złość jest brzydką przywarą, że gniewanie się równe jest bałwochwalstwu. Wiedział również, że złośnik nie może zostać dobrym nauczycielem. W ciągu długich lat, od chwili kiedy został wykładowcą, ani razu słówkiem nawet nie skarcił żadnego z uczniów, choćby docinali mu, jak tylko mogli. We dworze w Rachmaniówce nigdy nawet oddechem nie dotknął Nachmucie, zwłaszcza teraz, gdy ten został zięciem rebego z Mieszawy. Tylko od czasu do czasu odczytywał mu kilka stronic z ksiąg zasad moralności.

Morały wychowawcy przejmowały Nachmucie do szpiku kości. Reb Psachje posiadał głos, przenikający smutkiem i śmiercią. Z jego bladych warg, wyraźnie odcinających się od płowej jasnej brody i wąsów, snuły się słowa, jak z grobu. Gdy w upalne letnie popołudnia odmawiał on na głos wersety z „Etyki", wszystko napełniało się smutkiem i znikomością głupiego żywota.

Tym samym tonem recytował przed Nachmucie całe ustępy z ksiąg moralności. Ilekroć Nachmucie zamyślił się nad czemś, Psachje zaczynał mruczeć:

— Tak zwykł mówić rabin Chanina ben Chanina: gdy kto budzi się nocą, lub gdy kto, samotnie krocząc

drogą, zwróci swe myśli ku próżnościom tego świata, winien jest własnej zguby. Rabbi Jakob zaś mawiał, że ten, kto przerwie naukę, by powiedzieć, jak śliczne jest drzewo lub jak piękne pole, grzeszy wedle zakonu w życiu swojem.

Nachmucie drżał na te słowa i poczynał się kiwać, chcąc odpędzić od siebie wszelkie postronne myśli, pragnąc pogrążyć się w studjach. Dłonią przesłaniał oczy, by nic nie widziały. Lecz im bardziej je przesłaniał, tem wyraźniej widział owe błahostki, próżność i nonsens.

U cadyka na dziedzińcu nie było drzew. Ale nieco dalej, widoczne jak na dłoni, ciągnęły się czarne zorane pola, na których prawie zawsze można było dostrzec pochylonego chłopa, zwolna kroczącego za swym koniem i pługiem. Niekiedy bocian zatrzymywał się tutaj; stawał na cienkiej, czerwonej nodze i stał tak godzinami na straży, jakgdyby go kto do tego wynajął. Podobnie, jak bocian, Nachmucie potrafił również całemi godzinami bez celu przesiadywać i patrzeć na faliste pola, na kłębki białej waty na niebie, prażące się w słonecznym skwarze.

Zboku ciągnęły się pod górę zielone, wilgotne łąki, pełne brzęczeń, kwilenia i świstów. Dolatywało stamtąd ciągłe rechotanie żab. Nachmucie nasłuchiwał. Owe ciche poszumy ani na chwilę nie przestawały mu brzęczeć w uszach, przejmowały go do szpiku kości, wabiły do siebie, jak światło wabi nocne owady. Tak właśnie pociągały go owe nieme istoty na łąkach, owa łaciata krowa ze łbem, przywiązanym do przedniej nogi, buhaje o długich rogach, którym pastuszkowie przywiązują drążek do nóg, by nie mogły brykać, spę-

tane chłopskie koniki o krótkich nogach i długich ogonach, białe, skaczące owieczki i stada gęsi, brodzące p^ stawie.

Już po raz setny postanowił sobie w duchu nie patrzeć na to wszystko. Bo na cóż tu można patrzeć? Ileż razy warto to widzieć? Nie mógł jednak oderwać oczu od okna. Nie były one wcale znużone ciągłem wpijaniem się w zieleń tych pól, w biel gęsi, w złoto żółtych polnych kwiatów. Ogarnęła go radość ogromna, niezrozumiała. W każdym blasku słońca, co kładzie się na grzywę konia, w każdym strumyku, co srebrzy się wśród zieleni, w każdej ciepłej plamie krowy, nagle ujrzał szczęście. Wszystko doń przemawiało, szeptało tajemniczo, opowiadało o niej, o Małkełe, która siedzi tam w pokojach. Słyszał jej imię w pogwizdach fujarek, na których grali pastuchy, w trzasku ich długich batogów.

Na łąkach bywa często niespokojnie i dziko. Zwłaszcza po długotrwałym deszczu, kiedy słońce poczyna przedzierać się zza chmur i ostry łuk tęczy zarysowuje się na tle bezmiernego nieba. Spętane kobyły rżą wówczas z tęsknoty i tak długo żalą się w przesiąkłem oparami powietrzu, aż zamknięty w stajni ogier, którego się nie wypuszcza razem z klaczami dla utrzymania jego siły rozrodczej, wywala podparte drzwi i z taką furją rzuca się na pierwszą spętaną klacz, że pastuchom trudno jest go odpędzić nawet batem i pałkami.

Młode byczki, które dotąd bawiły się tylko, uganiając po łące od płotu do płotu z zadartemi ogonkami, naraz czują się dojrzałe i zabierają się do własnych matek, których wymiona dopieroco na wiosnę ssały. Na-

wet ociężałe, niestrzyżone tryki zaczynają gonić za wystraszonemi owcami i beczą tęskliwym głosem.

Nachmucie wie, że nie wolno mu na to wszystko patrzeć, że to kala oczy, że za to trzeba potem pościć długie dnie. Zdaje sobie sprawę, że nie jest już chłopcem, lecz mężem niewiasty. Rękoma przesłania oczy, lecz pęd do wilgotnego, parującego pola, które tak się rozpaliło, silniejszy jest od jego miękkiej dłoni. Krew się w nim burzy, oczy mu się powiększają, stają się podwójnie szerokie, dalekowidzące. Wzrok jego sięga hen aż po fijoletowy pas, okalający rozpalone niebo.

Widzi też, że pastuchy stają się również niespokojni, jak ich bydło. Pozwalają mu brodzić po cudzych łąkach, po zoranych polach, a sami uganiają się za pastuszkami; przyciskają je do siebie i wloką w krzaki. Diewuchy uciekają, zrzucają z siebie kiecki i z głośnym wrzaskiem i śmiechami skaczą do stawu i płyną. Jedna z nich, starsza już dziewczyna, niedorozwinięta umysłowo, pasąca wciąż jeszcze gęsi, choć już dawno powinna była wyjść zamąż, obnaża swoje białe ciało do pasa i pokazuje je w słońcu.

Ogarnia go ogromna tęsknota, żądza, która napręża mu żyły, jak struny. Oto wyrasta przed nim ona, Małkełe, tak wyraziście, tak jasno, jakgdyby stała mu przed oczyma. Całuje ją, pieści i tuli, wyciąga ku niej ręce, lecz natrafia na próżnię, budzi się z marzeń i ucieka od okna.

Cierpiał, czuł, że grzeszy, że cały grzęźnie tu w tym dworze. Wiedział z ksiąg, że grzeszyć w myślach jest równoznaczne z grzeszeniem w czynie. Wiedział, że nie tylko za grzeszne uczynki, ale nawet za pożądanie cu-

dzej żony czeka kara straszliwsza od piekła. A w do-
datku, gdy się pożąda żony własnego teścia, macoch
swej własnej żony.

Toteż wziął się do ksiąg moralności.

...A są złe duchy — uczył się nagłos — które mają
po tysiąc par oczu ze wszystkich stron i które torturują
grzesznika samem tylko wpatrywaniem się w niego; są
ognie, co zwią się śmiercią i ciemnością, skargą i prze-
paścią, i wiele innych; a najmniejszy ich ogień parzy
sześćdziesiątkroć silniej od ziemskiego płomieni
a jęki grzeszników sprawiają ból większy od ogni
a wstyd jest ogromny, człowiek bowiem dla jedne
chwili marnej przyjemności skazał się na tak straszn
cierpienia, a szyderczy chichot djabłów jest bardzo gło
śny, a ból bardzo dotkliwy...

Ogarnęła go zgroza. Przyglądał się własnym rękom
wątłym, delikatnym, nie znoszącym żadnego cierpieni:
którym przypadkowe ukłucie lub przygniecenie palc
sprawia ból aż do omdlenia. Widział, jak te jego deli
katne palce zmuszone są zgarniać żarzący się węgiel
jak rozpalonem żelazem wyrywają mu paznogcie. Kre
w nim zastygła.

„...I żył pewien złotnik — czytał — który często za
dawał się z białogłowami, albowiem wyrabiał dla nich
klejnoty, a że nie był przytem powściągliwy, brał nie
wiasty za ręce, a na ich nagich szyjach zawieszał per
ły, a kobiety miłowały go, ileże był urodziwym męż-
czyzną. Toteż zapałała doń żądzą Lilith, która odtąd
przychodziła do niego, ilekroć przywoływał ją w my-
śli, stawała przed nim, naga i chutliwa, i na złotem ło-
żu kładła swe lubieżne ciało, przymilając mu się pie-
szczotliwie, a on grzeszył z nią. A po jego śmierci, Bo-

że litościwy, ścigały go miljony demonów, nazywając go swym ojcem, gdyż on je spłodził, a jego wstyd był okropniejszy od ognia piekielnego, który jest sześćdziesiąt razy mocniejszy od zwykłego ognia, a cierpienia jego były ogromne...“

Zamknął oczy, chcąc wyobrazić sobie grzesznego złotnika, za którego pogrzebem pędzi miljon demonów, nazywając zmarłego swym ojcem. Widział jednak tylko ją, Lilith, ubraną w jedwabie, z czarną chustką na głowie, spadającą aż po brwi. Źrenice jej są czarne i błyszczące. Przywołuje ją, a ona przychodzi doń naga i pożądliwa, kładzie swe lubieżne ciało na złotem łożu, przymilając się doń pieszczotliwie, a on grzeszy z nią i szepce: Małkełe, Małkełe...

Noce bardziej jeszcze, niż dnie, wypełnione były ową obcą kobietą, którą sprowadził tu cadyk mieszawski. Śniło mu się, że nie jest ona żoną, lecz córką rebego z Mieszawy, a jego, Nachumcia, narzeczoną. Odbywa się wielkie wesele; on siedzi przy stole, wygłasza jakiś toast, potem nakrywa jej twarz atłasową chusteczką. Nagle chusteczka wypada mu z rąk. Kobiety podnoszą lament. Potem siedzą w oddzielnym pokoju i zajadają złocisty rosół ze wspólnej miseczki, następnie dwaj starcy biorą go pod rękę, wprowadzają do jej pokoju i zatrzaskują za nim drzwi. Serełe ukazuje mu się, jako córka jąkały. Jest chorowita i umiera. Cadyk mieszawski staje się grabarzem; dużym rydlem kopie dla niej grób. On, Nachumcie, opłakuje ją. Ale żona jego, Małkełe, ociera mu łzy z oczu, jak to czyniła jego mateczka, gdy był jeszcze zupełnie małym chłopcem, i powiada do niego, że narzeczonemu nie wolno płakać...

Zawsze przed udaniem się na spoczynek odmawiał wszelakie modlitwy, które odpędzają złe sny, zaklinają aniołów - stróżów; lecz sny powtarzały się zawsze niemal te same. Nazajutrz zrana czuł się winny wobec Serełe, wstydził się przed nią, jakgdyby ona wiedziała o jego nocnych zjawach.

Pościł i umartwiał się.

Serełe cierpiała. Wybierała dla niego najsmaczniejsze, najlepiej wypieczone placuszki, obsypane makiem i kminkiem, które tak bardzo lubił, lecz których teraz nawet tknąć nie chciał.

— Zły miałem sen — usprawiedliwiał się — będę pościł.

Wychudł, wysechł, oczy stały mu się dwa razy większe, były duże i pałające w otoku brunatnoniebieskich obwódek. Serełe obawiała się o swego męża. Chciała rozmówić się z nim, wypytać go, lecz nie znalazła słów, nie wiedziała, jak ma się doń odezwać. Odważyła się na coś, czego się sama przestraszyła. Napisała do swej teściowej z Rachmaniówki o postach Nachumcie. Matka napisała do Nachumcie długi hebrajski list, w którym błagała go, by szanował swoje zdrowie i przestał się udręczać. W liście tym prosiła go również, by przyjechał do domu do Rachmaniówki, jakkolwiek kilka miesięcy dopiero upłynęło od ślubu.

— Dziecko drogie — zakończyła po żydowsku, jak zwykła była pisać zawsze, ilekroć chciała dać upust swym macierzyńskim pieszczotom — przyjedź do swej mamy, na którą niech spadnie wszelkie zło, co ciebie spotkać może.

Przerwał posty. Wyobraźnia i myśli w owych dniach intensywniej jeszcze pracowały, niż zazwyczaj. Mie-

wał grzeszne przywidzenia. Ale do Rachmaniówki nie wracał. O ile przedtem we dworze mieszawskim wszystko przejmowało go wstrętem i drażniło, o tyle obecnie zżył się i zrósł z temi obszarpanemi ścianami, z ową skrzypiącą studnią, ze spiczastemi kamieniami na dziedzińcu, z każdą szybą w oknach i każdą klamką we drzwiach. Wszystko stało się jej, Małkełe, cząstką. Godzinami mógł przesiadywać u okna swego pokoiku na poddaszu i wyglądać, wyglądać tak długo, aż zjawi się na dziedzińcu ona. O ile przedtem nigdy nie wchodził do pokoju teścia, z którym nie lubił się widywać, o tyle teraz coraz to częściej go odwiedzał, by pożyczyć jakąś księgę, lub pogawędzić o talmudzie, byle tylko móc się zbliżyć do niej, Małkełe, doznawać uczucia, że to ona siedzi tuż za ścianą. Na samą myśl o tem przejmowały go dreszcze.

Ilekroć Nachumcie był u cadyka, Małkełe wchodziła do pokoju. Stawała się nagle bardzo troskliwa o zdrowie rebego. Przynosiła mu mleko w szklance, lub lekarstwa na tacy, które zwykłe zażywał.

— Powoli, powoli — mruczał tkliwie cadyk, sam nie wiedząc, co ma powiedzieć — sama się fatygujesz...

Nachumcie nawet nie ośmielił się spojrzeć w jej stronę, bał się poprostu oczy na nią podnieść. Serce mu zamierało, lecz ona przechodziła zwykle tak blisko obok niego, że tren jej sukni ocierał się o jego kolana, a fala powietrza w przelocie muskała mu rozpaloną twarz. Całemi dniami potem krążyło to mu we krwi, paliło i sprawiało niewysłowioną rozkosz.

Pewnego razu, gdy był u cadyka, uchwyciła go nawet za rękę. Rebe, zadowolony, że zięć przychodzi do niego na talmudyczne pogawędki, prosił swą małżon-

kę, by poczęstowała gościa winem. Małkełe, wnosząc poczęstunek, zawadziła ze zdenerwowania o tren swej sukni i omal-że nie upadła. Błyskawicznie wyciągnęła rękę, chcąc uchwycić się krzesła, lecz chwyciła się instynktownie jego dłoni i tak kurczowo przylgnęła do niej, że przez chwilę nie mogła oderwać swych palców od jego ręki. Nachumcie stał, jak skamieniały, i nie mógł się ruszyć z miejsca. Nie był w stanie jej pomóc. Wówczas sam cadyk podszedł do niej i niezgrabnie odsunął ją na bok.

— Ach! — westchnęła, wypuszczając z rąk flaszkę z winem.

— Pal licho wino — odezwał się cadyk — czyś sobie aby nic złego nie zrobiła?

Lecz Małkełe uciekła z pokoju, jakgdyby ją kto gonił.

Przez osiem dni Nachumcie nie pokazywał się swemu teściowi na oczy. Pocierał miejsce na dłoni, którą dotknęły jej palce, zmywał je wodą, jakgdyby chciał płomień jakiś ugasić. W ciszy jednak, podczas nauki, właśnie w chwili pogrążania się w księgach talmudu, gładził pieszczotliwie swą dłoń, jakgdyby była obcą, a raz nawet wstydliwie pocałował owo miejsce na niej.

Potem znów przychodził do teścia lub spacerował po dziedzińcu, byle tylko przejść się pod jej oknami. Zazdrościł schodom, które prowadzą do jej pokoju, białej kotce, co siedzi pod jej drzwiami. Przerwał naukę u swego wychowawcy, chodził zamyślony, nie słyszał, co się do niego mówi, nie odpowiadał na pytania, nie wiedział, co się dokoła niego dzieje. Pewnego razu nawet w bóżnicy tak się zapomniał, że nie dokończył mo-

litwy, odmawianej zwykle szeptem. Stał, nie ruszając ię z miejsca, i kiwał się, i kiwał, i nie widział, że wszyscy czekają, by skończył modlitwę. Wkońcu, gdy kantor, nie mogąc się doczekać, począł już nagłos powtarzać modlitwę, obudził się z zamyślenia i zawstydzony szybko cichej modlitwy dokończył.

Innym razem nie słyszał nawet, jak wywoływał go gabe przy odczytywaniu rodałów, i tak się zamyślił, że ze wszystkich stron poczęto wołać go po imieniu:

— Reb Nachum, reb Nachum!

Przy stole cadyka nie odzywał się słówkiem nawet wtedy, kiedy częstowano go winem, podawano „szirajim“, lecz jedząc siedział, jak ubogi uczeń przy obcym stole. Często zapominał o soli, a herbatę pijał bez cukru.

Serełe obawiała się czegoś, lecz wstydziła się o tem mówić. Bała się, nie wiedziała, jak zacząć, brakło jej odpowiednich słów.

— Może sprowadzić doktora — pytała się ciągle, nigdy nie otrzymując odpowiedzi.

W nocy również nie zachowywał się wobec niej tak, jak to nakazują przepisy, zawarte w księgach, których treść znała już na pamięć.

Wieczorami, po kąpieli rytualnej, odmawiała przeróżne modlitwy, chcąc znaleźć łaskę w oczach przeznaczonego jej losem męża. Przy pomocy różnych niedomówień, jakiemi posługują się pobożne kobiety, dawała mu do zrozumienia, że może zbliżyć się do niej, lecz jego oczy nic już nie widziały, a uszy nic nie słyszały.

Innym znów razem zaczął nagle całować ją i pieścić tak gorąco, tak namiętnie, że się go aż przelękła. Zastygła z przerażenia, nie wiedząc, jak na to reagować.

W owych księgach nie czytała nigdy o podobnem n samowitem zachowaniu się. Czuła tylko, że powin z kimś o tem pomówić, komuś się zwierzyć, zasięgn czyjejś rady. Nie było jednak z kim mówić; ojciec b obcy, daleki, matka już dawno nie żyła, siostry za córki poprzednich żon cadyka, były od niej o wiel starsze i żyły zdała, odosobnione.

Toteż przylgnęła do Małkełe, zwierzała jej się ze wszystkiego, zdradzała swe tajemnice. Z rumieńcami wstydu na twarzy opowiedziała jej o swej udręce, niepokoju, o tych wszystkich nawykach Nachumcie, o jego kaprysach i dziwacznem zachowaniu się.

Nikt tak nie uważnie nie wysłuchał jej, jak ta je młoda macocha, której we dworze nikt nie lubił i wszyscy uważali za złośnicę. Małkełe zaś połykała poprostu każde jej słowo.

— Kocham cię bardzo, Serełe — szeptała w uniesieniu, całując i pieszcząc ją — opowiedz, skarbie, opowiedz wszystko, jak swej rodzonej siostrze.

Rozdział IX.

Małkełe, młoda żona cadyka, przebywała częściej u Serełe, niż u siebie w mieszkaniu. Do swego pokoju przychodziła tylko po to, by zjeść i przespać się. Resztę dnia spędzała u swej pasierbicy.

I tu, jak dawniej w mieszkaniu ciotki, powywracała wszystko do góry nogami. Przestawiła meble, przystroiła firankami okna, rozwiesiła rozmaite świecidełka i szmatki, poprzekładała suknie, robiąc to wszystko

taką zachłannością i energją, że Serełe stała jak otumaniona, czując się u siebie, jak w obcym domu.

— Zobaczysz, Serełe — mówiła podniecona — wyhaftuję ci nawet barwne landszafciki i porozwieszam na ścianach. Wstawi się lustro...

Serełe aż się przestraszyła:

— Co ty mówisz, Małekełe! W Mieszawie takie rzeczy?.. Gdyby ojciec się o tem dowiedział....

— To niech się dowie! — odpowiedziała, nie przejmując się Małkełe. — A będzie tak ładnie...

Gdy skończyła ze zdobieniem mieszkania, zabrała się do Serełe. Stroiła ją, zamieniała z nią suknie, wybierała wciąż nowe stroje dla siebie i dla niej, przybierała rozmaite pozy, podnosiła tren sukni, jak to czynią damy w niemieckich romansach, wachlowała się lub brała Serełe wpół i tańczyła z nią kadryla. Serełe nie brała prawie w tem wszystkiem udziału. Znała tylko jeden taniec, tradycyjny taniec weselny, z męską czerwoną chusteczką. Małkełe wirowała z zawrotną szybkością, unosząc się niemal w powietrzu. Gdy Serełe dostawała zawrotu głowy i padała nieprzytomna, Małkełe zanosiła się od szalonego śmiechu, tak że słychać ją było w całym dworze.

Serełe, jak stara żydówka, sprzerażenia szczypała się w obydwa policzki.

— Małkełe, tak śmiać się nie wolno!.. Nachumcie może jeszcze usłyszeć!..

— Nic mu się złego nie stanie!.. — rzuciła Małkełe, wybuchając głośniejszym jeszcze śmiechem.

Zdarła z Serełe atłasowy czepek, ozdobiony sztucznemi czereśniami i kwiatami, i włożyła jej na głowę jedwabną chustkę przystrojoną pękiem wstążek i szpi-

iek. Serełe patrzyła z niepokojem na jej dziwactw nie licujące z powagą mieszawskiego dworu, lecz prze ciwstawić się jej nie miała odwagi. Nie odważyła si słówkiem nawet oponować pomysłowej Małkełe. Ja pobożny żyd, który zgubił jarmułkę, zasłaniała sobie obydwiema rękami goloną głowę, która przez chwilę zostawała bez nakrycia.

— Dlaczego trzymasz się za głowę? — śmiała się Małkełe.

— Żydowskiej córce — pouczała Serełe śpiewnym tonem — nie wolno nawet ścianom pokazywać nagiej głowy.

Na złość pasierbicy Małkełe przetrzymała ją tak dość długo, zanosząc się na jej widok od śmiechu.

— Wyglądasz, jak ostrzyżona owca — drwiła z niej — meee!..

Używała wszelkich sposobów, by ją rozgniewać, rozzłościć, lecz Serełe nie potrafiła się kłócić, ani odcinać. Umiała tylko zalewać się łzami, płakać gorzko i naiwnie.

W takich chwilach Małekłe zwykle przypadała do niej, pocieszając ją i całując, a ściskając, omal nie dusiła jej w objęciach. Stroiła jej głowę jedwabnemi wstążkami, ubierała naprzemian we wszystkie ślubne suknie, obwieszała ją swoją biżuterją i zachwycała się:

— Serełe, będziesz wyglądała, jak księżniczka! Nachumcie cię nie pozna.

— On i tak nawet nie patrzy na mnie, jest zawsze taki zajęty nauką...

— Teraz już spojrzy, zobaczysz,Serełe — odparła, śmiejąc się — rób tylko, co ci każę...

Wprowadziła nowe zwyczaje: zabroniła Serełe zanosić mężowi herbatę na poddasze, lecz kazała go prosić nadół do pokoju. Serełe bała się, lecz Małkełe nie ustępowała.

— Głuptasie — tłómaczyła jej — ci w Rachmaniówce nie są tacy zacofani, jak w Mieszawie, nawet z kobietami rozmawiają. Jeśli chcesz, by cię Nachumcie kochał, powinnaś wprowadzić te same zwyczaje, jakie u nich panują. Posłuchaj mnie!

To poskutkowało. Nachumcie nie upierał się. Wszedł ze spuszczonym wzrokiem, pozdrowił obecnych i zasiadł do stołu. Małkełe przysiadła się obok Serełe. Narzuciła na siebie jedwabną chustkę, pokrywając nią również i Serełe, i oczyma pożerała Nachumcia.

— Oto są konfitury—rzekła, podsuwając mu talerzyki, jakgdyby tu ona była gospodynią — a tu są placuszki z makiem...

Nachumcie milczał. W Mieszawie nie rozmawiano z kobietami, nie siedziano przy jednym stole. Ale Małkełe znała rozmaite sposoby wszczynania rozmów towarzyskich. Urodzona i wychowana na dworach cadyków, orjentowała się dokładnie we wszystkich sprawach, dotyczących pokrewieństwa i genealogji wielu dworów rabinowych, zarówno w Galicji, jak i w Rosji. Za wszelką cenę chciała teraz udowodnić swe pokrewieństwo z dworem w Rachmaniówce.

— Jeśli cadyk z Ryżnowa spowinowacony jest z cadykiem z Karlinowa — ciągnęła z ową pewnością człowieka dobrze poinformowanego, — to z tego wynika, że ja jestem w pokrewieństwie z Nachumciem ze strony matki...

Twarz Serełe spłonęła rumieńcem. Na Małkełe patrzyła, jak na dziwo: ona, własna jego żona, nie odważyłaby się mówić z nim w ten sposób, a Małkełe, kobieta obca, czyni to tak prosto i nie wstydzi się wcale. Nazywa go nawet po imieniu: „Nachumcie“, czego ona dotąd nie ośmieliła się zrobić. Zdziwiona była tembardziej, że on, jej małżonek, odpowiada. Wprawdzie Nachumcie ma spuszczone oczy, urywanemi mówi słowami, odpowiada cicho, ale jednak odpowiada.

Od owej chwili codziennie podawano herbatę nadole. Małkełe stała się tu w domu Serełe prawdziwą gospodynią. Rządziła wszystkiem, posyłała ją za sprawunkami, jakgdyby była u siebie w domu, a Serełe była służącą.

Tak się jakoś potrafiła urządzać, że zawsze pozostawała przez chwil kilka w pokoju sam na sam z Nachumciem. W domu wuja i we dworze cadyka wiele nasłuchała się o tem, że żydowi nie wolno pozostawać sam na sam z żadną kobietą, a tembardziej z kobietą zamężną. Ale właśnie dlatego robiła wszystko, byle tylko pozostać z Nachumciem i cieszyć się, widząc, jak on aż skręca się ze wstydu i z udręki.

Zawsze znajdywała jakiś pretekst do wysłania Serełe z pokoju. To zabrakło soku malinowego, to znów trzeba było przynieść pierniki z zamkniętej szafki, stojącej w sieni. Lub też robiło jej się nagle zimno i z całą słodyczą, na jaką tylko ją było stać, tuliła się do Serełe, prosząc:

— Serełe najdroższa, poszukaj tam jakiej chustki dla mnie!..

Serełe wiedziała z ksiąg, że w takim wypadku nie należy wychodzić z pokoju, że jest to nieprzyzwoicie,

że Nachumcie może to jej wziąć za złe, iż pozostawiła go sam na sam z kobietą zamężną, lecz nie śmiała oponować. Nie potrafiła przeciwstawić swej słabej woli cudzym słowom, a tembardziej Małkełe, tej wielkomiejskiej i mądrej Małkełe, i to w dodatku w obecności własnego męża. Słowa wyrzec nie mogła. Jakgdyby zahypnotyzowana wychodziła ociężale do sąsiedniego pokoju, do sieni, gdzie stały szafki, lub dokądkolwiek ją Małkełe posyłała.

Wówczas Małkełe szybko i zwinnie przysuwała się do Nachumcia, wsypywała mu cukier do herbaty, przynosiła talerzyki i tak się kręciła koło niego, że raz musnęła go aksamitnym rękawem po twarzy, kiedyindziej znów nogą dotknęła jego kolana, albo ręką jego ręki.

— Herbata wystygnie, Nachumcie, — szeptała, wyśpiewując jego imię z taką miłością i pieszczotą w głosie, że mu wszystko z rąk wypadało.

Razu pewnego nawet wywrócił szklankę herbaty. Ilekroć sprzątała ze stołu, szeptała mu do ucha własne jego imię. Bawiło ją jego zakłopotanie, ustawicznie stała przy nim, chociaż już słychać było ciężkie stąpanie dużych trzewików Serełe. Dopiero w ostatniej chwili jednym susem, jak kotka, odskakiwała tak, że Sereła zastawała ją zawsze na tem samem miejscu, na którem zostawiła ją, wychodząc przed chwilą z pokoju.

— Serełe — powiedziała — mąż twój przewrócił szklankę herbaty. Podaj mu inną!

Owa gra z Nachumciem i z powolną, dobroduszną Serełe sprawiała jej taką satysfakcję, tyle przynosiła rozkoszy, że pod jej obecność, używając najbardziej

wyrafinowanych sposobów, codzień mocniej zaciskała węzeł, łączący ją z tym bronzowym, jakgdyby wyrzeźbionym młodzieńcem. Posługiwała się tysiącem tajemnych wybiegów, jakich kobiety stale używają do okazania tkliwej miłości temu, o kogo się ubiegają. Składaniem jaknajczęstszych wizyt, niememi pieszczotami lub niedomówieniami, których tępa Serełe nigdy nie dostrzegała, a które przeznaczone były wyłącznie dla niego, dla jej wrażliwego męża, dopinała celu.

Śmiałej i żądnej wrażeń Małkełe nie zadawalały już ciągłe odwiedziny u Serełe, szukała teraz okazji i spotkania się sam na sam z Nachumciem poza domem. Ciągle obserwowała jego pokoik na poddaszu. Pod wszelkiemi pozorami przechadzała się pod jego oknem, by ujrzeć, jak za każdym razem odchylają się firanki i para czarnych oczu płonie za szybą. Wiedziała, kiedy wychodzi i kiedy wraca. Wiedziała, że codziennie idzie na łąki i długo błądzi tam po miedzach i wzgórkach nad rzeczką. Udawała więc, że spaceruje, idąc w przeciwną stronę, zawsze jednak tak, by się z nim spotkać po drodze.

— Nachumcie — szeptała do niego, przechodząc.

Szybko uciekał do domu. Postanowił nie chodzić tam więcej, lub też wychodzić wraz ze swym wychowawcą, rebem Psachje, prowadząc rozmowy i ucząc się z nim. Lecz nazajutrz znów szedł o tej samej porze na to samo miejsce, chcąc usłyszeć ów czuły szept. Wkońcu jednak doszło do tego, że przestał zupełnie wychodzić ze dworu.

Pewnego dnia pod koniec września, kiedy było jeszcze gorąco, jak w lipcu, Nachumcie wybrał się za miasto. Po drogach w powietrzu unosiły się nici „babiego

lata", oznaki jesieni. Bociany przenosiły się z jednego dachu wiejskiego na drugi. W zieleni sadów czerwieniły się dojrzałe jabłka i gruszki. Na łąkach chłopi kosili potraw i układali go w stogi. W powietrzu pachniało, a Nachumcie szedł wciąż aż zabrnął w las, co ciągnie się daleko gdzieś pod same góry. Przypatrywał się mrowiskom u pni drzew, zadzierał głowę ku dzięciołom, kującym dziobami w korę, gonił wzrokiem czerwone i czarne wystraszone wiewiórki, skaczące z drzewa na drzewo. Nagle zerwał się gwałtowny wicher, zatrząsł wierzchołkami sosen i wnet spadł ulewny, rzęsisty deszcz, któremu towarzyszyły mocne grzmoty i błyskawice, jakie zdarzają się tylko w ostatnie gorące dni późnego lata.

Nachumcie skrył się w dziupli starego spróchniałego drzewa, któremu czas i pioruny powyrywały wnętrzności. Wtulił się w jego wydrążenie, umył ręce w deszczowej wodzie, odmówił modlitwę dla zażegnania piorunów. Niespodziewanie, jakgdyby z pod ziemi wyrosła, ujrzał Małkełe, przemoczoną od deszczu i wystraszoną. Szybko wcisnęła się w dziuplę i przylgnęła doń mocno.

— Nachumcie — szepnęła, przyciskając rękę do piersi i otrząsając się z deszczu — ulewa złapała mnie w drodze. Tak się strasznie boję!...

Nie spytał nawet, skąd przychodzi, skąd się tu wzięła. Czuł tylko, jak krew w nim się burzy, od stóp do głów krążąc.

Przez chwilę trwali w milczeniu. Patrzyli na strugi deszczu, padające z nieba, na wezbrane strumyki i potoki, pędzące po ziemi, i milczeli.

Naraz znów poczęło grzmieć, a za każdym piorunem Małkełe chwytała rękę Nachumcie.

— Boję się — szeptała...

Nachumcie przerwał wreszcie swe milczenie.

— Nie trzeba się bać — odpowiedział. — Należy umyć ręce i odmówić modlitwę...

Usłuchała go. Wyciągnęła ręce z dziupli, bawiła się kroplami deszczu, spadającemi rzęsiście na jej rozpalone dłonie, i usiłowała przypomnieć sobie, jaką to modlitwę należy odmówić dla odpędzenia piorunów. Lecz nagle błyskawica przecięła świat cały na połowę i na chwilę pokryła wszystko gwałtownem światłem. Naraz zagrzmiał piorun; mocny, długotrwały, urwał się w połowie, aby huknąć nagle tem potężniej, groźniej i wywołać niezliczone echa w ciężkiem, dusznem powietrzu. Małkełe ze strachu oplotła szyję Nachumcie i przywarła doń, jak dziecko do matki.

— Boże mój — szeptała — m—a—a—m—o!

Wyrwał się z jej objęć. Błysnęło poraz drugi. Ciężkie niebo przecięła olbrzymia błyskawica, podobna do ognistej rózgi, do rózgi Bożej, co chłosta grzesznych i winnych.

Owego wrześniowego, burzliwego dnia, tu, w tem spróchniałem drzewie, obok niej, żony jego teścia, ogarnął go lęk. Uciekał, nie bacząc na strugi deszczu, na błyskawice. Małkełe krzyczała za nim błagalnie.

— Nachmucie, grzmi przecież! Ja się tak boję!...

Pobiegła za nim w deszcz, lecz on nie zatrzymał się nawet i pędził do domu.

A gdy wylękły, znużony i przemokły do nitki, wrócił do dworu, odprawiano już przedwieczorną modli-

twę i odmawiano psalmy na intencję pierwszego dnia nowego miesiąca.

Całą noc trawiła go gorączka. Serełe sprowadziła doktora... Gdy Nachumcie powrócił do zdrowia, stał się jeszcze bardziej milczący, teraz wcale już nie opuszczał swego pokoiku na poddaszu. Małkełe, jak zwykle odwiedzała Serełe, wyczekiwała, pragnęła go tylko zobaczyć, lecz on nie ukazywał się nawet na chwilę. Nie chciał już przychodzić na herbatę i omijał własne mieszkanie. Małkełe codziennie udawała się na długie spacery, zachodząc daleko w ów las; odszukała to samo wydrążone drzewo, ukryła się w niem i wyczekiwała długo, choć pewna była, że on nie przyjdzie.

W ciągu całych świąt nie pokazywał się wcale, ani razu nawet nie zajrzał do pokoju swego teścia.

Jedynie względem Serełe stał się bardziej serdeczny i bliższy. Nie rozmawiał z nią, ale zachowywał się wobec niej tak, jak to mówiły owe czytane przez nią księgi o prawdziwem pożyciu małżeńskiem. Z rumieńcami na okrągłych policzkach opowiadała o tem Małkełe.

— Z chwilą, gdy wyzdrowiał, stał się zupełnie innym człowiekiem — mówiła.

Małkełe nie dawała za wygraną. Ciągle kręciła się pod jego oknami, przychodziła do pokoju Serełe. Czekała tylko, by minął groźny miesiąc październik ze swym Sądnym Dniem i wszystkiemi świętami, a potem Nachumcie będzie znów taki sam, jak był przedtem. Była pewna tego.

Długo, długo rozmyślała po nocach nad sposobami zbliżenia się z nim, z Nachumciem, jedyną osobą,

przez którą pobyt jej w mieszawskim dworze ma jakiś sens.

Lecz oto ze dworu w Rachmaniówce przybył do Nachumcie wysłaniec, który specjalnie przyjechał, by odwieźć go do domu, do rodziców.

W Rachmaniówce nie mogli się już doczekać przyjazdu Nachumcie. Na wszystkie listy rodziców, wzywające go do domu, dawał wymijające odpowiedzi. Żona cadyka z Rachmaniówki przywołała do siebie „gabe“ Motie Gudł, dała mu pieniądze na paszport zagraniczny, na podróż i nakazała nie pokazać się nawet bez Nachumcia we dworze.

Z wielką ochotą wybierał się Motie Gudł w podróż. Z każdym dniem wzmagała się w nim nienawiść do galicyjskich chasydów. Był on przeciwny temu małżeństwu, choć słowa o tem nie bąknął. Dobrze jeszcze pamiętał ów docinek, jakim na weselu poczęstował go mieszawski „gabe“, i pragnął odebrać Nachumcie z rąk tych galicyjskich dzikusów i krzykaczów.

Nie zdążył jeszcze wejść na dwór mieszawski, a już złościł się, gniewał i poganiał Nachumcia, jakgdyby się paliło.

— Tak, tak — strofował go już przy przywitaniu — jak się zasiedziałeś w Mieszawie, żeś zapomniał o ojcu, matce, dworze w Rachmaniówce. Matka, — oby nam długo żyła, — już wytrzymać nie może z tęsknoty za tobą....

W Mieszawie należycie ugoszczono przybysza, prosząc, by się tak bardzo nie śpieszył z wyjazdem. Lecz on słyszeć nawet o tem nie chciał. Nawet jadać nie chciał we dworze. Kręcił się tylko z wychowawcą Na-

chumcia, reb Psachje, jedyną spotkaną tu osobą z Rachmaniówki, i popędzał:

— Prędzej — no, prędzej, śpieszy mi się.

We dworze przygotowywano wszystko do wyjazdu: pieczono pierniki, ciastka, gotowano kury, wlewano sok do flaszek, napełniano słoiki konfiturami, jakgdyby miano wyprawiać Nachmucie na koniec świata. Serełe krzątała się, robiła zamęt. Chciała pokazać swej teściowej, tej zacnej rabinowej w Rosji, że w Mieszawie wiedzą, jak należy obchodzić się z zięciem, pozostającym na utrzymaniu dworu. Napakowała więc huk jadła i łakoci, lecz Motie Gudł nic nie pozwolił zabierać ze sobą.

— Nie trzeba — zbyteczne! — mówił złośliwie — wszystko przywiozłem Bogu dzięki z Rachmaniówki....

Kazał jednak zapakować wszystkie ubrania, bieliznę, a nawet i futra.

— Będą ci potrzebne, Nachumcie — mówił znacząco — rabinowa, oby długo żyła, nie pozwoli ci tak prędko wrócić do Mieszawy. Nie pali się.

Zabrał również ze sobą wychowawcę, reb Psachje Zwilera.

Serełe miała oczy pełne łez. Siostry, z któremi zazwyczaj nie widywała się prawie nigdy, gdyż trzymały się zdala, poczęły jej naraz dokuczać, że teściowa nie zaprosiła jej wraz z Nachumciem do Rachmaniówki.

— Nie wypada jej, tej damie!... — mówiły zgryźliwie.

Chciała zapytać Nachumcie, kiedy zamierza powrócić, chciała mu powiedzieć, że będzie za nim tęsknić, by do niej pisywał, lecz wstydziła się, nie miała odwa-

gi, nie wiedziała, jak zacząć. Pożegnawszy się wprzód z teściem i szwagrami, Nachumcie pożegnał się wreszcie z Serełe. Rozstali się prawie bez słowa, nie podając sobie nawet ręki i nie wymieniając swych imion.

— Bądź zdrowa! — wykrztusił wreszcie Nachumcie, stojąc we drzwiach.

— Szczęśliwej podróży! — odpowiedziała, rumieniąc się, zawstydzona Serełe — pamiętaj, owiń sobie szyję, byś się, broń Boże, nie zaziębił...

Tak samo pożegnał się z Małkełe, szeptał coś cicho, nie podnosząc oczu od ziemi.

Serełe stała, jak skamieniała, i nie wiedziała nawet, że powinna odprowadzić odjeżdżającego męża. Dopiero Małkełe wzięła ją za rękę i pociągnęła za sobą.

— Chodź, odprowadzimy go kawałek drogi....

Serełe szła drogą i spoglądała na wynajętą bryczkę, grzęznącą w błocie, na wąskie powleczone jedwabiem plecy Nachumcia, coraz bardziej znikające w oddali. Ściskała mocno za rękę Małkełe, nie mogąc nadążyć jej szybkim krokom.

A gdy konie poczuły gościniec pod kopytami i szybko pognały, pozostawiając wszystko za sobą w tumanach kurzu, Małkełe, znużona, usiadła na przydrożnem kamieniu i wybuchnęła głośnym płaczem.

Serełe przeraziła się, osłupiała, nie wiedząc, co się stało z tą Małkełe. Wreszcie błysła jej myśl jakaś w głowie, babska jakaś myśl, pochyliła się nad nią i spytała:

— Małkełe, może jesteś w ciąży, nie wstydź się, powiedz. Ojciec, oby żył, będzie się cieszył...

Małkełe płacząc, roześmiała się nagle. Śmiała się głośno, długo, histerycznie, niepowstrzymanym śmiechem.

— Ma—mo — wołała i znowu wybuchała śmiechem.

Rozdział X.

Dla Małkełe we dworze mieszawskim nastały dnie ciężkie, pełne udręki, niepokoju i zwątpienia. Monotonne i szare dnie.

Przesiadywała znowu u Serełe; zajadała ciągle jej lepkie konfitury, przysłuchując się wciąż tym samym jej ciężkim wynurzeniom. Lecz teraz to przesiadywanie straciło dla niej sens. Raz w tygowdniu nadchodził list od Nachumcia z Rachmaniówki. Serełe dawała go Małkełe do przeczytania. Listy te były oschłe, składały się z kilku zaledwie słów, mówiły o zdrowiu i załączały pozdrowienia dla wszystkich. Małkełe jednak przypadała rozpłomieniona do tych skąpych liścików. Odczytywała je dziesiątki razy.

Bardziej jeszcze zajmowało ją pisanie dla Serełe listów do Nachumcia. Serełe usilnie starała się pozyskać względy swej dostojnej teściowej, przekonać ją, że nie jest taką głupią, za jaką ona ją uważa. Pięknym charakterem pisma pochwalić się nie mogła. Litery wywodziła niezgrabne, krzywe, jak z pod kurzej łapy, podobne do pisma jej ojca, które wogóle do niczego nie było podobne. Nic więcej nie potrafiła przejąć od swego nauczyciela, lwowskiego żyda, który z jakiegoś kiepskiego niemieckiego zbioru listów nauczył ją niegdyś paru hebrajskich zdań na zakończenie listów: „ode-

mnie, Sary Serełe, córki wielebnego Cadyka z Mieszawy". Toteż listy za nią pisywała Małkełe.

Małkełe pisała długie listy, które w nocy układała w pamięci, pełne delikatnych niedomówień o tęsknocie, oddaniu i ukrytej miłości. Życie całe wkładała w owe cudze listy. Serełe wykoszlawionemi literami przepisywała je. Im ładniej starała się pisać, tem więcej robiła kleksów i plam. Małkełe poprawiała, dopisywała, skreślała, a potem obie szły na pocztę i z bijącem sercem wrzucały list do skrzynki.

W pogodne dnie Małkełe błądziła po drogach, po owych polach, gdzie zwykle spotykała Nachumcia. Lecz wkrótce nastały dnie ponure, słotne, kiedy niebo wygląda jak mokra szmata, zawieszona nad światem, półnagie drzewa nie przestają szumieć i płakać, a ziemia tak rozmięka, że kobiety wciągają na nogi wysokie buty. We dworze jest pusto. Wskutek niepogody nieliczni tylko chasydzi przybywają do dworu. Wszystko spowite jest mgłą, błotem i wilgocią. Jedynie zbłąkane, brudne świnie wałęsają się po dziedzińcu, ocierają się o mury, chrząkając wstrętnie. Dnie stają się coraz krótsze. Nie zdąży się człowiek obejrzeć, a już zapada noc. Zapalone świece i lampy rzucają więcej mroku, niż światła. Małkełe obca, zgnębiona i zła, kręciła się w takie dnie po dworze, jak zwierzę w klatce.

Cadyk mieszawski okazywał jej teraz więcej miłości i oddania, niż dotychczas.

Wolny od świąt, od chasydów, wcześnie kładł się spać. Wilgoć i deszcze wywoływały łamanie w jego starych kościach, chłód go przejmował, szukał więc trochę ciepła u swej czwartej żony, na którą wydał prawie cały majątek, na którą mało się nie zrujnował.

— Nno — mówił, ziewając po zmówionej modlitwie — w zimie należy wcześnie kłaść się spać.

Nie odzywała się. Weszła do swego pokoju i usiadła na krześle, z zadowoleniem przysłuchując się jego jękom i wzdychaniom.

Nienawidziła go. O ile Nachumcie w swem uczuciu do Małkełe nietylko nie objawiał nienawiści do własnej żony, lecz przeciwnie, jak każdy mężczyzna, kochający cudzą żonę, czuł się wobec swej własnej winnym, grzesznym, okazywał więc jej współczucie i gorącą miłość — o tyle Małkełe, jak każda kobieta, która kocha innego, nienawidziła swego męża, nie żywiła dlań żadnej litości, ani współczucia.

Przygotowała sobie posłanie w drugim pokoju. Uciekała od niego. O północy brała pościel ze swego łóżka, rozkładała ją na ziemi i nakrywała się pierzyną aż po głowę.

Cadyk czuł, jak serce zamiera w jego kosmatej piersi, jak kona z bólu.

— Małkełe — wołał stłumionym głosem — Małkełe, nie wolno tak leżeć na ziemi. Zaziębisz się jeszcze...

Było to wszystko, co mógł jej powiedzieć. Nie znajdował dla niej innych słów.

Nie odzywała się nawet.

Często pokpiwała sobie z niego, drażniła go i martwiła. A gdy był już zmęczony, bezsilny i sponiewierany, zbliżała się doń, by drwić z jego starości i poniżać go. Jakże żałośnie wyglądał ten starzec, którego ubóstwiało tysiące ludzi, szukając u niego pomocy! jakże śmieszny i mizerny przedstawiał widok z temi rozwianemi pejsami i ociężałością swej opasłej tuszy! Podobny był do owych kamiennych figur o koźlich nogach,

które oglądała w miejskim ogrodzie w Przemyślu. Na samą myśl o tem, gdy jej przyszła do głowy, roześmiała się głośno.

Cadyka ogarnął niepokój. Łamał sobie głowę, rozmyślał i w żaden sposób nie mógł zrozumieć, czego ona właściwie chce. Przecież obdarzył ją tyloma honorami, pojął dziewczynę bez grosza posagu, ubrał, wystroił, podarował jej wiele klejnotów i podniósł ją do godności żony cadyka mieszawskiego. Czego więc jeszcze pragnąć może? Po długich dociekaniach przyszło mu na myśl, że prawdopodobnie chce ona zabezpieczyć sobie byt. Młoda i naiwna, obawia się widocznie, że po jego śmierci — niech żyje sto dwadzieścia lat — spadkobiercy nie zechcą jej przygarnąć, lecz przepędzą bez żadnej ceremonji ze dwora.

— W tem sęk — zaświeciło mu w głowie — i może ma swoją rację.

Dzieci jego bowiem oczekują tylko chwili, kiedy zamknie oczy. Niewdzięczne to istoty — te dzieci. Nie ulega wątpliwości, że Małkełe to właśnie ma na myśli — był pewien tego— pragnie, by jej zabezpieczył przyszłość, zapisał część dworu i pieniądze. W tem tkwi przyczyna jej gniewu, przez to go tak źle traktuje. Lecz będąc kobietą, i to w dodatku młodą, wstydzi się o tem mówić.

Myśl ta rozjaśniła mu naraz wszystko w głowie. Niezwłocznie przywołał „gabe“ Izraela Awigdora i posłał po miejskiego rejenta. Przesiedział z tym „gojem“ długie godziny. Polecił zapisać swej czwartej żonie część domu, klejnoty oraz znaczną sumę pieniędzy. Następnie razem z Izraelem Awigdorem przełknął kieliszek

wódki, przekąsił piernikiem i podochocony, mruczał kilkakrotnie, pełen nadziei:

— Chwała Bogu, chwała Bogu....

Tego wieczoru udał się wcześnie na spoczynek. Długo i żarliwie odprawiał modły, przeplatając je kilkoma specjalnemi modlitwami, i poprzez całą gęstwinę swego zarostu uśmiechał się do Małkełe. Cała kędzierzawość jego brody i wąsów, brwi, uszu i nosa skręcała się z radości.

— Małkełe — rzekł — jesteś już chwała Bogu, bogatą i jak jeszcze bogatą....

Lecz Małkełe nie ucieszyło to zbytnio. Nawet nie okazała mu za grosz wdzięczności za to jego wielkie dobrodziejstwo. Był zakłopotany.

Nadomiar złego z nikim nie mógł o tem mówić, przed nikim się zwierzyć ze swego cierpienia, u nikogo zasięgnąć rady. On, który tylu ludziom udzielał pocieszenia, czuł się teraz opuszczony, sam wśród wszystkich swych dzieci, bliźnich, wśród tysiąca chasydów, sam jeden ze swym wstydem, bólem i bezsilnością wobec tej biednej sieroty, którą tak bardzo uszczęśliwił.

— Jakiś zły duch siedzi w niej — mruczał do siebie.

Stracił apetyt, nie mógł sypiać. Nawet cygara mu nie smakowały. Czuł w nich tylko smak goryczy. Zaczął więc dbać o swe zdrowie. Brał zimne kąpiele, połykał pigułki. Jeździł po świecie i zbierał u chasydów pieniądze, by zapomnieć o swem nieszczęściu. Toteż wiele zebrał pieniędzy, gdyż był surowy i bezwzględny wobec swych wiernych. W blasku fortuny zapomniał o swej niedoli.

A dla Małkełe snuły się dnie nudne, bezmyślne, pełne smutku i pustki. Bardziej jeszcze beznadziejne były

noce, owe długie zimowe noce. Ściany potrzaskiwały, zamarznięte okna skrzypiały. Nie mogła zasnąć, zdrzemnąć się choć na chwilę. Gryzła poduszkę, płakała z ogromnej tęsknoty za nim, za tym, który teraz jest tak daleko, gdzieś po tamtej stronie granicy. Chwilami wyobrażała go sobie w myślach, przed zamkniętemi oczami zjawiała się jego twarz, jego wysmukła, jakby wyrzeźbiona postać. Widziała go tak plastycznie, że całować poczęła poduszkę, która w jej wyobraźni przybrała formy jego oblicza.

Wnet jednak uniosła ją złość, że ją samotną w tej tęsknocie pozostawił; nienawidziła go, wygrażała nawet pięściami. Widywała go też w swoich snach, w swych książkach, które czytywała ukradkiem, w swych robótkach i haftach. Bardziej namiętna i zmysłowa, niż Nachumcie, o umyśle nie tak przemęczonym, wyostrzonym przez naukę, nie tak wyniszczonym ciągłem ślęczeniem nad kabałą i księgami, tęskniła za nim tem gwałtowniej i nieokiełznaniej, nie dając się uśpić marzeniom sennym, ani oszukać wyobraźnią. We krwi jej płonął ogień, co szukał ugaszenia.

Przyszły noce wyczekiwania. Uszy jej chwytały każdy szmer, wyłaniający się z ciszy, wszelki dźwięk, zakłócający spokój nocy. Zdawała sobie dobrze sprawę z tego, że ten, na którego czeka, nie przybędzie tu, że jest gdzieś daleko, bardzo daleko; że nikt tu wogóle nie przyjdzie do tego strasznego dworu. Leżała jednak z otwartemi oczyma, czujna na każdy odgłos, na każdy najlżejszy nawet szelest. Czekała na cud.

Zdarzały się też noce gniewu. Dzika ogarniała ją złość na ten dwór, na ciotkę, która ją tu sprzedała, na matkę, która przebywa gdzieś na obczyźnie z obcym

mężczyzną, na wszystkich znajomych, nawet na niego, na Nachumcie, który jest tak głuchy na wołanie jej serca. W gniewie strąciła ze ściany staroświecki zegar, tego wroga ludzi, cierpiących na bezsenność, który bezustannie wybija swe nudne godziny, a między któremi upływa wieczność cała. Podarła na strzępy niemieckie książki, które tyle razy już przeczytała. Z wściekłością darła gładkie kartki z gotyckiemi literami i ilustracjami, wyobrażającemi elegantów w cylindrach i damy w koronkach.

Były też noce litości i współczucia samej nad sobą. Wyskakiwała wtedy z łóżka, ubierała się w najkosztowniejsze suknie, wkładała na siebie najwspanialszą biżuterję i długo, długo podziwiała siebie w owem małem lustereczku od ciotki Adele, gdyż innych luster w pokoju nie było. Podnosiła tren, tańczyła — tańczyła sama, szybko, gwałtownie, aż do zawrotu głowy, a potem wystrojona rzucała się na łóżko i płakała głośno i rzewnie.

Niekiedy też otwierała okno. Rozebrana, w samej tylko koszuli siedziała przy otwartem oknie i z rozwartemi oczyma patrzała na biały, prószący w świetle księżyca, śnieg. Chciała się przeziębić i umrzeć.

Wyobrażała sobie wszystkie trzy poprzednie żony cadyka, które tu niegdyś żyły i umarły, które tu może były równie samotne, jak ona. Oglądała swą własną śmierć. Ludzie idą za jej pogrzebem. I Nachumcie jest między nimi. Suknie jej wiszą w szafach razem ze sukniami poprzednich żon. Zjadają je mole.

Cierpiała tak mocno, że przypadła do szaf, wyrzuciła pogryzione przez mole suknie swych poprzedniczek

i rozdzierała je na strzępy. Rwała przytem szybko, jakgdyby wyrywała włosy z głowy znienawidzonej kobiety.

Litowała się nad sobą, nad swem młodem ciałem. Rozebrała się do naga, pieściła swe smukłe uda, swe okrągłe ramiona, młode i jędrne swe piersi, jedno po drugiem. Oczy miała pełne łez.

W końcu przeniosła się do Serełe i spała z nią w jednem łóżku.

Przez całą noc gadała coś, paplała. Znienacka przyciskała ją do siebie i namiętnie całowała, szepcząc, jak to dawniej czyniła, gdy małych dopadła dzieci:

— Serełe, skarbie mój, zjem cię....

Niekiedy zabierała do siebie służącą. Nie dała jej jednak ani na chwilę zasnąć. Podarowała jej jakąś suknię i nalegała, by ją właśnie teraz wśród nocy włożyła na siebie. Wypytywała, czy miała już kiedy narzeczonego, to znowu brała ją wpół i rzucała się w wir szalonego tańca. Dziewczyna o dużych, rozlanych piersiach nie śmiała się zbliżyć do rabinowej, lecz Małkele brała ją przemocą.

Razu jednego nawet powyjmowała z szafy ubrania cadyka, narzuciła na siebie jego watowany szlafrok, nasadziła na głowę kołpak i rozkazała służącej, by pozwoliła jej pobłogosławić się tak, jak to czyni cadyk.

Służąca wybuchła dzikim śmiechem.

— Boże — ryczała w śmiechu — gdyby to tak ludzie widzieli!...

Małkełe, przejęta zaraźliwym śmiechem służącej, wtórowała jej głośno. Zanosiły się obydwie, pokładając się wprost ze śmiechu. A gdy jedna kończyła, rozpoczynała druga.

Później napisała list do ciotki Adełe, prosząc, by ją odwiedziła. Ciotka przyjechała i natychmiast zaczęła jej prawić morały i opowiadać bajdy o cudach pobożnych żydów. Koniecznie przytem wiedzieć chciała, kiedy już będzie w błogosławionym stanie. Toteż Małkełe czemprędzej odesłała ją zpowrotem do domu. Podarowała jej mnóstwo sukien i wypędziła.

Teraz samotnie błąkała się po zaśnieżonych polach, po drogach, zasypanych śniegiem. Przyglądała się samotnym, nagim topolom, które gałęziami wrastały w mroźne, zielonkawe powietrze. Obserwowała zimne skrzydła wiatraku, ostro zarysowującego się na tle chłodnego, czerwonawego nieba. Wsłuchiwała się w krakanie czarnych wron, skaczących całemi stadami po śniegu, zlatujących się gromadnie, by za chwilę szybko dokądś odlecieć.

Cała w czerni, błąkająca się po śniegu, sama przypominała wronę. Chwilami nawet podskakiwała, jak one, i rękoma, niby skrzydłami, wymachiwała w powietrzu, jakdgyby pofrunąć chciała razem z temi czarnemi ptakami. Chłopi lękali się jej, myśląc, że to czary, i na jej widok żegnali się krzyżem.

I znów oczom jej ukazywały się owe dale, co zawsze pociągały ją do siebie. Jakaś nieznana siła porywała ją ku odległym gwizdom lokomotyw, ku czerwonym latarkom konduktorów, snujących się po nocy, ku owym hen dalekim miastom, gdzie jej matka przebywa z obcym mężczyzną.

Zaczęła przemyśliwać o ucieczce ze dworu. Chciała tylko zaczekać do wiosny. Aż tu naraz przed świętami Wielkanocnemi nadeszła depesza z Rachmaniówki, że Nachumcie wyjechał do Mieszawy.

Małkełe rzuciła się na szyję Serełe, całując ją z tak szaloną namiętnością, że pasierbica wybałuszyła swe duże przejrzyste oczy, jak cielę.

— Idź już, idź — gniewała się. — Byłabyś mnie udusiła!...

Rozdział XI.

Nadeszła wiosna, wczesna, nabrzmiała i soczysta, jak dojrzały owoc. Przyniosła z pobliskich gór szum topniejącego śniegu i napełniła Mieszawę pluskiem krętych potoczków i strumyczków, świecących w słońcu, jak rozlane srebro. Zgniłe gałązki, żwir, szczątki i piórka jakiejś ptaszyny, zwiędłe igliwo i stwardniałe szyszki płynęły z pobliskich wzgórz, zwiastując ukryte dotąd szczęście, budząc do życia nowe nadzieje i napełniając serca zdrową radością, dla której warto żyć na świecie.

Ze wszystkich dziur, z każdej szczeliny w ziemi, z każdej nawet kupy śmieci lub wyschniętych liści, tryskała i spływała wiosna. Słońce kładło się na łatane dachy, kąpało się w każdym strumyczku, igrało z czerwoną spadzistą dachówką bóżnicy, z czarnemi żelaznemi krzyżami kościoła i pozłacanemi kopułami małej rusińskiej cerkiewki.

O świcie na czarnych, zoranych polach snuły się opary. Z żarem wschodzącego słońca wyłoniły się z rozgrzanej gleby zielone trawki. Wśród topniejących śniegów zieleniła się ozimina, taka świeża i jasna, że chłopi błogosławili Boga i grudkami ziemi odganiali hałaślwe ptactwo. Pierwiosnki wychylały ciekawe swe główki na świat. Wysłane na zwiady, bociany, powracające

z dalekich ciepłych krajów, zataczały kręgi na tle jasnego nieba, obdziobywały słomiane dachy stodół i chat i z głośnym klekotem odlatywały do swoich, zwiastując oczekującym na nie stadom, że lato się zbliża.

Chłopcy witali bociany radośnie, klaszcząc w dłonie:

— Bocianie - królu! gniazdo się pali!!...

Po nocach żaby rechotały w bagnach, ciepłe deszcze zmywały dachy. Krople deszczu dzwoniły w podstawione beczułki i gliniane garnki, które dziewczęta nastawiają, by w zebranej wodzie deszczowej myć swe gęste włosy, swe ciężkie warkocze.

Równie wczesna, nabrzmiała i soczysta wiosna obudziła się w tęskliwem sercu Małkełe, rozkwitała i rozpierała jej piersi.

Nachumcie wrócił z Rachmaniówki. Stał się jakiś wyższy, jaśniejszy i bardziej dojrzały. W domu matka bardzo dbała o jego zdrowie, pielęgnowała go, otaczając go swoją matczyną opieką. Codziennie zrana przynosiła mu do łóżka maślane pieczywo i mleko.

— Jedz, dziecko, jedz — prosiła — dzieciom cadyka wolno jeść jeszcze przed modlitwą. Zresztą ojciec pozwolił...

Gdy się opierał i nie chciał, zmuszała go do tego.

— Posłuszeństwo względem matki — twierdziła — jest większą zasługą wobec Boga, niż modlitwa. Szacunek dla rodziców nakazuje Pismo Święte, a niejedzenie przed modlitwą jest tylko zwyczajem.

Na takie argumenty Nachumcie nie miał żadnej odpowiedzi. Był więc posłuszny. Matka nie pozwoliła mu nie jeść nawet w dni tradycyjnych postów.

— Dzieci cadyków — powtarzała — nie poszczą. Ojciec ci pozwala....

Nachumcie utył, wyrósł, a na górnej jego wardze ukazał się nawet ciemny puszek, taki delikatny i miękki, jak u smagłych, uroczych dziewcząt. Nadawało mu to pierwszy urok męskości. Oczy jego stały się bardziej czarne, wzrok bardziej pałający, a ilekroć Małkełe chwytała jego spojrzenie podczas wizyt u Serełe, czuła, że oczy te paliły ją, jak ogniem. Serce jej przytem ściskał ból tak mocny, że zmuszona była rękę przykładać do piersi, chcąc tem jakby ulżyć owemu słodkiemu cierpieniu.

Teraz nie rozmawiali ze sobą wcale. Nachumcie nigdy też więcej nie wychodził na spacer po polach i drogach. Prawie codziennie Małkełe wędrowała po owych ścieżkach i łąkach, wyglądała go, lecz on się nie zjawiał. Wiedziała jednak, że tęskni, że szaleje wprost z tęsknoty za nią. Wyczuwała to, dostrzegała w każdym jego ruchu, w każdem ukrytem spojrzeniu.

Po wczesnej wiośnie nadeszły dni gorące, pełne słońca, krótkotrwałych, a rzęsistych deszczów z błyskawicami i grzmotami, które rozpalały i nasycały powietrze elektrycznością.

Z twierdzy dalekiego miasta przybyło wojsko; piechota i konnica obozowały dokoła Mieszawy. Odbywały się codziennie ćwiczenia przed wielkiemi manewrami wojennemi, na które przybyli książęta z cesarskiego dworu we Wiedniu. Całemi dniami strzelano, trąbiono, a w nocy puszczano rakiety. Po miasteczku uwijali się żołnierze. Węgierscy huzarzy w barwnych mundurach, młodzieńcy o czarnych płomiennych oczach i ciemnych wąsikach dzwonili ostrogami, pobrzękiwali długiemi, zwisającemi szablami.

Młodzi, rozbawieni oficerowie z orderami na piersiach i monoklem w oku, spacerowali po miasteczku i dziwili się na widok Żydów z „grajcarkami“ u skroni i z tasiemkami, zwisającemi aż do kolan. Pełno było tych oficerów we wszystkich kramach i sklepach. Kupowali rozmaite fatałaszki, cacka, czekoladę, papierosy, nie targując się nawet, a często nie przyjmowali reszty z pieniędzy, szczypiąc przytem urodziwe żydowskie dziewczęta w policzki.

— Huebsch, Schwarzkopf, sehr huebsch!...

Matki nie sprzeciwiały się temu, uśmiechając się tylko. Dopiero po wyjściu oficerów przepędzały swe córki do domu, mówiąc:

— Co wam złego przydarzyć się może, Boże litościwy, niech spadnie na ich głowy...

Wszędzie wojskowi wnosili radość, śpiew i śmiech hałaśliwy, wszędzie ich było pełno. Na drogach za spacerującą Małkełe oglądali się oficerowie, obserwując ją polowemi lornetkami.

— Warum so einsam, schoenes Fraeulein?.. — wołali za nią, wymachując rękawiczkami.

Za wojskiem przywędrowała do Mieszawy karuzela. Całemi dniami słychać było wrzaskliwą muzykę, żołnierze i dziewczęta uganiali się za sobą na drewnianych konikach i różnych dziwacznych zwierzętach i smokach. Przybyła również skądś dziwna jakaś para małżeńska. Mąż i żona, oboje czarni, osmaleni, jak cyganie, rozbili na dużym placu szeroki namiot, oświetlili go kolorowemi papierowemi lampionami i urządzili rodzaj kabaretu dla oficerów, w którym sprzedawano wino i gdzie kobiety śpiewały przy dźwiękach skrzypcowej kapeli.

Wnet się rozniosło po Mieszawie, że owi małżonkowie, podobni do cyganów, a rozmawiający zarówno po niemiecku, węgiersku, polsku, jak i po czesku, rumuńsku i serbsku, a nawet po turecku i cygańsku, są właściwie żydami z Bukowiny. Cadyk odrazu zmiarkował, że do miasteczka zakradła się rozpusta. Opowiadano sobie o nieprzyzwoitościach, jakie dzieją się pod tym płóciennym namiotem. Cadyk wysłał gabe Izrael-Awigdora, by mu sprowadził właściciela kabaretu. Lecz ten czarny Żyd, podobny do cygana, nie chciał iść do cadyka i powiedział Izrael-Awigdorowi, że jeśli on się nie miesza do interesów cadyka, niechże i cadyk nie wtrąca się w jego interesy.

Cóż było robić! Hałaśliwiej jeszcze rżnęła teraz muzyka, jeszcze głośniej śpiewały dziewczęta, a echa tych orgij przenikały do mieszkań żydowskich, a nawet do samego dworu cadyka.

— Aj, aj, — wzdychał cadyk po nocach, nie mogąc usnąć od tych wrzasków i śmiechów — co za rozpusta!...

Małkełe również nie mogła oka zmrużyć. Odgłosy tych zabaw wołały ją, budziły, rozpalały krew, nie dawały spokoju.

W ciche miasteczko wdarli się obcy ludzie; słychać było obcą mowę i śmiechy, co mówiły o dalach, o gwizdach lokomotyw, o czerwonych i zielonych latarkach konduktorów, uwijających się po nocach. Przypominało jej to daleką, prawie zapomnianą już matkę, która gdzieś w odległem wielkiem mieście przebywała z obcym mężczyzną.

Manewry i wzmożony ruch ściągnęły do miasteczka rozmaitych handlarzy, kuglarzy i włóczykijów. Żydzi

zapomnieli o Talmudzie, handlowali i pośredniczyli. Na dwór przybywali wciąż inni wojskowi, chcąc przyjrzeć się rabinowi-cudotwórcy.

Po nocach Małkełe trawiła gorączka. Zrzucała z siebie ciężką pierzynę i leżała zupełnie odkryta. Na jej rozpalone ciało wszystko kładło się ciężarem, wszystko jej przeszkadzało. Czujna, wytężona, leżała z szeroko otwartemi oczami, błądzącemi gdzieś w dali, uchem chwytając najlżejszy dźwięk i najniklejszy szum. Jak pies w okresie rui, węszyła coś, co przyjdzie, co przyjść musi, coś, co ją zdoła wybawić.

— Nachmucie — wołała w gorączce — Nachmucie, przyjdź do mnie!...

A w pierwszą noc Zielonych Świąt, kiedy tęsknota dławiła ją tak mocno, że aż tchu jej w piersiach zabrakło, wyskoczyła z łóżka, szybko coś narzuciła na siebie i wybiegła z pokoju w aksamitny, czarny mrok.

Noc była ciemna, ani jednej gwiazdy na niebie, śladu nawet księżyca, — noc gęsta, nabrzmiała, pełna odurzających zapachów kwitnącej akacji, nieuchwytnych szmerów i woni z pól i skoszonych łąk.

Przez cały dzień w powietrzu rozbrzmiewały odgłosy rogów myśliwskich. Hrabia Olcha urządził na swym zamku przyjęcie dla dostojnych gości z Wiednia, dla książąt i oficerów. Poprzedzało je wielkie polowanie w lasach hrabiego. Setki chłopów, a wśród nich wielu biednych żydów, otoczyło kołem las i kijami napędzało zające. Psy szczekały, grały rogi, hukały dubeltówki, roznosząc wielokrotne echa po okolicy. Wieczorem puszczano ognie sztuczne.

W dworskiej bóżnicy paliły się światła. Żydzi modlili się, lecz Małkełe nie słyszała tych modłów. Zasłu-

chana w szmery, w tajemnicze poszumy nocne, w ćwierkanie koników polnych w tej czarnoaksamitnej nocy, drżącemi nozdrzami wchłaniała w siebie odurzający zapach akacyj. Wyszła na pola. Kroczyła szybko. Oczy miała obłędne i rozwarte, oczy, które wszystko widzą, nic nie dostrzegając. Robaczki świętojańskie unosiły się w ciemnościach, przerywając, jak błędne ogniki, aksamitną czerń nocy. Spróchniałe pnie nęciły oko fosforyzującemi błyskami. Zdala dolatywał niesamowity wrzask jakiegoś osobliwego, nieznanego ptaka. Coś mistycznego było w tej szerokiej, olbrzymiej, rzekłbyś, nieskończonej czerni.

Idąc śpiesznym krokiem, jakgdyby miała przybyć dokądś na czas, zdążyła ujść nieco drogi, gdy nagle gdzieś wpobliżu zawarczały psy i poczęły ujadać. Rozległo się rżenie konia, pasącego się noc całą na łące. Zatrzeszczało coś w płotkach. Małkełe, zdjęta niepokojem, przystanęła na chwilę i szybko zawróciła do dworu.

W rogu wielkiej, dworskiej kuczki płonęła latarnia. Skwierczał w niej mały kawałek kapiącej, łojowej świeczki. Małkełe, sama nie wiedząc dlaczego, wyjęła go stamtąd i weszła przez uchylone drzwi do kuczki. Odurzył ją mdły zaduch stęchlizny. Prócz kozackich mundurów, które tu stale leżą i pleśnieją, gdyż wyciąga się je tylko podczas jakichś uroczystości weselnych, prócz rozmaitych szmat i starych ubiorów, beczek do kwaszenia i zgniłych rogóżek, rozłożono tu brudne sienniki, na których sypiali ubodzy pieczeniarze ze dworu. Na Zielone Święta było ich bardzo wielu. Ten cuchnący zaduch podziałał szczególnie mocno na

zamroczoną już głowę Małkełe, upojonej cichemi szmerami nocy i słodkim zapachem akacyj.

Cała stęchlizna, zaduch i bezmyślność mieszawskiego dworu wionęły na nią z tej kuczki. Dostała zawrotu głowy. W gęstem dusznem powietrzu maleńka świeczka dogasała. Kapiący, gorący łój parzył, a płomyk ssał jej palce. Rozglądając się dookoła, rzuciła nagle spojrzenie obce i zdumione, jak człowiek, który spostrzegł się niespodzianie w zupełnie nieznanem sobie miejscu, i cisnęła palącą się świecę na zgniłą słomę. Przez chwilkę stała tak zamroczona, oczekując z zapartym oddechem na ukazujące się pierwsze języki ognia, które popełzły ku niej, jakgdyby chciały ją liznąć. Śpiesznie opuściła kuczkę, cichemi i kociemi krokami wślizgnęła się do swego pokoju i parę rozwartych oczu wpiła w ciemną szybę okna.

Gdy Żydzi przez okrągłe, wielkie okna w bóżnicy zauważyli pierwsze płomienie, pożar był już dość groźny.

— Żydzi! ratować święte rodały!... — przeszyły powietrze rozdzierające głosy.

Jak podczas wszystkich pożarów u Żydów w małych miasteczkach, panika była większa, niż ratunek. Delikatni młodzieńcy, talmudziści, chłopcy z bóżnicy, którzy do niczego nigdy ręki nie przykładali, tłoczyli się, skupiali, jak barany, krzyczeli w niebogłosy, lecz nie ruszali się z miejsca; wrzeszczeli tylko na ogień, który czerwonemi językami pochłaniał wszystko dokoła siebie. Zanim na miejsce pożaru przybyli żydowscy rzemieślnicy i furmani na ratunek, połowa dworu stała już w płomieniach. Z tej lub innej strony raz poraz

wybiegał tylko rozpłomieniony żyd z przyciśniętemi do piersi rodałami.

W kościele dzwony biły na alarm. Kobiety i dzieci krzyczały:

— Ratunku! Ratunku!...

Małkełe biegała dokoła milcząca, obłędna, prawie nieprzytomna. Przemykała się z miejsca na miejsce, kręciła się z kąta w kąt i czarnemi, rozwartemi, szalonemi oczyma, w których wesoło migotał odblask pożaru, szukała tego, którego tak pragnęła w ciągu owych długich, tęskliwych nocy. Z otwartemi oczyma, które nic prócz niego dostrzec nie mogły, pędziła naoślep w tę noc pożarem oświetloną, jak oszalałe z namiętności zwierzę w okresie rui. I znalazła go.

Tam, za bóżnicą, w stronie pola stał Nachmucie, sam jeden, i kurczowo przyciskał do piersi jakiś modlitewnik.

Wystraszony, w wielkiem roztargnieniu chwycił pierwszy lepszy przedmiot, który mu wpadł w ręce, nie wiedząc sam, co to jest.

Krokiem pewnym i spokojnym podeszła doń Małkełe, wzięła go za rękę i rozkazała, jak matka dziecku:

— Chodź!...

Poszedł za nią.

Szli szybko, milcząc i trzymając się za ręce. Szli na przełaj polem w stronę lasu, jak wówczas podczas ulewnego deszczu. Nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Łuna pożaru oświetlała im drogę.

Mrok tchnął ciszą nocnego życia. Powiewał lekki wietrzyk, szepcząc coś czerwonym od pożaru koronom czarnych drzew. Stąd i zowąd dochodził nikły trzask. Szyszki spadały z drzewa. Szli śmiało, milcząc, deptali

po igliwie, łamiąc pod stopami suche gałązki. Gdy przybyli na pagórek, gdzie stało wydrążone drzewo, pod które Małkełe tak często przychodziła, że nogi same już ją teraz tam prowadziły, usiedli na ziemi. Bez słów, z jękiem tylko jakimś, jak roznamiętnione zwierzęta, przypadli do siebie i zleli się w jednym uścisku.

Małkełe w nadmiarze pierwszego szczęścia krzyczała w ciepłą wiosenną noc, przesyconą zapachem kwitnących akacyj.

A niebo nad nimi przybierało się coraz bardziej w płomienie szkarłatnej łuny.

Rozdział XII.

Pusto i głucho było na dworze mieszawskim.

Tam, gdzie stała wielka bóżnica, sterczały teraz wysokie okopcone kominy, jak niemi świadkowie pożaru, i zadzierały swe smętne głowy ku modremu, słonecznemu niebu. Wrony uwiły sobie gniazda na ich opustoszałych szczytach i krakaniem roznosiły złe wieści po świecie. Dwa skrzydła dworu rabinowego padły pastwą płomieni. Szczątki wewnętrznych ścian, jak obnażone istoty, patrzały na świat osmalonemi tapetami. Pozostałe budowle, które czeladź zdołała uratować, były osmalone, zczerniałe i wydzielały wokół ostrą woń dymu.

Cadyk oraz większość jego dzieci i wnuków rozjechali się po różnych uzdrowiskach. Rebe nie czuł się teraz zbyt dobrze na zdrowiu. W stawach go łamało; ze zmartwienia po pożarze zapadł na serce. Od łamania w stawach, lekarze zalecili mu błotne kąpiele, które

jeszcze bardziej osłabiają serce, oraz źródła lecznicze od choroby serca, osłabionego błotem i zmartwieniami. Cadyk potrzebował pieniędzy, a zebrać je mógł po tych uzdrowiskach, dokąd zjeżdża się wielu bogaczy, zarówno ze sfer chasydzkich, jak i z innych warstw żydowskiego społeczeństwa.

Nigdy jeszcze nie potrzebował tak wiele pieniędzy, jak teraz. Bóżnica była spalona i należało zbudować nową. Ogień pochłonął również i pół dworu wraz z meblami, ubraniami, bielizną i urządzeniem. Najgorsze jednak było to, że podczas pożaru przepadła mu znaczna suma pieniędzy, wiele tysięcy guldenów. W pewnej grubej księdze, którą trzymał pod kluczem u siebie w pokoju, w tajemnicy przed wszystkimi, ukrywał je w dużych tysiącznych banknotach. Nikt o tem nie wiedział. Księgi tej strzegł, jak oka w głowie.

Właściwie jego pokój nie ucierpiał od pożaru; ogień tu bowiem nie dotarł. Lecz Izrael-Awigdor zawczasu usunął stamtąd wszystkie księgi. Niczego nie ratował z takiem poświęceniem, jak owych ksiąg, szczególnie zaś tych, które stały zamknięte w szafce. Pięścią rozbił zamek, zabrał grube foljały i odniósł je do swego domu, co leżał daleko od dworu. Później przyniósł je wszystkie zpowrotem, a żadnej z nich nie brakowało. Rebe odrazu pochwycił ową księgę, w której przechowywał banknoty. Drżącemi rękami przerzucał kartkę za kartką, lecz z pieniędzy śladu nawet nie zostało. Wszystko tam znalazł, nawet włosy z własnej brody, które kładł był między kartki, nawet resztki tabaki, którą strząchał przy zażywaniu, i każdy sznureczek od „tales-kutenu“, któremi zakładał stronice — wszystko było, prócz pieniędzy.

Cadyk mieszawski wypytywał Izraela-Awigdora, badał go, złościł się, omal-że go żywcem nie pożerał swemi wybałuszonemi oczami. Lecz Izrael-Awigdor nawet okiem nie drgnął.

— Jeśli rebe mnie posądza — mówił obrażony — to mogę po moich trzydziestu latach służby odejść... mogę przysiąc...

Cadyk przyglądał mu się badawczym wzrokiem, przenikał go do głębi i w gniewie gryzł wygasłe cygaro.

— Nie potrzebuję twojej przysięgi — mruczał niedowierzająco — daj mi ognia! Czy nie widzisz, że mi cygaro zgasło?...

Izrael-Awigdor ze służalczym szacunkiem podał cadykowi ognia i pozwolił napuścić sobie w oczy pełno dymu.

— Do Nowego Roku, jeśli Bóg da doczekać, — rzekł Izrael-Awigdor uniżenie — postawi się drewnianą bóżnicę. A na przyszłe lato z boską pomocą wybuduje się wielki murowany dom modlitwy, dwa razy większy od spalonego, by mógł pomieścić przynajmniej kilka tysięcy Żydów.

— Nieuk z ciebie! — gromił go cadyk — czy nie wiesz, że żadnej bóżnicy rozbierać nie wolno, dopóki się nowej nie wybuduje?!...

Izrael-Awigdor pozostał nadal we dworze. Cadyk nie mógł się bez niego obejść, szczególnie teraz, gdy szykowano się właśnie w drogę. A przygotowania do podróży robił Izrael-Awigdor z wielką energją. Wystarał się o specjalny wagon dla cadyka, kazał spakować wszystko, co zostało po pożarze, ubiory, bieliznę, księgi, srebrne naczynia, nawet futra na wypadek chło-

dów. Zabrał ze sobą rzezaka, kucharkę i posługacza. Cadyk mieszawski nie dowierzał obcym rzezakom i obcej kuchni, a szczególnie golibrodom z tych świeckich kąpielisk.

Synowie cadyka wraz ze swemi żonami i dziećmi rozjechali się również. Każdy do innej miejscowości. W uzdrowiskach, każdy z osobna uchodził za cadyka, podejmował chasydów, wykładał Pismo Święte, dzielił „szirajim“ i zbierał pieniądze. Najwięcej pieniędzy zbierano w miejscowościach, gdzie istnieją źródła lecznicze dla bezpłodnych kobiet. Zresztą, po pożarze w mieszawskim dworze chasydzi nie żałowali pieniędzy.

Razem z braćmi pojechała również i Serełe do owych źródeł dla kobiet, które pragną mieć dzieci.

Po roku małżeństwa nie miała jeszcze dziecka, nie była nawet w ciąży. To ją bardzo niepokoiło. Nadomiar złego starsze jej siostry, obdarzone licznem potomstwem, dokuczały jej przy każdej sposobności.

— Jeszcze nic, Serełe? — pytały.

— Nic — odpowiadała Serełe, spuszczając głowę.

— Ja w twoich latach — pyszniła się każda z nich — chodziłam już z drugiem dzieckiem... Co to może być?

Serełe wzięła to sobie tak bardzo do serca, że postanowiła pojechać z braćmi na kurację.

— Oczywiście — potakiwał cadyk — jedź i niech ci Bóg dopomoże!...

Małkełe również pojechała. Cadyk obawiał się, że nie zechce pojechać, że będzie krnąbrna i uparta, okazało się jednak, że chętnie się zgadza na wyjazd. Teraz stała się naogół lepszą dla cadyka. Postanowił więc zaraz po kuracji wybrać się w świat, odwiedzić wszystkich swoich zwolenników, zebrać moc guldenów i za-

kupić dla niej nowe stroje, biżuterję oraz zapisać jej sporo pieniędzy. To się jej należy.

W przededniu wyjazdu rebego, z pobliskich miasteczek zjechało się wielu chasydów, by się pożegnać z cadykiem. Przywieźli moc pierników i podarunków. Cała Mieszawa odprowadzała cadyka kilka kilometrów za miasto. Chłopcy czepiali się karety, a stangret musiał ich odpędzać batem. Niebawem dwór opustoszał. Chasydzi już nie przyjeżdżali, a stali pieczeniarze rozjechali się na wszystkie strony. W napół spalonym dworze pozostało tylko kilkunastu niedołęgów, nienadających się do niczego. Wciąż zaglądali do kuchni. Posługaczom i służącym nic robić się nie chciało, wysypiali się więc po kątach. Służąca Małkełe, tęga roześmiana dziewucha, której polecono strzec mieszkania żony cadyka, porzuciła wszystko bez opieki. Wyjechała na wieś, za Mieszawę, gdzie mieszkał pewien garncarz, któremu umarła żona, pozostawiając wiele małych dzieci. Dziewczyna, straciwszy już dawno nadzieję wyjścia kiedykolwiek zamąż, zmiarkowała naraz, że w czterdziestym roku życia zostać może żoną garncarza. Toteż udała się na wieś do niego, zamiatała glinianą podłogę w izbie, myła główki dzieciom, łatała spodnie garncarzowi i wzdychała przytem,

— Jakto źle, gdy mężczyzna jest sam jeden...

We dworze uwijali się rzemieślnicy, gasili wapno, kopali rowy, zbijali rusztowania, przygotowując się do budowy. Wieczorami było ciemno i pusto, jak na cmentarzu. Równie ciemno i pusto było na duszy Nachmucia, który sam jeden pozostał we dworze, w owym pokoiku na poddaszu, którego płomienie nie tknęły.

Nigdzie nie chciał pojechać, choć go o to proszono i sam cadyk bardzo nalegał.

— Pozostanę we dworze — odpowiadał — muszę tu pozostać!

Całemi dniami przesiadywał u siebie na poddaszu, nie schodząc nawet na modlitwę z pozostałemi we dworze pieczeniarzami, nie pokazywał się na ulicy, jadał niewiele, często nie tknął nawet jadła, które mu przynoszono na górę. Ciągle tylko ślęczał nad księgami, lub całemi godzinami przesiadywał bez ruchu i ponurem spojrzeniem spoglądał na nieme kominy, pozostałe po pożarze.

...„A największym ze wszystkich grzechów świata — czytał w swych księgach — jest shańbienie kobiety, która należy do męża swego. Mężczyzna bowiem, który odsłania srom swego bliźniego — powiada Pismo Święte — winien być ukamienowany na śmierć; zarówno on, jak i ona, która zdradziła, winni być wyniszczeni zpośród narodu swego. Biada grzesznikom, którzy grzeszą cudzołóstwem, proszą się bowiem sami do piekła na tamtym świecie; ale i tam nie zostają wpuszczeni, albowiem niecnota ich jest wielka, i miotają się z jednego końca świata w drugi i zamieniają się w zwierzęta, w bydlęta, w ptaki, w gady, ryby i płazy. A cierpienia ich są wielkie, a wstyd ich jeszcze większy. A gdy pomrą i pokryje ich ziemia, zlatują się djabły w postaci wołów i tratują ich kopytami, a Anioł Śmierci ognistym prętem uderza o ich grób, krzycząc: Któż jesteś, grzeszniku, i jak ci na imię? A grzesznicy, co shańbili naród żydowski, szczególnie zaś ci, którzy bękartów wnieśli do szczepu, zapominają o imionach swoich. Wówczas nadciąga chmara djabłów, licznych

jako ziarna piasku, co biją, udręczają i szydzą, a krzyki potępieńca rozlegają się aż po czterysta razy czterysta mil, aż grzesznik zapragnie czynić pokutę, lecz bies urąga mu dzikim chichotem, krzycząc mu: teraz już jest za późno“...

Noc w noc śniły mu się pożary, płomienie. Wciąż palił się dwór mieszawski. Miejsce, gdzie stała bóżnica, przemieniło się w piekło. Anieli stoją w piekle w atłasowych kapotach i odmawiają świąteczną modlitwę. Obok stoi cadyk. Nagle nadbiegają djabły i szydzą z cadyka, prowadzą go do lasu, do owego wydrążonego drzewa. On, Nachmucie, wraz z Małkełe, zupełnie nadzy, uciekają, a Żydzi gonią za nimi, uprowadzają aż do Jerozolimy, gdzie wznosi się świątynia, a kapłani siedzą u bram miasta. Cadyk krzyczy do kapłanów, wskazując na Małkełe, że to ona zgrzeszyła. Małkełe zaprzecza. Wówczas wstaje wielki kapłan, Żyd o czarnej, sięgającej po pas brodzie, zagniewany bardzo, rozkazuje Małkełe, by piła gorzką wodę, klnąc przytem na głos i krzycząc: „Jeśliś zgrzeszyła i stała się nieczystą, a byłaś niewierną względem męża swego, to niechaj ta woda uczyni wzdętym twój brzuch, niechaj raz na zawsze wypadnie ci łono i niech cię wyklnie własny twój naród“. Małkełe krzyczy: Nachum, Nachmucie! On chce ją przesłonić sobą, ale Żydzi obrzucają go kamieniami, krzycząc: „Niech będzie ukamienowany mężczyzna, który odsłania srom kobiety zamężnej, niech krew jego...“

Ze straszliwym krzykiem obudził się ze snu, kurcząc się aż z dotkliwego bólu.

I na jawie miewał przywidzenia, zwłaszcza wieczorami, kiedy siedział samotny, pogrążony w mroku za-

padającej nocy, a nieme kominy zaglądały w okna. Z ciemnych kątów dochodziły go głosy dalekie, stłumione. Jakieś postacie wyłaniały się z ciemności i przemawiały doń:

— ..„Ślepy jest ten — rzekła jedna zjawa — kto myśli, że jeśli raz zgrzeszył, to niema już dlań nadziei. Bóg jednak jest miłosierny i dał człowiekowi możność naprawienia tego, co złe jest w duszy jego. Gdyby nawet grzechy twoje były szkarłatne, jak czerwona nić, mogą one być zmyte pokutą i cierpieniem i stać się bielsze ponad śnieg. To też grzesznik powinien udręczać swe ciało, pościć, głowę posypać popiołem i pokutować sercem całem, albowiem, jak ogień oczyszcza żelazo od rdzy, tak udręki oczyszczają ciało od grzechów. Lepiej jest, póki służy czas, dręczyć swe ciało na tym świecie, niż doznawać tysiąc razy straszliwszych cierpień na tamtym...“

„...Tylko głupiec myśli — szydziła inna zjawa — że cielesną udręką i postami można zbliżyć się do doskonałości. To głupcy, gdyż nie wiedzą oni, że myśl ludzka jest tysiąc razy silniejsza od samego czynu grzesznego, a grzeszne myśli są stokroć gorsze od grzechu, który się popełnia, albowiem czyn przemija, a myśl pozostaje wiecznie. Gdy więc człowiek podda się grzesznej woli i jest nią nasycony, to nie ma już grzechu w sobie, wybrnął z niego, głowa staje się lekką, mózg jasny, zdolny do zrozumienia wyższych rzeczy. Jeśli natomiast człowiek pości i wciąż myśli tylko o jedzeniu, jeśli się wyrzeka rozkoszy i dlatego wciąż myśli o kobiecie, wówczas ciemną jest jego myśl, nieczystą jego głowa i nie może służyć Bogu, albowiem pogrążony jest w złych myślach i melancholji, co po-

równać należy z nieczystym uczynkiem. Wszak byli ludzie świątobliwi, którzy głosili zbawienie przez grzechy, albowiem Mesjasz może tylko wówczas zejść na ziemię, kiedy wszyscy już staną się sprawiedliwymi, lub też wszyscy będą niesprawiedliwi; a ponieważ i grzechy pochodzą od Boga, zatem siły nieczyste są cząstką boskości, a Bóg jest również w grzechach, bo wszystko jest w Bogu. A napisane jest: będę nawet w myślach waszych nieczystych... Skoro zaś rzeczy czarnej nie można przemienić w rzecz białą, to nie można i duszy, która zgrzeszyła, zpowrotem uczynić zupełnie czystą, dlatego też można zostać czystym i zbliżyć się do boskości, jeśli się wypluje z siebie grzech po nasyceniu się nim dowoli, jak żarłok, który najada się dosyta tak, aż z siebie wszystko oddaje..."

Błądził, sam nie wiedząc, co ze sobą robić.

Miewał dnie pokuty. Nie jadał mięsa nawet w sobotę; w najchłodniejsze dni brał najzimniejsze kąpiele; unikał łóżka i spał na gołej ziemi; w sobotę nie wdziewał czystej koszuli.

A były znowu inne, gdy się nie modlił, nie wkładał na czoło „tefilin", gdyż nie chciał splamić świętej naczółki dotknięciem swej grzesznej głowy, a nieczystemi swemi ustami bał się święte wypowiadać słowa. — Idź, grzesz — szeptały mu jakieś głosy — gdyż czystości nigdy już nie osiągniesz; toteż bluźnij, cudzołóż, napisane bowiem jest: „w grzechach waszych będę między wami"...

Dwie siły zmagały się w nim, coraz to inna miała nad nim przewagę. Niekiedy zaś obie opętywały go tak silnie, że sam nie wiedział, kim jest i gdzie się znajduje. Podczas modlitwy, w chwili najgłębszej pokuty,

nagle zdejmował „tefilin“ z głowy, wybiegał za miasto i błądził po polach i lasach. W drodze przemawiał do siebie samego. Zatrzymywał się nad rzeczką, gdzie nawpół nagie chłopki prały bieliznę i patrzał na ich czerwone nogi. Oczy wlepiał w krzyże wiejskiego kościoła i czuł, że źle się dzieje w jego głowie.

Niekiedy zdawało mu się, że nie jest Nachmuciem, lecz kimś innym, jakiemś wcieleniem z minionej epoki. Czasami znowu, że nie jest jednym człowiekiem, lecz, że składa się z dwóch ludzi, że jaźń jego jest rozszczepiona. Przejmowało go to takim lękiem, że krzyczał do siebie samego:

— Kim jesteś, ha?...

Gdy jesienią, na Nowy Rok cadyk ze swem otoczeniem wrócił do Mieszawy, nikt nie mógł poznać Nachmucia. We dworze zapanowała znów wesołość. Cadyk przywiózł dużo pieniędzy. Synowie również nie mogli się skarżyć. Znowu przybywali chasydzi, goście i pieczeniarze. W bóżnicy popijano miód i winszowano sobie wzajemnie. Wiedziano już, że czwarta żona cadyka zaszła w ciążę i że prawdopodobnie urodzi się chłopak. Cadyk już bąknął coś o tem.

— Na zdrowie — życzono sobie wzajemnie — niech się Żydzi cieszą!...

Nachmucie nikogo nie chciał widzieć, z nikim nie zamienił słówka. Ani razu nie zeszedł do stołu cadyka. We dworze poczęto go się bać.

— Dziwny człowiek — szeptali Żydzi — własnemi chadza drogami!...

Serełe cierpiała. Zdobyła się nawet na odwagę, usiłując pomówić ze swym mężem, zbliżyć go do siebie,

lecz Nachmucie nie odpowiadał. Wpadła więc do ojca ze łzami:

— Ojcze — zanosiła się od płaczu — zupełnie już mnie zaniedbał...

Cadyk jak zwykle przepędzał ją kołpakiem.

— Idź już, idź, głuptasku, — burczał — już ja mu powiem. Zbesztam go i dam mu nauczkę. W Mieszawie tak się nie godzi. Idź już, idź...

Cadyk rzeczywiście chciał rozmówić się z Nachmuciem. Odkładał to jednak z dnia na dzień. Był bardzo zajęty, gdyż na dwór przybyło bardzo wielu chasydów, zbierał pieniądze na bóżnicę, nie miał więc teraz do podobnych rozmów cierpliwości. Postanowił uczynić to po święcie „Purym". Podczas uczty, gdy wszyscy są podchmieleni — myślał sobie — wezmę go za rękę i zbesztam dobrotliwie.

— Ożeniłem się później od ciebie — powie mu — a jednak większy ze mnie zuch, niż ty, mój litwaku z Rachmaniówki!..

Ale przed świętem Purym przydarzyło się nieszczęście.

Pewnej nocy mroźnej, chociaż był to już marzec, Małkełe dostała nagle bólów porodowych; dziecka jednak nie mogła urodzić. Z dworu wysłano sanie, zaprzężone w trójkę koni, po starego doktora z pobliskiego miasta, by przybył na konsyljum z mieszawskim doktorem, ale zanim stary lekarz przyjechał, było już zapóźno.

Małkełe umarła, nie wydawszy na świat dziecka.

Cadyk siedział w kącie pokoju i szlochał. Żadne z dzieci nie przystąpiło do niego.

— Nie powinna była wyjść zamąż za wdowca po trzech żonach — lękliwie mruczały niewiasty.

Kobiety przez całą dobę usiłowały wydostać dziecko ze zmarłej, by je pogrzebać osobno, jak nakazuje zwyczaj, lecz Małkełe dziecka z siebie nie wydała. Zanurzano jej zwłoki w kąpieli rytualnej, odmawiano psalmy, lecz nic nie pomogło.

Postanowiono przemówić do duszy jej zmarłego ciała.

— Małko, córko Szyfry — rozkazywał zmarłej trybunał, złożony z trzech rabinów — rozkazujemy ci, byś wydała dziecko ze swych wnętrzności, jak nakazuje prawo...

Zmarła dziecka nie wydała. Leżała, mając zęby wciśnięte w dolną wargę, a oczy otwarte.

Miasto ogarnął lęk, zły bowiem był to znak.

O północy, gdy wszyscy zasiedli wokół zmarłej, zapalili świece i odmawiali modlitwy zaduszne — Nachmucie cicho otworzył drzwi swego pokoiku na poddaszu i znikł w ciemnościach. Szedł za głosem, który go wzywał do siebie.

Nic oprócz woreczka z „tefilin“ nie zabrał ze sobą.

Wysłano gońców na wszystkie drogi. Polecono ogłosić o nagłem zniknięciu we wszystkich synagogach i bóżnicach miast i miasteczek. Dano znać policji. Ogłoszono nawet w codziennych pismach. Ale Nachumcia nie znaleziono. Wysłano na zwiady do Rachmaniówki, ale i tam go nie było Znikł. Znikł bez śladu, jak plewa, wiatrem uniesiona.

Serełe rozżarzyła do czerwoności cegłę w kuchni i takie nad nią wypowiedziała zaklęcie:

— Kamieniu, kamieniu, tak jak ty się żarzysz, tak niech się żarzy serce mego męża Nachuma z tęsknoty za mną. Przyjdź! Przyjdź! Przyjdź!

Nie przyszedł.

Po kilku tygodniach daremnych poszukiwań, podjętych zarówno przez dwór mieszawski, jak i przez Rachmaniówkę, cadyk kazał przywołać do siebie Serełe.

Nie wskazał jej jak zwykle, gdzie ma usiąść, ba, nawet nie przyjrzał jej się dobrze.

— Wiedz, że jesteś kobietą, którą mąż porzucił — odezwał się do niej — czy jesteś w odmiennym stanie?

Serełe rozpłakała się, lecz ojciec nie pocieszył jej nawet.

— Idź już, idź już — przepędzał ją cadyk, wymachując kołpakiem. — Idź!...

Uciekła do swego pokoju. Zdjęła z głowy szal atłasowy i włożyła zwykłą szarą wełnianą chustkę, jaką noszą ubogie kobiety. Potem ubrała się w starą, czarną suknię, a na nogi wdziała stare jakieś dreptaki.

Wyglądała teraz, jak wszystkie porzucone kobiety z miasteczka, których mężowie wyjechali do Ameryki i o żonach swych zupełnie już zapomnieli.

C Z Ę Ś Ć   D R U G A

Rozdział XIII.

Rojno i gwarno jest na błotnistych drogach, prowadzących do Białogóry w Kongresówce, tuż przy granicy austrjackiej.

Przed Nowym Rokiem w Białogórze odbywa się wielki doroczny jarmark, na który zjeżdżają się chłopi ze wszystkich okolicznych wiosek. Zamożniejsi gospodarze w czerwonych kożuchach jadą wraz z żonami i dziećmi na wozach, ciągnąc za sobą byczka na uwięzi. Biedniejsi idą pieszo, prowadząc na postronku prosiaka na sprzedaż. Żebracy o białych brodach i w szerokich sukmanach, podobni do Świętego Mikołaja, którego kolorowy wizerunek zdobi pierniki dla dzieci, wloką się po drogach, przyklękując w śniegu przed każdą świętą figurą, przed każdym zmurszałym ze starości krzyżem. Żydowscy sklepikarze, tandeciarze, czapnicy, szewcy i kuśnierze ciągną z całemi rodzinami na jarmark na lekkich żydowskich wózkach. Młodzi, weseli i swawolni czeladnicy mijają śpieszących piechotą chłopów i gospodarskie wozy. W każdej przydrożnej wsi witają dziewczęta stojące u płotów, kiwając na nie i wołając:

— Hej, dziewuchy, chodźcie z nami!

Starsi Żydzi strofują ich:

— Nicponie, nie zaczepiajcie dziewcząt!

Lecz młodzi nie zwracają na to najmniejszej uwagi.

— Hej! — drwią z głupkowatego kmiotka, niosące-

go w czerwonej chusteczce mendel jaj na jarmark — kupcie tanio ele mele dudki!...

Kmiotek, nadstawiając zsiniałego od zimna ucha, pyta:

— Czego?...

A czeladnicy, zadowoleni z kawału, szczypią mocno w boki córki swych majstrów.

Szmaciarze, czarni opaleni Żydzi o strzyżonych brodach, podobni do cyganów, wloką się na wozach pokrytych płóciennemi budami, pełnych rozmaitych gratów, naczyń, fujarek, szklanych korali, drucianych pierścionków, paciorków, które wymieniają na kości i szmaty. W każdej napotykanej wsi brzęczą dzwoneczkami, pieją na glinianych, pozłacanych kogutkach i wykrzykują do rymu modlitewnym tonem żydowskie, rosyjskie i polskie wierszowane zdania:

Diewice, panienki, mołodyce,
Za szarawary, sukienki, szlafmyce,
Sarafany, kaftany i hojzen,
Kości, szmaty i szałamojzen
Złotogłów, korale i bransoletki —
Obyście rok mieli zato letki!
Daju złoto, srebro i drogie kamienie
Gotówkę na rękę i do widzenia!...

Czescy kuglarze z małpkami na ramieniu, cyganie z miedzianemi rondlami i kociołkami, wygłodniali Rusini, huculi z Podkarpacia, druciarze, co krążą po świecie ze zwojem drutu do reperacji pękniętych garnków, mijają się w drodze w ponurem milczeniu.

— Kamerady,—żebrzą u swych ziomków, galicyjskich Żydów w szerokich kapeluszach i długich zabłoconych

kapotach, którzy przemycają przez granicę jedwab i wełnę do Rosji — kamerady, — dajcie coś... kiszki marsza grają... choć kawałek suchara... Pan Bóg zapłaci!...

Handlarze koni znad granicy rosyjskiej, barczyści Żydzi w wysokich butach, ciężkich burkach i barankowych czapkach na głowie, kłócą się ze swemi konkurentami, koniarzami z Galicji, o długich pejsach, w chasydzkich kapotach, którzy zjeżdżają się, by tu, po rosyjskiej stronie, zakupić konie dla austrjackiej kawalerji.

Prowadzą za sobą długie tabuny młodych i silnych wałachów, oraz klaczy, rżących z tęsknoty za ogierami i ciepłemi stajniami. Naprzedzie, na koniu jedzie Żyd galicyjski o okrągłej, rumianej, tryskającej zdrowiem twarzy, okolonej gęstą brodą i pejsami. Jedzie naoklep, zwiesiwszy nogi, wlokąc z tyłu kapotę, trzepocząc pejsami na wietrze i potrząsając sznureczkami od „tałeskutenu“, w zatłuszczonym chasydzkim kapeluszu, zsuniętym na bakier. Nawet najgorętszy ogier nie potrafi jednak zrzucić go ze siebie.

— Hop, hop! — krzyczy, pędząc z tabunem koni po błotnistych drogach. — Wiśta, maleńkie, wiooó!...

Konkurenci, z tamtej strony granicy rosyjskiej, mają znów okazję do pokpiwania sobie z tych „koniuchów“ w chasydzkich kapotach.

— Galileusz, — krzyczą za nim, okładając długiemi batami konia tego „rabina“, by strącić konkurenta na ziemię, — kocmołuch!..

— Ty moskiewska świnio! — odkrzykuje im galopując „rabin“ — mam gdzieś twego kacapskiego cara!...

Wielka, stara bóżnica, podobna raczej do twierdzy z czasów Sobieskiego, o dziwacznej architekturze murów i półkulistych zakratowanych oknach, pełna była ludzi. Żydzi przybyli zdaleka na jarmark, proszą się u miejscowych mieszkańców o „tałesy“ i „tefilim“ do nabożeństwa.

— Nie potrwa to długo — zapewniają — nie obejrzycie się, a będzie po wszystkiem. Pójdzie, jak po maśle. I tak niewiele mamy czasu...

Lecz pobożni Żydzi odmawiają.

— Wiedzcie na przyszłość — odpowiadają spokojnie, nie śpiesząc się — że Żydowi nie wolno udawać się w drogę bez „tałesu“ i „tefilim“. Wódkę to pamiętacie wziąć na drogę, a „tefilim“ — zapominacie! łajdaki!...

— Żywo, żywo, — gorączkuje się jakiś woźnica, zakasując na lewem ramieniu rękawy wielu koszulek, które na sobie nosi, — założę tylko tę „uprząż“, pocałuję „cycełe“, splunę i hajda!... Prędko, zostawiłem konie bez opieki...

Chasydzi popijają wódkę, życzą sobie zdrowia, zagryzają gorącemi pierogami z kaszą, które sprzedaje jakaś starowina, siedząca w kącie pod bóżnicą, a przechowuje je w koszyku, pod kupą szmat, by nie ostygły.

— Na zdrowie, Żydzi! Oby się nam jarmark udał!... Daj Boże!...

Talmudziści z bóżnicy, zięciowie bogatych Żydów, młodzieńcy o puszystych bródkach, siedząc przy ciężkich stołach, nad olbrzymiemi, postrzępionemi foljałami, śpiewają i wrzeszczą; udają, że się gorliwie uczą. Zazdroszczą jednak swym kolegom, których ojcowie i teściowie oderwali choć na jeden dzień od talmudu

i w swoich kramach i sklepach polecili im baczną uwagę zwracać na chłopów, by nie kradli. Cały ten jarmarczny hałas, zgiełk, obecność tylu obcych ludzi nie dają im spokojnie usiedzieć nad talmudem. Po raz setny już rozpoczynają wciąż odnowa ten sam ustęp:

...„Szor szenegah es haparo, — „wół, co ubódł krowę“...

Rojno i hałaśliwie jest za olbrzymim bóżnicznym piecem, w którym płoną wielkie szczapy drzewa. Żebracy gromadnie wybrali się na jarmark, gdzie Żydzi robią dobre interesy i nie skąpią jałmużny. W dzień, gdy kupcy są zajęci i trudno jest chodzić po prośbie, żebracy przesiadują w bóżnicy za piecem. Wieczorem znów, gdy wszyscy obliczają swe zarobki, również niełatwo jest prosić po domach. Na żebry wybiorą się więc dopiero nazajutrz. Tymczasem siedzą tu w bóżnicy, za piecem, gdzie jest ciepło i gdzie nikt nie przeszkadza. Porozsiadali się, jedni na ziemi, inni na torbach lub szmatach, i liczą groszaki, wykładają brudne kostki cukru, któremi ich zbywają skąpe gospodynie.

Wypychają torebki temi kostkami i ważą je w ręku, oceniając, ile dostaną za nie od kacapów, skupujących cukier do wyrobu lodów. Niekiedy w ubogich zajazdach biorą go również gospodynie do słodzenia herbaty gościom.

Inni polują na wszy, drapią się w gęste brody i kołtuny, owiązują owrzodzone nogi szmatami, i rozmawiają o sytych i głodnych sobotach. Wędrują bowiem z miasteczka do miasteczka według rozdziałów Biblji, przypadających na dany tydzień, i układają swą marszrutę w ten sposób, by na dany rozdział przybyć zawsze do tej samej miejscowości. Nie zawsze pamiętają

nazwy miasteczka, przypominając sobie jedynie rozdziały Biblji i gospodarza, u którego spędzili syty szabas, sobotę. Toteż wciąż rozprawiają o tych rozdziałach.

— „Stworzenie świata“ — mówi jeden z żebraków, Żyd o chorych, zaognionych oczach, — mam takie, że aż palce lizać. Dają rybę, nogę, potrawkę z drobiu, wątróbkę z cebulką, kugiel, kiszkę i cymes; a wódki, ile tylko dusza zapragnie! Wieczorami, na zakończenie tygodnia, dają barszcz z kartoflami. Takiej soboty nie oddałbym nawet za trzy złote!...

— „A moja — odpowiada drugi żebrak, tęgi, o czarnej, jak smoła, brodzie i ponurem spojrzeniu — typy takie oglądać można na starych karykaturach, co wyszydzają Żydów. — A moja „Zawołał pan“ — mówi o innym rozdziale, przypadającym na inną znów sobotę, — niech się spali! Kawałeczek ryby, drobiu ani na ząb, a kromkę strucli dają tylko na przedobiednią modlitwę. Potem człowiek ćpać musi chleb!...

Nauboczu, wśród tej gromady nędzarzy i włóczęgów siedzi młody żebrak w łachmanach, o twarzy matowo-bladej, okolonej czarną bródką, i z postrzępionego, starego modlitewnika odmawia psalmy. Obcy jest w tem środowisku. Nikt go tu nie zna, nigdy go nikt po drogach nie spotykał. Toteż wszyscy chcą zeń wydostać, kim jest, jak się nazywa i czy ma co do sprzedania.

— Ej, panie młody, — pyta stary żebrak — ile masz kostek cukru? Kupuję cukier!...

— Nie mam cukru — odpowiada młodzieniec i powraca do psalmów.

— A może masz bony?... — pyta inny. — Za pięć daję grosz!

— Nie mam bonów — powtarza zapytany, nie przerywając modlitwy.

— Zróbmy spółkę — powiada do niego jakiś stary żebrak — ty będziesz mnie prowadził, a zarobkiem podzielimy się do połowy.

— Sam nie znam dróg — odpowiada młodzieniec.

— A co ty znasz? — pytają żebracy.

— Nic.

— A co robisz?

— Odmawiam psalmy.

— Warjat — odzywa się ktoś.

— Nie, oszust — przerywa mu drugi — przecież kaleką nie jest. Jest młody, więc musi udawać pobożnego, aby nabierać frajerów.

— Jeśli tak, ta niech sobie idzie do tych „arystokratów“ — krzyczy Żyd o ognistej, rudej brodzie i jednej nodze drewnianej — niech pójdzie do tych rabinowych wnuków i pogorzelców. My jesteśmy tylko zwykłymi żebrakami.

— He, he, he, wynoś się stąd.

— Nasuńcie mu czapkę na oczy — rozlega się śmiech.

— Zajrzyjmy do worka, może ma tam jakie skarby. Żebracy, zachowując ostrożność, zbliżają się całą gromadą do niego. Liczą, że będzie się opierał. Ale on nie przestaje odmawiać psalmów. Otwierają mu worek, lecz prócz „tefilin“ i kamienia do obciążenia pustego worka nic nie znajdują.

— Zostawcie go w spokoju — mówią starsi żebracy — widzicie przecież, że jest goły.

— Nie, niech sobie idzie stąd — krzyczą inni, nie potrzebujemy świętoszków.

— Niech sobie idzie, niech sobie idzie! — krzyczy żebrak o rudej brodzie i drewnianej kuli — i tak jest tutaj dosyć ciasno. Zresztą wolałbym kogo innego tu umieścić.

Wychodzi za drzwi i po chwili wraca z czarnowłosą, ślepą na jedno oko Żydówką, odzianą w chałat męski, przewiązany sznurkiem.

— Szajndla — mówi kulawy — właź tu, będzie ci cieplej. Puśćcie ją tam.

Żebracy podnoszą krzyk:

— Co, kobieta w bóżnicy? Nie wolno! szames wszystkich nas stąd przepędzi.

— To nie jego żona, odbił ją ślepemu, to mężatka...

— To niech idzie do przytułku!

Kulawy nastawia swą potężną pierś siłacza.

— Zazdrość was zjada — mówi — wątroba was ściska. Właśnie, że ją tu zatrzymam, i zróbcie mi co!

Toruje sobie drogę siłą. Jedną ręką prowadzi ślepooką kobietę, a drugą odpiera i zmiata z drogi wszystkich nabok. Silnie opierając swą kulę o ziemię, stoi przed nimi jak mur. Po chwili zamierza się drewnianą nogą na młodzieńca, odmawiającego psalmy.

— Wynoś się! — rozkazuje, — bo ci wszystkie kości połamię!

Żebracy w krzyk:

— Nie ustępuj! — wołają do młodego żebraka — Zawołamy szamesa, nie damy ci krzywdy zrobić.

Młodzieniec nie protestuje. Podnosi się z miejsca, bierze worek, opuszcza ciepły kąt za piecem i siada u drzwi, odmawiając dalej psalmy.

— Idjota! — krzyczą za nim żebracy — cielak!

Młody żebrak nie odpowiada i spokojnie modli się nadal.

Pod wieczór, gdy Żydzi schodzą się do bóżnicy na nabożeństwo, żebracy ustawiają się szeregiem u drzwi. Każdy zosobna wystawia na pokaz swą ułomność i modli się pobożnie. Na przedzie stoi rudobrody żebrak o drewnianej kuli. Ową ślepą na jedno oko kobietę zawczasu już wysłał na miasto. Teraz modli się żarliwie. Wystawia przed siebie nogę, by każdy mógł zobaczyć, że jest kulawy. Podczas nabożeństwa, gdy nikt nie widzi, częstuje mocnym szturchańcem każdego żebraka, który chciałby stanąć przed nim i zasłonić jego nogę. Żebracy kłócą się między sobą, sprawując się jednakże tak cicho, by nie dosłyszano gwaru ich sprzeczek, a wszyscy mogli sądzić, że to szmer modlitwy. Szczypią przytem i drapią się nawzajem.

Po nabożeństwie każdy zamożniejszy Żyd wybiera sobie jednego z żebraków i prowadzi do siebie do domu na wieczerzę i nocleg. Bóżnica pustoszeje. Szames gasi lampy, rozgląda się dookoła, podchodzi do płonących po nieboszczykach świec, wybiera co uboższe zpośród tych świec wdowich, ofiarowanych za dusze zmarłych mężów, biednych rzemieślników, gasi je i szybko chowa pod kamizelkę. Potem nucąc coś pod nosem, idzie do drzwi, całuje mezuzę i wychodzi. Lecz na progu zderza się z kimś. Ogarnia go strach.

Nieboszczyk — przeszywa go myśl — nieboszczyk, którego świecę przed chwilą zgasiłem!

Po chwili jednak wraca do równowagi, do owej równowagi szamesa, będącego od wielu lat grabarzem, który wie, że zmarłych niema się czego obawiać. Do-

strzega siedzącego młodzieńca, odmawiającego psalmy, i pyta go ostro.

— Coś za jeden?

— Obcy.

— Czem się trudnisz?

— Chodzę po świecie.

— Gdzieś był przedtem? Gdzieś stał podczas nabożeństwa?

— W bóżnicy.

— Dlaczego nie było cię wśród biednych? Zabranoby cię na wieczerzę!

Młodzieniec milczy.

— Teraz nie mogę już zaprowadzić cię do nikogo. Cóż zrobisz?

— Pozostanę tu i będę odmawiał psalmy.

Szames przypatruje się badawczo obcemu, ogląda go ze wszystkich stron i mruczy gniewnie:

— Cielak jakiś.

Nogą odtrąca młodzieńca nabok i postanawia pozostawić go tu pode drzwiami. Jeśli żebrak nie ma na tyle rozumu, by stanąć u wejścia i pozyskać względy jakiegoś gościnnego Żyda — to on, szames, napewno nie jest obowiązany zaopiekować się nim. Pal go licho! Lecz w tej samej chwili przychodzi mu coś na myśl. Przypomina sobie swoją córkę Cywję, tę półniemą, podstarzałą już jedynaczkę swą, i przystaje na chwilę.

— Bezdomny — odpowiada obcy.

— Jak się nazywasz?

Przybysz zastanawia się czas jakiś. Wreszcie wymienia swe imię:

— Josie...

Może to przeznaczenie boskie — przychodzi szamesowi na myśl. Bierze obcego za rękę i prowadzi do siebie.

— Aj, to z ciebie cielak, Josie, — mówi, człapiąc butami po błotnistym bóżnicznym zaułku, prowadzącym na stary cmentarz, gdzie zamieszkuje domek dla grabarzy. Za nim kroczy Josie.

Mijają łaźnię, której budynek widnieje, jak czworokątna plama w mrokach nocy; obchodzą przytułek i stają przed zapadłym kamiennym murem, otaczającym cmentarz. Za ogrodzeniem przeciągle szumią drzewa.

— To cmentarz — mruczy szames — boisz się umarłych?

— Boję się tylko Boga — odpowiada obcy.

Szames nie odzywa się więcej. Robi mu się jakoś nieswojo w towarzystwie tego milczącego młodzieńca. Zbliżają się do bramy o niskiej furtce.

— Schyl głowę — powiada szames w chwili, gdy obcy zdążył już zawadzić czołem o kant.

W sieni stoi deska do rytualnego obmywania trupów i skrzynka dla zmarłych dzieci, w której ulokowała się kotka z kociętami. Szames przepędza je kijem.

— A psik, bodajby was szlag trafił!... Innego miejsca już sobie znaleźć nie mogły!..

Poczem wprowadza obcego do niewielkiej izby, pośrodku której wisi duży mosiężny świecznik, ozdobiony czerwonemi papierowemi kwiatami, i stoją dwa wysoko zaścielone łóżka, pokryte perkalikowemi kapami w barwne czerwone kwiaty i malowane ptaki.

Zza wielkiego płonącego pieca wychyla się płowa, rozczochrana głowa dziewczyny o zielonych kocich oczach.

— Sprowadziłem ci gościa — mówi szames — nakryj stół, Cywjo! pościelesz mu na przypiecku. Znajdziesz tam mój stary kożuch i przykryjesz go nim.

Płowa, rozczochrana dziewczyna zabiera się z szalonym pośpiechem do siekania śledzia. Wszystko drży jej w rękach. Wszystko trzęsie się i dygoce; jej rozczochrane włosy, szerokie biodra i wielkie piersi. Spogląda na przybysza zielonemi oczyma i wybucha śmiechem. Jakiś dziki, niesamowity chichot wydobywa jej się z gardła.

— Czego się śmiejesz? — pyta ojciec.

— Chi, chi, chi! — odpowiada dziewczyna, i tak gwałtownie sieka śledzia, że drzemiące na półce kury budzą się wystraszone, a kogut, uderzając skrzydłami, nagle głośno pieje.

Cywja, wymachując fartuchem, spędza go z półki.

— A sio, a siooo!...

Przybysz ma wzrok utkwiony w ziemi. Je mało i wciąż się modli. Dziewczyna, podając do stołu dymiące ziemniaki, podchodzi do niego tak blisko, że napiera nań swemi rozlanemi piersiami. Poprzez parę od kartofli bije od niej żar i gorący oddech. Nieznajomy kręci się niespokojnie na ławce. Dziewczyna chichoce. Po kolacji gość modli się długo, odmawia szereg psalmów przed snem i wreszcie udaje się na spoczynek. Dziewczyna przykrywa go starym, podartym kożuchem i nie przestając chichotać, łechce go w boki i w pięty.

— Chi, chi, chi! — śmieje się i bełkocze naprzemian, świecąc mu w oczy obłąkanem spojrzeniem — chi, ty... mój narzeczony... chi, chi...

Mała wisząca lampa naftowa drga, rzucając mnóstwo czarnych, okrągłych jak talerze, cieni.

O północy, gdy stary mechanizm zegara zaczyna warczyć, a zwisające ciężarki wydzwaniają dwunastą, nieznajomy wstaje z posłania i odmawia północną modlitwę. Łka przytem żałosnym zdławionym szlochem i bije się w piersi. W izbie jest cicho. Słychać tylko ciężkie oddechy śpiących. Basowemu pochrapywaniu mężczyzny odpowiada regularny, świszczący oddech dziewczyny. Nieznajomy szlocha coraz głośniej i głośniej. Wtórują mu szumiące na cmentarzu drzewa i świerszcz za ciemnym kominem izby.

Rozdział XIV.

Nazajutrz po jarmarku żebracy wzięli miasto szturmem.

Jarmark udał się nadspodziewanie i żebracy żądali jałmużny w gotówce. Bonów przyjmować nie chcieli, na cukier nie chcieli nawet patrzeć. Ofiarowane im kromki chleba odrzucali ze złością.

Gospodarze wzdychali i dawali groszaki, bogacze zmuszeni byli rozdawać nawet kopiejki..

Wszystkie bony dostały się obcemu przybyszowi, gościowi szamesa.

Pod wieczór nieznajomy udał się do gminy, gdzie „gabe“ wymieniał bony na pieniądze.

— Ile masz?—spytał brzuchaty i astmatyczny gabe.

— Nie liczyłem.

— Dlaczego dałeś sobie wtrynić same bony?

— Brałem, co mi dawano...

— To dopiero głupiec — rzekł flegmatycznie gabe, obliczając brudne, zatłuszczone papierki, na których widniała czarna pieczęć z wytartemi literami: „Bon Gminy Żydowskiej w Białogórze“. Ślinił przytem palce, ułatwiając sobie liczenie lepkich papierków, i wzdychał tylko z zadowoleniem.

Nieznajomy nie sprawdził nawet owych trzech złotych, które w monetach trzykopiejkowych wypłacił mu gabe, jak zresztą nie obliczał ofiarowanych mu poprzednio bonów. Pocałował tylko mezuzę i wyszedł.

We drzwiach zatrzymał go szames.

— Ile pieniędzy zebrałeś? — spytał go ostro.

— Nie wiem, pieniądze włożyłem do kieszeni.

— Daj, to ci obliczę — rzekł szames.

Nieznajomy wręczył mu wszystkie posiadane trojaki. Szames, nie śpiesząc się, obliczył je przy świetle latarni, poczem schował pieniądze do kieszeni. Młody żebrak nie wyrzekł ani słowa, przewiązał sznurem kapotę i ruszył w drogę.

— Josie, dokąd idziesz?

— W świat....

— W nocy? przecież to niebezpieczne. Nie boisz się wcale?

— Wszędzie i zawsze są niebezpieczeństwa...

— Aj, to z ciebie cielak, Josie — rzekł szames — chodź ze mną, pójdziemy do bóżnicy!..

Josie usłuchał.

W bóżnicy szames wręczył mu miotłę i kazał mu zamieść podłogę. Potem kazał mu nanieść drzewa i napalić w piecu. W końcu zaś zaprowadził go do siebie do domu, dał mu się najeść i położył spać na zapiecku.

W ten sposób Josie został bóżnicznym posługaczem, pomocnikiem szamesa reb Kuny.

Dnie schodziły mu na pracy. Już od wczesnego ranka dźwigał drzewo, palił w wielkim piecu, nosił wodę do olbrzymiej beczki i rozlewał ją po miedzianych naczyniach. Zamiatał, zbierał troskliwie stare, postrzępione kartki z ksiąg do nabożeństwa i zanosił na strych. Połą kapoty wycierał szkiełka od lamp.

— Nie lenić się, pracować — naganiał go szames reb Kune, ilekroć Josie siadał u drzwi i odmawiał psalmy. W sobotę będziesz miał czas na odmawianie psalmów!

Sam szames reb Kune nic teraz nie robił. Pilnował tylko rocznic śmierci, przechowywał świece, zanosił baldachim na wesela bogaczy, a na pogrzebach dzwonił w puszkę, nawołując: „Ofiarą zbawion będzie od śmierci...“ Wszelkie zaś prace wykonywał Josie. Nawet pukanie do okiennic żydowskich domów wchodziło w zakres jego czynności. Już o przedświcie biegł Josie od okna do okna, pukał drewnianym młotkiem w okiennice i wołał:

— Wstawać, Żydzi, już czas na modlitwę.

Przytrafiło mu się nawet, że oberwał kiedyś przyzwoicie.

Nie znając jeszcze dokładnie miasta, Josie zapukał pewnego razu do domu chrześcijanina, który mieszkał w dzielnicy żydowskiej. Wyrwany ze snu „goj“ oblał go zimną wodą. Mokry Josie otrząsnął się tylko z wo-

dy i pobiegł dalej. A gdy zdarzało się, że zmarł kto w nocy, budził go reb Kune z posłania:

— Josie, dziś o jedno uderzenie mniej, na znak, że mamy nieboszczyka w mieście.

W piątki reb Kune posyłał go, by młotkiem dawał znać Żydom, że czas już zapalić świece szabasowe. Sam zaś chodził od domu do domu z puszką i zbierał datki. Tak się rozpróżniaczył, że przestał nawet sam bić w bęben, jak to było w zwyczaju, gdy palono w łaźni. Zawieszał swemu posługaczowi bęben na szyi, uczył go, jak obchodzić się z drążkami, a sam wylegiwał się i wysypiał w domu.

— Lekką ma starość — zazdrościli mu Żydzi — żyje sobie, jak król...

A gdy Josie miał już chwilę wolnego czasu i zasiadał do psalmów, młodzi talmudziści z bóżnicy nie dawali mu spokoju, obarczając go rozmaitemi sprawunkami.

— Josie cielak, przynieś-no mi pieczonych jabłek! Josie, podaj mi wody! Josie, kup papierosów! Josie, skocz po flaszkę wódki na stypę!..

Josie wstaje z miejsca, nie mówi ani słowa i robi wszystko, co mu każą. Szczególnie dokuczają mu młodzieńcy z zamożnych rodzin i narzeczeni o złotych ciężkich zegarkach. Przesyceni lenistwem, obżarstwem i ciągłem próżnowaniem, są wiecznie zmysłowo podnieceni. Swych przyszłych żon nie znają wcale i nie korespondują nawet z niemi. Jedynie do swych przyszłych teściów pisują uczone listy, których teksty układają im wykładowcy talmudu. Przyszłe swe żony wyobrażają sobie w najdziwaczniejszych postaciach. Oczekują niecierpliwie wesela i nocy poślubnej. Na-

razie zaś zaspakajają swe niezdrowe podniecenie odczytywaniem drastycznych ustępów z talmudu, traktujących o kobietach. Wszystkie karty tych ksiąg są zatłuszczone i powydzierane. A gdy to im się przeje, szukają przyjemności w rozwiązłych i sprośnych rozmowach. Otaczają kołem Josiego i przeszkadzają mu odmawiać modlitwy.

— Josie — poszturchują go — miałeś już kiedy kobietę?.. Spełniłeś już pierwszy obowiązek Żyda?...

Josie słówkiem nawet nie odpowiada na te indagacje. Odmawia tylko wciąż psalmy, podczas pracy, biegnąc za sprawunkami, a nawet wówczas, kiedy pali w piecu lub zamiata bóżnicę. Prócz psalmów, prawie żadnych innych modlitw nie odmawia. Tylko o północy, gdy leży na przypiecku u szamesa, modli się inaczej. Gdy wybije dwunasta, zrywa się z posłania. Nie zapala nawet lampki. W ciemności, odrobiną wody z kwarty, którą zawczasu sobie szykuje, zwilża końce palców, wdziewa podartą kapotę, przewiązuje się sznurem i odprawia nocne modły. Powtarza z pamięci całe ustępy z księgi Zohar; płacze, bijąc się w piersi. Często zgrzebuje garść popiołu i sypie sobie na głowę. Lecz i w tem nie znajduje ukojenia. Dręczy go Cywja, córka szamesa. Uczepiła się go już pierwszego dnia od chwili, gdy tu przybył. Podczas wieczerzy, gdy siedzą przy stole, patrzy mu w oczy i chichocze. Cywja ma w twarzy coś z kota — zarówno w jej szerokim nosie, zielonych oczach, jak i w ustach, które wciąż otwiera, ukazując szereg śpiczastych zębów. Jak kot, który się łasi, spina na tylne łapy, podnosi ogon i opuszcza łeb i ociera się o człowieka, nie odstępując, choć go odpędzają, tak ta nawpół niema i nawpół zidjociała

dziewczyna ociera się o Josiego. Ociera się o niego za każdym razem, gdy podaje mu jedzenie, następuje mu na nogi, przylega doń biodrem, przysuwa mu do twarzy rozlane swe piersi, ciężko przytem sapiąc. Podwójne gorąco, od jedzenia i kobiety, bije ku niemu, toteż szuka zapomnienia w modlitwie. Cywja, rozcierając drewnianą łyżką dymiące kartofle, napełnia całą izbę gorącą parą i dziko chichocze.

— Czego chichoczesz, Cywjo? — pyta się ojciec.

— Chi, chi, chi... — odpowiada Cywja jeszcze dzikszym śmiechem, przyciskając kartofle drewnianą łyżką tak gwałtownie, że wiszący świecznik kołysze się wraz ze wszystkiemi papierowemi kwiatami. W nocy, podczas snu, Josie czuje nagle, jak coś opiera się o niego i bije weń jakieś ciepło, budzi się przeto i znajduje leżącą obok siebie dziewczynę. Jak leniwa kocica, która nie chce się ruszyć z ciepłego ludzkiego legowiska, gdzie w ciemności się wkradła, tak nie chce ta półniema dziewczyna odejść od Josiego.

— Chi, chi, chi... — śmieje się — ty... narzeczony... Tato mówi... ty... Cywji... narzeczony..: chi, chi, chi....

Odsuwa się od niej, lecz ona wlecze się za nim; kryje się w kąt, a ona tuli się do niego. Josie zasłania się rękoma i łokciami.

— Idź sobie, idź — odpędza ją — bo obudzę ojca, idź....

Lecz dziewczyna nie słucha. Łechce go w pięty, pod pachy. On usiłuje odepchnąć ją siłą, lecz dziewczyna jest mocna i niepodobna jej z miejsca ruszyć.

— Ty, Josie... cielak... — szepce — całując go dziko w ręce, w nogi i bródkę.

Im bardziej ją odpędza od siebie, tem gwałtowniej i namiętniej całuje go dziewczyna. W ciemności oczy jej świecą fosforyczno - zielonym blaskiem.

— Reb Kune — woła Josie — reb Kune!

Lecz szamesa nic nie nie jest w stanie obudzić. Leży zakopany pod dwiema ciężkiemi pierzynami, jedną własną, a drugą odziedziczoną po zmarłej swej żonie. Chrapie tylko donośnie, jakby na kogoś zawzięcie się złościł, lub kłócił się z kimś.

Josie wyrywa się z objęć dziewczyny. Oburzony, odpycha ją od siebie, schodzi z pieca i siada w ciemnym kącie pokoju. Słychać stąpanie bosych stóp Cywji po izbie. Po chwili dziewczyna rzuca się na posłanie tak gwałtownie, aż łóżko trzeszczy pod nią. Josie zabiera się znowu do modłów. Przeszkadza mu jednak w tem jej obecność. Cywja szlocha i płacze. Niekiedy na chwilę przerwie, by nabrać tchu, ale zaraz znów spazmuje, mocniej jeszcze i żałośniej. W jej płaczu jest coś ze zwierzęcego skomlenia; tak skomle tylko bezbronne stworzenie w niemym swym bólu. A gdy płacz jej przechodzi w przeciągłe zawodzenie, przypomina skowyt starego kundla, którego młode psy odpędziły od suki w deszczową, przedwiosenną noc.

Ten płacz rozpala mu krew w żyłach bardziej jeszcze, aniżeli jej ciało na przypiecku. Nie chce go słyszeć, ale jakaś nieprzeparta moc popycha go ku niej, by podejść, położyć rękę na jej głowie i pocieszyć ją w tę cichą czarną noc. Na samą myśl o tem drży. Kiwa się w rozpaczy, rzuca głową. Szczypie, zamęcza się, by odpędzić od siebie te złe myśli. W bólu fizycznym, zadawanym samemu sobie, odczuwa jednak więcej

rozkoszy, niż cierpienia. Rozkoszny to ból — słodki, jak własna krew, wyssana z pokłutego palca.

Długo siedzi tak w ciemnym kącie pokoju, dopóki płacz nie ustanie. Potem cichaczem gramoli się zpowrotem na posłanie i nakrywa się starym kożuchem reb Kuny, aż po głowę. Chce zasnąć, lecz sen mu z powiek ucieka. Krew się w nim burzy. Zamyka mocno oczy, zaciska powieki, ale im silniej stara się je przymknąć, tem jaśniej widzą jego oczy. Przesuwają mu się przed oczami przeróżne postacie kobiece, nagie i rozpustne, wyciągające ku niemu ramiona, wabiące ku sobie. U wezgłowia staje szatan w postaci miejskiego felczera ze szpiczastą bródką i cieniutką laseczką w ręku. Szydzi sobie z niego.

— Głupcze — powiada — odpędzasz precz niewinną dziewczynę, sierotę, by grzeszyć w myślach z djablicami i nierządnicami....

Josie ubiera się w pośpiechu. Ucieknie! Tej samej jeszcze nocy pójdzie stąd w świat, byle tylko nie oglądać więcej tego domu. Szybko wciąga buty na nogi, narzuca kapotę, przewiązuje się w pasie i szuka swego worka w ciemnościach. Lecz jakaś przemożna, obca, niesamowita siła zatrzymuje go, obezwładnia mu nogi, obciąża je ołowiem, niepodobna ruszyć z miejsca.

Nie zdążył jeszcze wyjść, a już ogarnia go tęsknota za tą ciepłą, ciemną izbą, za żałosną skargą świerszcza, za tym oddechem, który dochodzi z ciepłego, kobiecego posłania. Ogarnia go senność, słodkie jakieś zmęczenie, omdlenie. Czuje się teraz taki leniwy, znużony, że gdyby teraz przyszła do niego, nie miałby doprawdy siły odepchnąć jej od siebie.

Leży ubrany na posłaniu i odmawia nabożnie psalmy. Łzy spływają mu po twarzy i zwilżają suche popękane wargi.

— Boże — modli się — czemuś mnie opuścił? Wołam do ciebie w dzień, a nie odpowiadasz mi, krzyczę w nocy, a Ty milczysz!

Rozdział XV.

Na drogach, prowadzących na cmentarz, straszyło po nocach.

Furmani, przejeżdżający tędy późną nocą na swych wozach, naładowanych solą i naftą, słyszeli jakieś szmery i hałasy. Wędrowni Żydzi, zakupujący po wsiach zajęcze skórki i szczecinę, opowiadali, jak na własne oczy widzieli na cmentarzu zapalające się i gasnące ogniki.

Lęk ogarnął miasto. Mężczyźni baczniejszą teraz zwracali uwagę na swe „tales - kuteny“, sprawdzając, czy są w porządku; kobiety nie śmiały wychodzić o zmierzchu bez fartucha. Za dnia przechodziło się jeszcze jakoś koło cmentarza; szło się prędko, biegnąc prawie, i gdy się już miało za sobą kamienne ogrodzenie, oddychało się swobodniej po strachu i biegu. W nocy jednak nikt nie miał odwagi przechodzić tamtędy. Nawet furmani, którzy nie obawiali się w nocy zapuszczać w gęste lasy hrabiego Zamoyskiego, gdzie grasowali zbójcy i wyły wilki, nie odważali się samotnie przejeżdżać obok cmentarza. Czekano, aż zbierze się większa ilość furmanów, by można było jakoś raźniej przebyć to niebezpieczne miejsce. Smaga-

no konie, trzaskano biczami, by stłumić własny strach, i szeptem, by nikt nie słyszał, odmawiano modlitwę.

— Szulim, Lejbisz, Urisz, Gedalje! — rozlegały się nawoływania od wozu do wozu, dla dodania sobie otuchy — wjo!...

Chłopcy z chederu wieczorami bali się sami wracać przez rynek z płonącemi świeczkami w papierowych lampjonikach i odmawiali modlitwy. Tchórzliwsi trzymali się kurczowo palcami pętelek swych „cyces“. Kumoszki, które, chcąc wyładować z siebie cały zasób plotek, nigdy żadnej nie omijały chałupy, gdzie wytapiano smalec na Wielkanoc lub skubano pierze, zbierały się gromadnie i biegały po ulicach, rzucając za siebie głośne zaklęcia:

— Dym ci w oczy, ocet w gardło! Ni pies, ni baran, bez uroku, bez uroku...

Dziewcząt zaręczonych i kobiet w ciąży nie wypuszczano już samych wieczorami, bez towarzystwa mężczyzn.

— Tylko czyha na to, by któraś z narzeczonych lub brzuchatych wyszła na ulicę — mówiły do siebie kobiety, spluwając przytem — zaraz ją opęta. Tfu, na wszystkich wrogów naszych!

Miały na myśli zmarłą Fajgełe, wychrzczoną córkę dostawcy wojskowego, Lipy. Dziewczyna była zaręczona z młodym talmudzistą, lecz jej nieczysta krew popchnęła ją do ucieczki z pewnym kozakiem z intendentury, a chrzest przyjęła w małej garnizonowej cerkiewce swego rodzinnego miasteczka. Żałośnie to się jednak skończyło. Zresztą przepowiadały jej to kobiety. Kozak bił ją, znęcał się nad nią, a wkońcu przepędził z domu. Powiesiła się na drzwiach własnego

mieszkania, będąc już w ostatnich miesiącach ciąży. Pochowano ją na cmentarzu prawosławnych, pod parkanem, gdzie zwykle chowa się samobójców. Ów kozak, jej mąż, niósł za nią zwykły drewniany krzyż. Nikt prócz niego nie szedł za trumną. Zaraz po pogrzebie zaczęło coś straszyć na cmentarzu. Noc w noc słychać było jakieś szurania wśród grobów, ukazywały się błędne ogniki, a nikt nie wątpił, że była to robota Fajgełe.

— Shańbiła nas za życia — mówiono — a po śmierci nie daje nam spokoju...

Młode dziewczęta litowały się nad nieboszczką.

— Tęskni biedaczka za żydowskim cmentarzem, błąka się, lecz nie chcą jej tam wpuścić.

Zawodowi pisarze, przepisujący na pergaminie rodały i amulety, mieli wiele zamówień. Każdy Żyd dawał im do przejrzenia teksty swych „tefilin“ i „mezuz“, by sprawdzić, czy nie starło się, broń Boże, gdzieś jakieś słowo lub zgłoska. Bogatsi Żydzi nie dawali wprost spokoju reb Mojszemu, słynnemu pisarzowi z gminy.

— Reb Mojsze — błagali go — zapłacimy, ile sami zażądacie, zechcijcie tylko przyjąć robotę.

Lecz reb Mojsze roboty przyjmować nie chciał.

— Nu — mruczał, nie wypowiadając więcej ani słowa, i ręką tylko pokazywał, że jest zajęty.

W jego małej izdebce było zimno, okna pozatykane poduszkami, z kuchni zalatywała ostra woń dymu, ściany były zczerniałe od pleśniejącego na nich grzyba. Jego druga żona, wysoka i wychudła kobieta, siedziała na stołeczku, obwisłą piersią karmiła niemowlę i krzyczała:

— Wyssij, wyciągnij ze mnie całe moje życie...

Dzieci, jedno mniejsze od drugiego, blade, krzywonogie, zamorusane, czołgały się po gołej ziemi, wyłożonej tylko gliną, niepokrytej nawet deskami. Wszystko, co na niej znajdywały, pakowały do pyszczków: obierki od kartofli, skórki od chleba, a nawet i wapno. Płakały, śmiały się, padały i krzyczały, lecz reb Mojsze nawet głowy nie odwracał. W „tałesie" i „tefilin", z gęsiem piórem w ręku, siedział przy stole, pokrytym cielęcą skórą, z płonącym wzrokiem, wlepionym w zczerniałe belki pułapu. Ręka mu drżała, kiwał się cały, mruczał coś pod nosem i przymykał oczy. Po raz dziesiąty już przykładał pióro do pergaminu, chcąc napisać świętą jakąś literę, lecz odważyć się nie mógł.

— Zbrodniarzu jeden — krzyczała na niego żona, wygrażając mu kościstemi pięściami — ludzie proszą się, chcą zapłacić, ty rzeźniku bez noża!...

Lecz reb Mojsze nie odpowiadał. Jego wielkie, okrągłe, ciemne źrenice były szeroko rozwarte, a nic nie dostrzegały wkoło. Bogacze oddalili się zagniewani.

— Cóż robić — pocieszali się wzajemnie — dobrze, że istnieją inni pisarze, niemniej pobożni Żydzi.

Cadyk reb Boruch, przezwany żartobliwie „babskim cadykiem", ojciec czterech niemych córek, był teraz stale zajęty wypisywaniem talizmanów. Nietylko kobiety, ale nawet mężczyźni, którzy go dotąd zwykle lekceważyli i kpili sobie z niego, nabywali teraz jego amulety w czerwonych woreczkach. Reb Boruch sam je wypisywał gęsiem piórem na jednakowych kawałkach pergaminu, które wycinały mu córki-niemowy.

„...Boże, zniszcz szatana — pisał reb Boruch — w imię Wielkiego, Groźnego, Płomiennego i Ognistego Anioła, w imię płomienia, co pochłania Ogień,

w imię Tego, któremu powierzona jest władza nad wiatrami, a którego imię brzmi: Jehaszeyzychkisyel — zaklinam wielkiego i groźnego, nieczystego i czarnego ducha, tego psa, od którego pochodzi wszelka niecnota, owego potomka szatana i Lilith, przeklęte niechaj będą imiona ich, a któremu na imię Kathyszychorzomhalycylhaszon — zaklinam, aby zginął w szczelinach skał i w szponach drapieżnego ptactwa, z którego Noe zazabrał ze sobą do arki tylko po jednej parze, a które żywi się padliną i kotami, przeklęty niech będzie dzień jego narodzin! A Anioł Czysty niech go zgnębi, by nie miał dostępu ani do męża, ani do niewiasty, ani też do dziewicy, co nie zaznała jeszcze mężczyzny, ani też do dziecka lub niemowlęcia, które jest jeszcze w łonie matki swojej. Trzy czarne psy żrą nieczystości, Boże litościwy!...“

Córki niemowy gorliwie pracowały, pomagając ojcu w zarobkach. Przyszywały wstążeczki do woreczków, które zawieszano na szyi, zaszywały je ściśle, by nikt nie mógł dostać się do pergaminu. Najwięksi nawet biedacy kupowali te amulety dla wszystkich swych dzieci; oddawali ostatnie grosze, byle tylko ustrzec się przed tą Fajgełe — wychrztą. Z takim amuletem każdy czuł się bezpieczny.

Reb Boruch zgarniał złotówki do szufladki w stoliku. Swemi krótkowzrocznemi oczami oglądał każdą położoną monetę, sprawdzając, czy nie wpakowano mu przypadkiem wytartej, i ostrzegał:

— Nosić to należy na nagiem ciele i, broń Boże, nie otwierać.

Jedynym odważnym człowiekiem w miasteczku był szames reb Kune. Jak zwykle, chodził ze swą latarką

na cmentarz do domu. Za nim kroczył Josie Cielak. Wistocie nie miał się czego obawiać. Na cmentarzu wprawdzie szurało i hałasowało coś wśród grobów, zapalały się i gasły błędne ogniki, lecz reb Kune wiedział, że to nie zmarła Fajgełe wychrzta straszy, lecz że jest to robota reb Zanwela i jego pomocników. Reb Zanwel zajmował się kontrabandą. Całe wagony austrjackich jedwabi i wełen przemycał w nocy przez pobliską granicę i ukrywał na cmentarzu.

Reb Kune zarabiał teraz wiele pieniędzy. Reb Zanwel płacił mu dukata za noc i nie skąpił dobrego „Gluehwein'u". Szames przechowywał złote monety w glinianym garnku, zakopanym w ziemi, przy grobie jakiegoś cadyka, gdzie teraz już nikogo więcej nie chowano. Winem nie gardził i wciąż popijał z butelki. Teraz chrapał mocniej, niż zwykle, przykryty dwiema pierzynami. Przestał nawet odwiedzać nieboszczyków, pozostawiając to zajęcie szamesowi z bóżniczki rzeźników. Chrapał teraz z całą pewnością siebie i spokojem zamożnego mieszczucha.

Josie Cielak również spokojnie spał na przypiecku.

Cywja nie nachodziła go więcej. Noc w noc wykradała się z domu i biegła do parobków, którzy ukrywali jedwabie wśród grobów i przechowywali wełny w starych grobowcach rabinów.

Gdy tylko zegar ścienny o dużych ciężarkach poczynał ochryple wydzwaniać północ, dziewczyna zrywała się z łóżka, narzucała na rozczochraną głowę podartą chustkę i znikała na całą noc.

Przemykała się między grobami, schylała przed zwisającemi gałęziami drzew i czujnie nasłuchiwała, wy-

tężając wzrok, by uchwycić najniklejszy szelest lub błysk zapalonego papierosa.

Ci chłopcy nie odpędzali jej od siebie, jak to czynił Josie Cielak. Nie. Częstowali ją gęsiną, pieczonemi gęsiemi udkami, które dawał im ich szef, reb Zanwel. Nie skąpili jej również „Gluehwein'u“, który popijała z cynowej żołnierskiej manierki. Przynosili jej rozmaite podarunki; jedwabne, czerwone wstążki, aksamitki, któremi zdobiła swą rozczochraną głowę. Za to pozwalała im wciągać się do tych rabinowych grobowców, wyłożonych miękkiemi belami wełny.

— Ty... mój... narzeczony... — mówiła do każdego zosobna, nie widząc nawet w ciemnościach, do którego z nich przemawia. — Ty, narzeczony... Cywji, chi, chi, chi...

A Josie leżał na przypiecku w wielkiem podnieceniu. Jego czujne ucho chwytało każdy szmer, każdy szelest na dworze. Dręczył się i umęczał fizycznie.

W te bezsenne noce powtarzał z pamięci całe ustępy z księgi Zohar.

Rozdział XVI.

Pod koniec zimy, zaraz po święcie Purym, w mieście wybuchła epidemja wśród dzieci. Zjawiła się na peryferjach miasta, „na Piaskach“, gdzie stali w koszarach dońscy kozacy. „Na Piaskach“ zamieszkiwała wszelka biedota, jak krawcy, furmani, piaskarze, rozwożący glinę, i właściciele tanich lupanarów dla żołnierzy.

U pewnej biednej wdowy, sprzedającej żołnierzom pestki w koszyku, zaraz po Purymie zaniemogło dziec-

ko; krztusiło się, nie mogło złapać tchu. Wdowa ściągnęła z nogi pończochę, napełniła ją gorącą solą i owinęła nią szyjkę chorego dziecka. Ale to nie pomogło. Zrozpaczona matka pobiegła do miasta, gdzie mieszkał felczer Szymszon.

— Reb Szymszon — krzyczała — ratujcie mi moją źrenicę w oku — jestem samotną, nieszczęśliwą wdową.

Felczer reb Szymszon spokojnie, nie śpiesząc się, wziął skrzynkę z bańkami, powoli wdział na głowę swój ośmiokątny kołpak z aksamitnym guzikiem pośrodku, wyrównał przedział na przystrzyżonej w czworokąt bródce, której każdy włos był twardy, jak kolec, i jakby hamując złość, poszedł za wdową.

— Nie miało już kiedy zachorować, tylko w drugim dniu Purymu — idź teraz, wlecz się na te „Piaski“.

— Mój dobry aniele, mój skarbie, doktór Jarecki to zero wobec was. Co wy macie w jednym paznogciu, tego doktór Jarecki w całej głowie nie posiada.

Na te słowa felczer zmiękł. Nic mu tak nie trafiało do serca, jak słowa, wynoszące go ponad wroga jego i konkurenta, doktora Jareckiego.

— Dobrze już, dobrze — mruczał zadowolony — uratuję wam dziecko, idziem!...

Lecz uratować dziecka felczer nie był w stanie. Zakrztusiło się i skonało mu na rękach.

— Zaczęło się! — rzekł felczer, splunąwszy, i szybko podążył do domu, ze swą skrzynką baniek pod pachą.

Tą myślą, że w mieście wybuchła epidemja, że będzie można, dzięki Bogu, zarobić na Święta Wielkanocne, pocieszał się po nieopłaconej wizycie na „Piaskach“. Zrozpaczona bowiem wdowa nie zapłaciła mu złotówki za fatygę.

Nazajutrz nieszczęśliwa kobieta pobiegła do „Ostatniej Posługi“, błagając, by pochowano jej dziecko. Lecz ludzie z „Posługi“ byli spici i zmęczeni po świątecznej wieczerzy, pili bowiem całą noc, chodząc od domu do domu i zmuszając gospodarzy do częstowania ich wódką, winem i piernikiem. Z biedną wdową nawet mówić nie chcieli.

— Wesołego Purymu! — krzyczał do zrozpaczonej wdowy pijany gabe z „Ostatniej Posługi“ — niech będzie przeklęta Zeresz, żona Hamana.

Kobieta pobiegła ze skargą do prezesa gminy żydowskiej, lecz i ten nie wysłuchał jej prośby.

— Ładna historja — krzywił się — aż na „Piaski“, komuby się tam chodzić chciało, tak daleko.

Wdowa wróciła do domu. W kącie izby wisiała przykryta prześcieradłem jej stara ślubna suknia. Z tego prześcieradła uszyła dla dziecka pośmiertną koszulkę. Potem wysypała z koszyka wszystkie pestki i ułożyła w nim zwłoki dziecka. Zanosząc się od płaczu, odniosła je na cmentarz i wręczyła szamesowi reb Kune złotówkę, by je pochował.

Wracając z cmentarza, wyciągnęła z pod czarnej, podartej chustki swe kościste ręce i grożąc miastu, rzuciła głośne przekleństwo.

— Sodomo! — krzyczała, potrząsając obydwiema rękami — obyś mej klątwy nie uszła, obyście, źli ludzie, na własnej skórze poczuli ból i wstyd biednej nieszczęśliwej wdowy!...

Z „Piasków“ zaraza przeniosła się do miasta. Narazie zjawiła się w zaułkach, gdzie mieszkają ubodzy rzemieślnicy; niebawem przedostała się na rynek, do

domu kupców i bogaczy. Płacz niewiast po nocach nie dawał nikomu zmrużyć oka.

— Żydzi miłosierni, ratujcie mój jedyny skarb!

Wzywano doktorów. O północy z biednych uliczek przybiegały kobiety w nocnych czepkach do felczera Szymszona i waliły pięściami w okiennice.

— Zbrodniarzu, otwórz!

Do zamożnych domów wzywano doktora Jareckiego. Doktór Jarecki był narwańcem i dziwakiem. Krzyczał i beształ swych młodych pacjentów, częstując ich niekiedy przyzwoitym klapsem.

— Pokaż-no pępek, łobuziaku — mówił po żydowsku — achcig-szwarc jur, aj, waj, Mojsie...

— Jaśnie panie — błagali go Żydzi, uchylając przed nim nakrycia głowy — przedewszystkiem Bóg, a za nim, oby pan ponsyljarz okazał się naszym wybawcą.

Bogacze wzywali doktora Szałupin-Szalapnikowa, wojskowego lekarza kozackiego pułku, podpułkownika, o długiej aż do pasa brodzie.

— Niczewo, gałubczyk, niczewooo — miał zwyczaj pocieszać lekarz swym głębokim basem.

Nawet u łoża konającego nie tracił swej dobrodusznej równowagi.

— Niczewo, gałubczyk, niczewoooo.

Lekarze pracowali, badali pacjentów, przepisywali leki i długo potem myli sobie ręce w gorącej wodzie. Chorym jednak pomóc nie mogli.

Epidemja szerzyła się coraz gwałtowniej.

Wreszcie poczęto zwracać się do reb Borucha, owego „babskiego cadyka".

Reb Boruch pracował całemi dniami, pisząc specjalne amulety od zarazy. Sprzedawał też rozmaite suszo-

ne zioła w woreczkach. Od uroku miał bursztyn, pochodzący od cadyka z Kozienic, kawałki osmalonego cukru z czasów pradziada, sznury wilczych zębów, czarne „djabelskie paluszki“, jedwabne opaski i czarodziejską oliwę z Safedu. Wszystkie jego córki pomagały mu przy pakowaniu ziół, nalewaniu oliwy i szyciu opasek.

Do bóżnicy wciąż przybiegały kobiety, otwierały drzwiczki świętych arek z rodałami i ochrypłemi od nieustannego płaczu głosami wzywały do tych świętych zwojów pergaminu:

— Litości dla mojego dziecka, zmiłowania dla źrenicy mego oka!

Z twarzami, przesłoniętemi chustką, ukrywając się przed wzrokiem mężczyzn, włóczyły się po bóżnicach, zbliżały do modlących i płakały:

— Módlcie się, Żydzi, za Łaję, córkę Chany-Dwojry! Odmówcie psalmy za Symchę-Majera, syna Fajgi-Hudel!

Żydzi odmawiali psalmy. Ojcowie rodzin nadawali swym dzieciom nowe imiona. Chłopcom nadawano imię Chaim, co oznacza życie, by długo żyli, lub Alter, czyli stary, by dożyli sędziwego wieku, albo też Zajde, czyli dziadek, by się doczekali wnuków. Dziewczęta przezywano Chaja, Alte lub Bube. Niektórym dzieciom nadawano te trzy imiona razem, by w razie, jeśli przeznaczona jest w niebie śmierć dla danego imienia, uchronić od niej mogło drugie albo trzecie. Matki, którym marły dzieci, ubierały swych pozostałych jedynaków w białe płócienne ubranka. Ubodzy chłopcy uganiali się za bogatymi jedynakami w białych kapotkach i czapkach.

— Martwy aniołek! — przezywali ich — rajskie jabłuszko!...

Matki jednak nie chciały zdejmować ze swych dzieci białych ubranek, rozumując, że jeśli niebo przeznaczyło im nosić białą pośmiertną odzież, to niech już noszą ją za życia, a może to ich uchroni, daj Boże, od śmierci.

Dla żebraków nastały teraz świetne czasy. Nie dawano już więcej cukru ani bonów; przeciwnie, nie szczędzono groszaków, trojaków, a nawet dziesiątek. Przed zamknięciem bóżnicy szames reb Kune, za pomocą kawałka zagiętego drutu, wyciągał monety z puszek ofiarnych na rzecz Ziemi Świętej. Świec wogóle już nie przechowywał, miał ich bowiem zbyt wiele, a miejsca pod kazalnicą było coraz mniej. Tyle świec płonęło teraz wciąż w bóżnicy za dusze zmarłych.

— Jak dobrze idzie, to idzie ze wszystkich stron, drzwiami i oknami — mawiał reb Kune.

Zaraza jednak wzmagała się z każdym dniem.

Kobiety szukały ratunku na cmentarzu.

Każdemu zmarłemu dziecku krzyczano, by się na tamtym świecie wstawiło za żyjącemi.

— Biegnij do naszych świętych pramatek — błagały matki u zwłok swych dzieci — powiedz, że dość już mamy tej męki!

Na grobach wszystkich cadyków palono świece, do grobowców wrzucano zapisane prośbami kartki. Znaleźli się Żydzi, którzy wystawili na cmentarz stoły, a na nich atrament, pióra i papier, i po osiemnaście groszy brali za wypisanie prośby na kwitku. Robili doskonałe interesy, proszących bowiem było wielu. Pisarze śpieszyli się z robotą:

— Imię dziecka, matki i osiemnaście groszy... Prędzej, czekają.

Bezdzietne kobiety wymierzały cmentarz wszerz i wdłuż płótnem, które następnie ofiarowywały ubogim narzeczonym na wyprawę. Inne znów skręcały knoty do świec i mierzyły niemi cmentarz. Chciały w ten sposób jakby ograniczyć pojemność cmentarza, by więcej nie pochłaniał trupów. Lecz cmentarz ukrócić się nie dawał.

Zaraza szalała z niesłabnącą siłą. Rabin, reb Majerł zwołał mieszkańców miasta na naradę.

— Grzech rozpanoszył się u nas — krzyczał rabin — Żydzi, sprawujcie pokutę, by się Bóg nad wami zmiłował. Za grzech jednego z was całe miasto niewinnych istnień zginąć może, uchowaj nas Bóg!

Trwoga ogarnęła ludność miasta. Śledzono się wzajemnie, poszukując grzesznika. Kobiety pilnowały, by w sobotę po południu u felczera Szymszona nie schodzili się muzykanci i służące. W mieście mówiono, że tańczą tam chłopcy i dziewczęta między sobą, więc kobiety kolejno wystawały na czatach. Sprowadzono również właściciela lupanaru „na Piaskach“ i nakazano mu natychmiast wydalić jedną żydowską dziewczynę, znajdującą się wśród innych u niego. Gospodarz lupanaru, były żołnierz z Podola, ubrany w rosyjską koszulę, spadającą na szerokie szarawary, targował się:

— Rebe — rzekł — muszę mieć choć jedną żydówkę. To te świńtuchy domagają się tego ode mnie.

Rebe uparł się jednak. Gospodarz usiłował pozyskać go litością nad dziewczyną.

— Rebe — powiedział — ta dziewczyna jest sierotą, dokąd pójdzie, jeśli ją wypędzę?...

Lecz rabin oburzył się i zagroził, że jeśli nie wydali żydowskiej rozpustnicy, to nie pozwoli mu w bóżnicy odmawiać modlitwy za dusze jego zmarłych rodziców. Gospodarz, chcąc nie chcąc, musiał się zgodzić. Uląkł się bowiem tej groźby rabina.

Bogaci mieszkańcy ciągnęli wciąż za język posługacza z mykwy, chcąc dociec, które kobiety nie przestrzegają obowiązku kąpieli rytualnej. Żonaci pilnowali, by ich małżonki nie ukazywały się w mieście bez chustek na głowie, by żaden loczek nie wystawał z pod peruki, ani żaden kędziorek na karku lub za uchem. Ojcowie nie pozwalali córkom wychodzić na ulicę z odsłoniętemi szyjami i obnażonemi ramionami. Rabin wydał odezwę. Biegli w kaligrafji uczniowie z bóżnicy przepisali ją tak ładnie, że wyglądała, jak drukowana, poczem rozlepiali ją na wszystkich murach od bóżnicy aż po sam cmentarz.

„Z łaski Bożej, niech będzie Imię Jego pochwalone — brzmiała odezwa — doszło do uszu naszych, że w Izraelu zapanowała rozpusta, że kobiety, zlituj się Boże, ukrywają swe włosy pod perukami, że nie usuwają ich z czoła i karku, co stanowi wielki grzech i hańbę, i dlatego nie wolno w ich obecności wymawiać słowa świętego; że istnieją nieostrożne kobiety, które karmią swe dzieci w otwartych drzwiach, przez które przechodzą mężczyźni oraz młodzieńcy, a one odsłaniają swe piersi, co również jest hańbą; że i dziewczęta nie są ostrzegane przed grzechem, ponieważ ukazują się bez rękawów i z odsłoniętemi szyjami; że śpiewają, choć głos niewiasty, a nawet dziewicy, jest gło-

sem grzechu i gdy się rozlega, nie wolno żadnemu Żydowi odmawiać modlitwy. Doszło też do uszu naszych, że dziewczęta rozczesują sobie włosy w soboty, co jest równoznaczne z rozniecaniem ognia w dniu sobotnim. I dlatego spadła z nieba kara Boża na nasze maleństwa, co nigdy nie grzeszyły, i padły oto ofiarą gniewu Najwyższego. Śmierć niech przepadnie na wieki, amen. To też nawołujemy u bram Izraela, by położyć kres wszeteczeństwu. Dziewice niech się zastanowią zarówno, jak i mężatki; a łóżka należy odsunąć na jeden łokieć od siebie, a niewiasty winny ogolić swe głowy. Ubogie zamężne kobiety będą mogły golić się codziennie w łaźni na koszt gminy za kwitkiem od gabe. Kąpiel rytualna będzie im również dawana bezpłatnie. I oby nadeszło dla Izraela zbawienie i oby Najwyższy rozkazał szatanowi, by przestał nas dręczyć i by śmierć zniknęła z powierzchni ziemi. Takie są słowa zrozpaczonych, którzy kreślą je drżącemi rękami i zbolałem sercem. Niech wszyscy po kolei zrzucą z siebie hańbę“...

Odezwę podpisali: rabin reb Majerł i „babski cadyk“ reb Boruch. Podpisy zaś brzmiały: Majer — Jehuda, niegodny syn błp. wielkiego Rabina Gminy Żydowskiej i Cadyka reb Szmula — Zewa; marny i maluczki Boruch, syn Anioła Pańskiego, Płomiennej Żagwi, cadyka reb Nisena z Torbina, wnuk świątobliwych cadyków i kaznodzieja Gminy Żydowskiej.

Wszystkich Żydów w mieście ogarnął szał pobożności. Kobiety nasuwały czepki i peruki aż po uszy, przesłaniały twarze chustkami i tylko oczy i czubki nosów wyglądały im na świat boży. Nowożeńcy nie pozwalali sobie na żadne czułości ze swemi młodemi żonami. Nawet chłopcy z chederu nie omijali zbyt długich ustę-

pów modlitwy. Rzemieślnicy nie śpiewali żadnych swawolnych piosenek przy pracy, a służące, idąc do rzeczki po wodę, nie pozwalały zaczepiać się furmanom. Wszystko to jednak nie pomogło.

Zaraza szalała.

Rabin reb Majerl oraz „babski cadyk", reb Boruch, zwołali wszystkich Żydów do wielkiej bóżnicy i rzucili klątwę na tych, co mają grzechy na sumieniu, do których przyznać się nie chcą. Po odprawieniu modłów pokutnych, jakgdyby to była wigilja Sądnego Dnia, szames reb Kune zapalił wielkie świece. Josie-Cielak przyniósł deskę, na której dokonywano rytualnego mycia trupów, i postawił ją w kącie bóżnicy. Ze świętej arki wyjęto rodały, członkowie zarządu gminy włożyli „talesy' i białe kitle. Szames trzykrotnie uderzył drewnianym młotkiem w kazalnicę, a rabin donośnym głosem jął uroczyście czytać z pergaminu:

„Za wiedzą gminy i zgodą jej najwyższego zarządu nawołujemy wszystkich grzesznych, zarówno mężczyzn jak i kobiety, chłopców jak i dziewczęta, miejscowych jak i obcych, by się publicznie wyspowiadali przed gminą, wielkie bowiem nieszczęście spadło na miasto nasze; maleństwa nasze padają, jak muchy. Za grzechy jednego, Boże uchowaj, może zginąć miasto całe, a powinniśmy jak ongi na własnej ziemi, wyjść przed bramy miasta i zawołać: „Nie winniśmy tej przelanej krwi!" Gdyż wygląda to, jakgdyby kto w otwartem polu zamordował bliźniego. Skoszone żywoty maleńkich dzieci wołają do nas. Dopóki jednak nie odbudowano Świątyni, Sąd Rabinacki stanowi ową Świątynię, której dana jest władza sądzenia i karania. Dlatego też nawołujemy u bram: Przeklęty niechaj będzie każdy,

kto ukrywa grzechy swoje, zarówno mężczyzna jak i niewiasta, młodzieniec jak i dziewica, która nie zaznała mężczyzny, zarówno miejscowy jak i obcy, i niech imię jego będzie wymazane zpośród żyjących i niech niemoc zdejmie jego biodra, a pamięć o nim w Izraelu niech się hańbą okryje, a ręce jego niech zdrętwieją, a nogi utracą władzę, a nasienie niech będzie bezpłodne, a jeśli jest kobietą, niech uschnie jej łono, a żywot dzieci jej niech będzie podcięty, co po wsze czasy stanie się przykładem dla Izraela. Amen“.

— Amen — powtórzyli płacząc wszyscy zebrani mężczyźni i kobiety.

— Niech zagrzmi róg! — rozkazał rabin.

Tęgi, astmatyczny gabe trzykrotnie zadął w barani róg.

Śmiertelna cisza zaległa bóżnicę. Wszyscy wstrzymali oddech. Tylko jakaś zbłąkana ptaszyna, która dostała się przez wybitą szybę do bóżnicy: trzepotała skrzydełkami wokoło złotego lwa, zdobiącego świętą arkę z rodałami, igrała jego wysuniętym językiem i świergotała. Z zapartym tchem, z rozwartemi oczami, wnapięciu oczekiwano wyznań.

Nagle zerwał się z miejsca reb Mojsze, ów pisarz rodałów, szybkiemi krokami wszedł na ambonę i głośno zawołał:

— Żydzi, przyznaję się do grzechu!...

Obecni zadrżeli.

— Żydzi! — wołał reb Mojsze, a oczy błyszczały mu — jestem cały w grzechach! Grzeszny od stóp do głowy...

Szybko zszedł z ambony, wyciągnął się na progu i wołał:

— Żydzi, tratujcie mnie nogami, plujcie na mnie, oczerniajcie mnie!...

Nikt jednak nie ruszył się z miejsca. Tylko rabin, reb Majerl, i „babski cadyk“, reb Boruch, podbiegli, podnieśli starca i błagali:

— Reb Mojsze, módlcie się za nami i niech zbawi nas wasza bogobojność!

Kobiety krzyczały z balkonu:

— Cadyku, ratujcie nasze dzieci!

Lecz i klątwa nie pomogła. Szames reb Kune nie przestawał pobrzękiwać swą puszką na pogrzebach, wołając, że ofiarność wybawia od śmierci.

Zaraza panoszyła się nadal.

Wreszcie rzeźnik Abisz zabrał się do roboty i odkrył grzesznika.

— Klątwa-szmątwa — rzekł do swych czeladników — w sobotę po nabożeństwie rzeźnik Abisz, Żyd o atletycznej postaci, pełniący funkcję gabego w bóżniczce rzeźników — takie bajdy do niczego nie prowadzą. Nikt się nie przyzna. My, rzeźnicy, zabierzemy się do roboty. Przeszukamy całe miasto, a jak przycapimy kogoś, posiekamy go na kotlety, jakem Żyd!

Osiem dni rzeźnik Abisz poszukiwał grzesznika. Badał wszystkie kobiety, przychodzące do niego po mięso, wypytywał je szczegółowo, oka z nich nie spuszczał, aż wreszcie wpadł na trop.

Stało się to zupełnie przypadkowo.

Ostatnią z kobiet, które przyszły z koszykiem w ręku po mięso na sobotę do jego jatki, była córka szamesa, Cywja. Jej ojcu, reb Kunemu, powodziło się doskonale i Cywja robiła duże zakupy, wybierała wątróbki, płucka, flaki i cielęce nóżki.

Rzeźnik Abisz zalecał się do niej, jak zresztą zalecał się do wszystkich innych dziewcząt. Codziennie, modląc się, obiecywał sobie solennie, że stanie się pobożny i nie będzie ich zaczepiał, zwłaszcza teraz, w tym okropnym czasie. Lecz gdy tylko stawał przy klocku w jatce, natychmiast zapominał o wszystkiem. Nie mógł się opanować, by nie uszczypnąć w pośladek jakiejś dziewuchy, lub nie wsunąć ręki za stanik na czyimś wydatnym biuście. Ręce jego same wszędzie sięgały. Jego żona, Bajla-Doba, leniwa i zaspana baba, nie zwracała więcej na to uwagi. Drzemała, siedząc w kącie, i budziła się zwykle wtedy, gdy któraś z dziewcząt krzyknęła:

— Abisz, oby ci ręce uschły!

Abisz Cywją również nie gardził; zresztą dziewczyna nie broniła się wcale, śmiejąc się tylko zgłupia:

— Chi, chi, chi... Abisz cham... chi, chi, chi....

Naraz jego wprawna rzeźnicka ręka namacała coś, co uderzyło go, jak maczugą w łeb. W jego rzeźnickiej głowie błysnęła myśl.

— Bajlo-Dobo! — obudził swą drzemiącą żonę, wspartą głową o rzeźnicki kloc do rąbania mięsa — Bajla-Dobo, mam już! Przypatrz-no się tej córce szamesa!

Zmrużywszy jedno oko, drugiem po szelmowsku wskazywał na wydatny brzuch dziewczyny.

— Cadyku mój, sam nie wiesz, co gadasz — odezwała się gniewnie Bajla-Doba, — zdaje ci się!

— Zdaje mi się? — krzyczał Abisz — zaraz ci pokażę, krowo jedna, czy mi się zdaje.

Podbiegł do Cywji i zanim dziewczyna zdążyła się obejrzeć, przygniótł jej obiema rękami brzuch.

— Mamooo! — wrzasnęła.

Abisz splunął tylko w stronę żony swej.

— Rusza się nawet tam ten bękart. Pomacaj-no, mądralo, to się sama przekonasz!

Poczem czemprędzej wybiegł z jatki i głośno zawołał:

— Kobiety, chodźcie-no tu, pokażę wam coś ładnego.

Cywja ciskała się, kopała nogami, drapała paznogciami, zdarła nawet rzeźniczkom zapierzone peruki, lecz nic nie pomogło. Rozłożono ją na rzeźnickim klocu, obnażono i kobiety zekrwawionemi od rąbania mięsa rękami, obmacywały jej brzuch.

— Już chyba w piątym miesiącu będzie — twierdziły — oby jej ten bękart w brzuchu pękł, Boże litościwy!

Jakaś kobieta, która przed tygodniem pochowała dziecko i dopieroco wstała z pokuty, rwała Cywję mocno za rozczochrane włosy i krzyczała w niebogłosy:

— Za mojego Chaskełe, który przez ciebie, ty ladacznico, tak młodo w ziemi leży. Na...

Dziewczyna krzyczała, wrzeszczała, wreszcie wyrwała się i pozostawiwszy koszyk z mięsem w jatce, pobiegła z całych sił na cmentarz do domu. Lecz Abisz pognał za nią i przyłapał.

—Żydzi, do rabina z nią — rozkazywał Abisz rzeźnikom — bierzcie ją, tę jedynaczkę szamesa, żwawo!

Dwóch rzeźników chwyciło wrzeszczącą Cywję za ręce, dwóch innych za nogi i, zręcznie zarzuciwszy dziewczynę, jak zarżniętego cielaka, na barki, z wielką paradą ponieśli ją przez rynek do rabina.

Cywja rzucała się i ryczała, jak krowa. Piana wystąpiła jej na ustach, suknia obsunęła się, obnażając

aż po kolana jej silne nogi. Ze wszystkich uliczek i zaułków biegli mężczyźni, kobiety i dzieci. Gospodynie porzuciły gotujące się rosoły i z zakasanemi rękawami, z warząchwiami w ręku, przebiegały ulice. Rzemieślnicy w samych tylko portkach i „tales-kuten‘ach“ wybiegli ze swych maleńkich izdebek, ten z nożycami, tamten z cholewą w ręku. Nosiwody nie odstawili nawet swych ciężkich wiader. Na przedzie, jak zwycięzca, kroczył rzeźnik Abisz i wołał niskim swym basem:

— Złapano córkę szamesa, prowadzimy ją do rabina!

Mężczyźni śmiali się, a podniecone i rozwydrzone kobiety, z rozpalonemi twarzami i złem spojrzeniem, odgrażały się kościstemi pięściami.

— Ukamienować ją, tę dziewkę, za nasze niewinne ptaszyny, ukamieniować ją!

Rozdział XVII.

Rabin reb Majerł siedział—mimo panującego w pokoju gorąca — w aksamitnym, watowanym, czerwonym szlafroku na wielkim, twardym fotelu, nad rozwartą starą księgą, i pykając z fajki o długim cybuchu, wzdychał:

— Oj, Boże Wszechmocny, jak długo będziemy jeszcze czekali Twego zmiłowania? Oj. jakże potrzebne jest Żydom Twoim zbawienie!

Rabin reb Majerł miał teraz wiele zmartwień. Poza zarazą i ciągłemi lamentami kobiet, które zbiegały się do niego, błagając o modlitwę za zdrowie swych dzieci — dręczyło go wiele innych trosk.

Przedewszystkiem policja strzygła Żydom pejsy. Wyszedł ukaz od samego cara, wzbraniający wszystkim Żydom — wyjąwszy rabinów i cadyków — noszenia pejsów, jarmułek i sznurów. Zamożniejsi Żydzi okupowali się łapówkami, ale biedakom nie dawano spokoju. Komisarz policji w mieście wydał rozkaz, by policja ściśle przestrzegała owego rozporządzenia.

Policjanci kręcili się po mieście i wyłapywali Żydów z pejsami, noszących jarmułki i przepasanych jedwabnemi sznurami. Na ulicy strażnik nożycami lub szablą obcinał pejsy, nieraz razem ze skórą, jarmułkę i sznur zabierał jako dowody rzeczowe, winnego zaś odprowadzał do „kozy“. Kto miał, płacił trzy ruble grzywny; biedniejsi odsiadywali 3-dniową karę.

Wreszcie wpadli Żydzi na pomysł przewiązywania sobie twarzy chustką, jakgdyby bolały ich zęby — lecz komisarz wnet się w tem połapał i nakazał każdemu przewiązanemu zrywać chustkę z twarzy.

— „Szacher-macher — drwili policjanci — dawaj pejsynki!

Z samego rana, jeszcze przed modlitwą, przywołał do siebie komisarz rabina i nagadał mu z tego powodu wiele cierpkich słów.

Na dzień przedtem przyłapano pisarza reb Mojszego i obcięto mu jeden pejs. Reb Mojsze zamierzał właśnie wypisać na pergaminie imię Boże i udał się do „mykwy“, by jak zwykle wziąć najpierw kąpiel rytualną. W drodze powrotnej, śpiesząc do domu, biegł prawie, by nie spotkać się z jakimś nieobrzezanym lub nieukiem. Kroczył, z oczyma szeroko rozwartemi, oglądającemi rzeczy nie z tego świata — i oto wpadł prosto w ręce strażnika.

— Prrr...rr...rr... — tatełe! — zagrodził strażnik drogę zadumanemu Żydowi, napierając nań piersią obwieszoną orderami — pejsełe, gartełe, aj waj....

Reb Mojsze bronił się, jak mógł. Obydwiema rękami przesłonił sobie pejsy. Strażnik wyciągnął szablę i zamierzył się już na Żyda, lecz reb Mojsze rąk nie opuścił, wolał raczej poświęcić prawicę, niż zostać bez pejsów. Strażnik zawlókł go do „kozy", gdzie związano mu ręce, obcięto aż do skóry prawy pejs i wsadzono do celi wraz z kilkoma pijakami.

W miasteczku zakotłowało się. Żydzi pędzili do naczelnika i błagali:

— Jaśnie wielmożny panie, proszę go wypuścić, to człowiek święty, to rabin, co pisze rodały!

Naczelnik wezwał do siebie rabina i odrazu zwrócił się do niego ostrym tonem:

— Kto tu jest rabinem w mieście — wrzeszczał — wy, czy ten Żyd, którego wsadziłem do kozy? Co?

Rabin reb Mejerł nie zrozumiał nawet słówka z tego, co wołał do niego komisarz. Wiedział tylko, że powinien drżeć ze strachu. Cywilny rabin przetłumaczył mu słowa naczelnika policji.

— Powiedzcie mu — odpowiedział reb Mejerł tłumaczowi — że ja jestem rabinem, a reb Mojsze jest pisarzem, jest cadykiem, jest mężem świątobliwym, a więc czemś więcej jeszcze od rabina.

Cywilny rabin przełożył te słowa naczelnikowi, lecz ten również nic nie zrozumiał.

— Szacher-macher — krzyczał — znam się na tych żydowskich wykrętach!

Żydzi jednak nie dali za wygraną. Wysłano dwuch ludzi, by kwestowali po domach, i uzbieraną sumę wrę-

czono felczerowi Szymszonowi na łapówkę dla naczelnika policji. Felczer przy powitaniu wsunął zręcznie pieniądze naczelnikowi, i reb Mojsze został wypuszczony na wolność. Rabin reb Majer był jednak mimo to przybity i przygnębiony.

— Boże, mój Boże — wzdychał — że też te nieczyste ręce mogły dotknąć takiego cadyka!

Nadomiar złego po mieście krążyły uporczywie pogłoski o powstaniu — zachowaj Boże — szkół świeckich dla dzieci żydowskich, o odebraniu dziatwie Pisma Świętego i zmuszeniu jej do nauki rosyjskiej i innych bezbożnych rodzajów wiedzy. Tak opowiadał rabin cywilny, który widział to wypisane na własne oczy w gazetach. Miał to być również ukaz od samego cara.

Rabin reb Majerł wiedział wprawdzie, że Żydzi nie zakładają rąk, że cadycy, rabini i bogacze poruszają cały świat, że wpływowi ludzie z Warszawy jeżdżą po całym kraju i zbierają pieniądze, by zapobiec ukazaniu się ustawy. Sto tysięcy rubli zebrano już wśród Żydów. Pieniądze te mają być zawiezione do Petersburga i wręczone ministrowi, prawej ręce Jedynowładcy — by tylko nie zmuszano Żydów do herezji. Wiedział również, że teraz Żydzi będą, dzięki Bogu, pościć, że będą śpiewać psalmy i modlić scię żarliwie. Nieraz już zresztą groziły Żydom podobne ustawy; zmuszano ich już do noszenia europejskiego ubioru, — chciano ich osadzić na roli, uczynić z nich — zachowaj Boże — chłopów, rozproszyć ich po wioskach, by nie mogli oddawać się studjowaniu Pisma Świętego i stali się podobni wszystkim „gojom“. I wiele innych jeszcze było tego rodzaju ustaw. Lecz Żydzi nie poddawali się, pościli, odprawiali modły, dawali pienią-

dze — i Bóg miłosierny litował się nad swoim narodem, i Żydzi pozostawali czem byli: Żydami.

Lecz z drugiej strony opowiadają, że nawet wśród Żydów znajdują się odszczepieńcy, którzy sami starają się ściągnąć to straszne niebezpieczeństwo na głowy swych współwyznawców. Ci Żydzi sami zabiegają u możnych panów w Petersburgu o otworzenie świeckich szkół, o przyjmowanie Żydów do wojska, gdzie zmuszani są jadać świninę i pracować w soboty. I teraz oto te same właśnie osobniki chcą Żydom odebrać pejsy, jarmułki i kapoty. Podobnie, jak przed wiekami Saduceusze — niech pamięć ich będzie przeklęta — zmusić chcą Żydów, by odstąpili od wiary ojców. Zaiste, w gorszej, niż u „gojów", niewoli trzymają nas sami Żydzi.

— Mesjaszowy to okres — przemknęło mu przez głowę. — Gorzej już być nie może! Czas już, by Mesjasz się zjawił. I są już nawet znaki, zwiastujące jego nadejście...

Przed kilku dniami zaledwie znalazł był w jakiejś księdze słów parę, z których wyraźnie wynikało, że Mesjasz pojawi się jeszcze w roku bieżącym. Na słowa te zwrócił uwagę kilku uczonych w piśmie, którzy potwierdzili, że jest to dla nich jasne, jak słońce. Wyczytał ponadto w jakimś komentarzu, że gdy prawosławni rozpoczną walkę z potomkami Izraela, nadejdzie dzień wyzwolenia Żydów; a w mykwie słyszał, że podobno Rosja stoi u progu wojny z Turcją.

— Jasne, jak dzień — mruczał do siebie.

Przez chwilę nawet dręczyła go bezbożna myśl. Przypomniał sobie, że rokrocznie znajdował w księgach świętych tajemnicze znaki, domysły i niedomówienia,

i że dla każdej na świecie wojny istniały komentarze, z których wynikało jasno, jak na dłoni, że związane z nią jest przyjście Mesjasza. A jednak wciąż jeszcze— niestety — Żydzi tkwią w niewoli, a takiemu cadykowi, jak np. reb Mojsze, obcięto pejs.

Trwało to tylko chwilę, pomimo to jednak rabin reb Majerł poczuł się grzesznym. Zrozumiał, że to podszept szatański, i precz odpędził ową bezbożną myśl. Żyd powinien wierzyć najświęciej — żarliwie sam się w tem utwierdzał — każdego dnia, każdej godziny, każdej minuty, każdej sekundy nawet, że oto wnet ozwie się róg Mesjasza. Trzeba brać przykład z dziadka, rabina z Jampola — myślał dalej reb Majerł. Dziadek przez całe życie wyczekiwał Mesjasza i tak był pewien rychłego jego nadejścia, że sypiał zwykle w ubraniu. Nie miały nań wpływu nawet usilne prośby babki, by zechciał przynajmniej zdjąć pończochy. „A nuż Mesjasz nadejdzie — mówił — gdzie ja tam będę wtedy dopiero szukać pończoch!“

Reb Majerł dodawał sobie otuchy, nabierał odwagi, i niedawny niepokój ustępował. Zniknęło przygnębienie. Nie myślał już o groźnych ustawach, zapomniał o szlifach naczelnika, który tak złościł się na niego, a przed którym on stał tak poddańczo, nie widział już nieszczęść, które ze wszystkich stron walą się na cadyków i pobożnych; w jego starczych, owłosionych uszach odezwały się nagle jakby dalekie dźwięki rogu, który rozbrzmiewa z krańca po kraniec świata.

Reb Majerł nie umiał sobie jasno wyobrazić nadejścia Mesjasza. Z wielu ksiąg wiedział, że istnieją najróżniejsze znaki zwiastujące. Jedni byli zdania, że Mesjasz objawi się światu pośród gwałtownej burzy. Na

trzy dni wcześniej pioruny będą biły i błyskawice rozetną niebiosa, a lęk ogarnie wszystko stworzenie; wówczas dopiero głos z nieba obwieści światu radosną nowinę. Inni znów pisali, że Mesjasz objawi się w ciszy, gdy Żydzi zajęci będą codzienną swą pracą. Przybędzie jak biedak, na białym osiołku, a przyjścia jego nie będzie zwiastować burza, ani żadne szczególne oznaki. To jedno wszakże wiedział reb Majerł, że jakkolwiek będzie wyglądało jego przyjście, dla Żydów zaczną się dobre dni, nieskończenie dobre — szczególnie zaś dla Żydów uczonych i bogobojnych.

Wiedział wprawdzie, że nieuczone pospólstwo wyobraża sobie to wszystko zupełnie zwyczajnie i prosto. Będzie dużo mięsa ze Świętego Wołu, dużo ryby z Lewiatana, a wino będzie się lało jak woda, a niewierni będą pracować i posługiwać. Reb Majerł uśmiechał się do swej rzadkiej siwej bródki, śmiał się z tych naiwnych ludzi, z ubóstwa ich wyobraźni. Być może, przeszło mu przez myśl, że dla nich, dla tych ubogich ludzi, zwykłych rzemieślników, będą istniały naprawdę te prostackie rozkosze — bo cóż, niestety, ponadto mogą oni zrozumieć? Ale ludziom uczonym — sądził reb Majerł — chodzi o co innego. Nie dla jadła i picia ani innych tego rodzaju przyjemności czeka się tak długo przybycia Mesjasza. Stanie się coś zupełnie innego.

Było to dla niego jasne. Miał to poprostu przed oczyma. Widział świat odmieniony, rozjaśniony przez takie światło, którego ludzie nie mogą sobie nawet wyobrazić, przez światło, które sam Bóg przechowuje dla tych szczęśliwych czasów. Wokoło stołów siedzą cadycy, uczeni i świątobliwi. Każdy wyznaczone ma miejsce według cnót swych i zasług. Są tu i nasi praojcowie.

Zasiada tu również Mojżesz, i Aron, i wszyscy królowie, prorocy i uczeni. U góry zaś spoczywa sam Pan Bóg Wszechobecny i odsłania przed cadykami i uczonymi tajemnicę Pięcioksięgu.

Pismo jest święte — wie to dobrze reb Majerł — i pełne tajemnic. Każde słowo, każda litera, najmniejsza nawet jota pełna jest rzeczy wielkich i tajemnych. Rozumie się, że poto właśnie żyli na świecie wielcy uczeni i mądrcy, by bystrą swą wiedzą i jasnym rozumem przeniknąć ogrom tajemnic Ksiąg Świętych. Tysiące lat już siedzą Żydzi nad Pismem Bożem i zbadać chcą jego niezgłębioną mądrość. Boże mój, ile to ksiąg jest na świecie! Wszakże nawet on sam — myśli reb Majerł —on, który w porównaniu z tymi mędrcami marnym jest ledwie robaczkiem — nieukiem — spełnił swój obowiązek i napisał ksiąg kilka, chcąc swoją wiedzą ubogą przyczynić się do wyjaśnienia słów Pisma Świętego. I przeto — tak mu się zdaje — dostąpi łaski i znajdzie się wśród ucztujących — zajmie wprawdzie miejsce, jako ostatni z boku, lecz przecież wśród wyróżnionych. Albowiem Pan miłuje wszystkich tych, którzy starają się zgłębić Jego Pismo. Wieczysta radość przeznaczona jest każdemu, kto choćby cokolwiek uczynił dla Świętej Tory. Nie zapomina jednak, że jakkolwiek tyle już uczeni i świątobliwi mężowie pralowali nad Księgą Świętą i usiłowali ją zgłębić — wszystko jednak jest jeszcze w niej niejasne, nic prawie o niej się nie wie. Jak bezgraniczna będzie radość, gdy Pan, dla którego niemasz tajemnic i niejasności, objawi swym cadykom wszystką jej głębię, wszystkie tajniki, których nie byli w stanie przeniknąć...

Wielka radość ogarnęła rabina reb Majerła, a ciepło przeniknęło stare jego kości.

— Wierzę — powiedział głośno, z zapałem — wierzę w przyjście Mesjasza. A chociaż zwleka, czekam go każdego dnia, każdej godziny, każdej minuty, każdej chwili nawet.

Wzniósł oczy ku górze, i poprzez niski, zakopcony pułap widział jasność, a w jego starczych, zwioczałych uszach brzmiały dalekie dźwięki... Głos jakiś dobiegał coraz wyraźniej, zbliżał się coraz to więcej i więcej. Usłyszał krzyki, gwizdy, głosy wielu ludzi, całego tłumu — i zamarł w oczekiwaniu. Czekał... Głosy stawały się coraz wyraźniejsze, można już było rozróżnić stąpanie poszczególnych ludzi.

Nagle drzwi się rozwarły i gromada Żydów wpadła do pokoju.

— Rebe — ozwały się wesołe głosy — rebe!

Reb Majerł zerwał się z miejsca.

— Przybył — błysnęła mu myśl i przeszyła całą jego istotę, od dzieciństwa już każdego dnia, każdej godziny, każdej chwili wyczekującą wyzwolenia.

Lecz w tej chwili coś runęło na ziemię. Czterech uwalanych krwią rzeźników zrzuciło z ramion jakiegoś płaczącego człowieka. Rzeźnik Abisz zagrzmiał swym potężnym basem:

— Rebe! Mam ją!.. Przyłapałem córkę szamesa Kune! Oto ona, ta ladacznica!

Reb Majerł, zaskoczony tem wszystkiem, stanął osłupiały; oszołomienie jego było tak wielkie, że obydwu rękami uchwycił się poręczy fotela, by nie zwalić się z nóg.

— Kim jesteś? — spytał wreszcie rzeźnika wylękłym głosem.

Nie poznał rzeźnika Abisza, który prawie codziennie przychodził do niego z wątróbką i płuckami, aby się upewnić, czy aby zabite zwierzę jest koszerne.

Rozdział XVIII.

Cywja, córka szamesa, leżała na podłodze pod drzwiami i nie chciała wstać. Leżała tak, jak ją zrzucili z ramion rzeźnicy.

— Wstawaj, ty dziewko! — krzyczeli na nią Żydzi. — Nie wolno leżeć na ziemi, gdy odbywa się sąd rabinacki.

Cywja nie słuchała i dalej ryczała w niebogłosy.

Abisz usiłował podnieść ją siłą, lecz reb Majerł nie pozwolił.

— Nie wolno siłą — tłumaczył. Reb Majerł próbował dobrocią.

— Nuu — zwrócił się do dziewczyny, nie patrząc na nią — podnieś się. Człowiek nie powinien leżeć na ziemi, jak zwierzę.

Nie odpowiedziała nic i nie ruszyła się z miejsca.

Rabinowa starała się ją przekonać.

— Dziewczyno — mówiła — nie wstydzisz się wcale? Wszakżeż w pokoju są mężczyźni. Wstań!...

Cywja milczała.

Rabinowa zdjęła swój szeroki fartuch i zakryła nim obnażone nogi dziewczyny.

— Głupia, jest, niestety — powiedział rabin i nie pozwolił jej tknąć.

— E, — tłumaczył zebranym, którzy pluli i przeklinali dziewczynę — Żydowi nie wolno przeklinać, Boże broń!

Posłał po ojca Cywji i aż do jego przyjścia badał leżącą na podłodze dziewczynę.

— Powiedzno, córko Kunego—pytał — czy przyznajesz się do rozpusty, którą ci zarzucają?

Cywja spojrzała na niego, lecz nie odezwała się ani słówkiem.

— Milczysz? — mówił dalej rabin. — Nie przeczysz? To znaczy, że się przyznajesz. Jeżeli tak, powiedz, z kim grzeszyłaś?

Dziewczyna leżała bez ruchu.

— Nie bój się — ciągnął dalej rabin — jesteś u mnie w pokoju i nie pozwolę, by ci zrobiono coś złego. Powiedz, czyś uczyniła to rozmyślnie lub dobrowolnie, czy też może cię do tego zmuszono i zgwałcono wbrew twojej woli?

Dziewczyna patrzyła na niego szeroko rozwartemi oczyma i milczała.

— Jeżeli zrobiono ci co złego, albo zmuszono cię — pouczał ją rabin tonem dydaktycznym— a wołałaś, a nikt nie słyszał twego głosu — jesteś niewinna, dręczono cię bowiem wbrew twojej woli. Tak mówi Pismo Święte. „Jeżeli mąż spotka w polu dziewicę i posiędzie ją—dziewica niewinna jest grzechu swego. To tak, jakgdyby zły człowiek rzucił się na bliźniego swego i zabił go. Napadł ją bowiem samotną w polu, a ona krzyczała, a nie było nikogo, ktoby jej pomógł“...

Dziewczyna wysłuchała wszystkiego z zaciekawieniem, jakgdyby opowiadano jakąś ładną powiastkę z książki, i nic nie odpowiedziała.

— A jeśli nawet — ciągnął dalej rabin — nie napadnięto, lecz namówiono cię do złego, a ty przystałaś — musisz przed nami wyznać imię tego, który cię nakłonił, a wezwany zostanie przed sąd i będzie sądzony według Pisma Świętego. Jeśli jest wolny, będzie się musiał z tobą ożenić, byś — Boże broń — nie wydała na świat bękartów. Jeśli jest żonaty, będzie musiał zapłacić tobie i twemu ojcu za wstyd i zmartwienie i wziąć na siebie pokutę za ten wielki grzech.

Dziewczyna nawet okiem nie mrugnęła. Pierwszy to raz przemawiał do niej ktoś w ten oto dziwny, obcy sposób. To jej się spodobało.

Reb Majerł zmarszczył wysokie czoło.

— A jeśli nawet — prawił dalej — nie namówiono cię, lecz sama, z dobrej woli, nie z musu — czego nie daj Bóg żadnej żydowskiej dziewczynie—zgrzeszyłaś— to znaczy, żeś sama pragnęła zła — to i wówczas winnaś wyjawić imię owego grzesznika, bez względu na to, czy wolnego jest stanu, czy też żonaty, czy młody czy stary, tutejszy, czy obcy — albowiem i w tym wypadku wezwany zostanie przed sąd i zmuszony do ożenku z tobą, lub do zapłacenia grzywny“. Wyznaj więc czystą prawdę, stoisz bowiem przed sądem, jakgdybyś stała przed Bogiem.

Dziewczyna milczała.

— Może wstydzisz się zeznawać publicznie? — pytał reb Majerł. — Jest tu oddzielny pokój. Albo też rozkażę oddalić się stąd wszystkim, a dla wysłuchania cię pozostanę ja tylko i jeden z obecnych, jak tego wymaga prawo...

Dziewczyna nie ruszyła się z miejsca. Na rabina wystąpiły poty. Otarł spocone czoło wielką chustką i porzuciwszy wywody prawne, uderzył w ton łagodności.

— Ty — powiedział, nie wiedząc, jak ją nazwać — przez ciebie i przez tego, z którym grzeszyłaś, całe miasto małych dzieci zeszło przedwcześnie ze świata. Sąd musi dowiedzieć się o wszystkiem, aby wyplenić zło zpośród Żydów i przebłagać gniew Boga. Chodzi tu o ludzkie życie.

Dziewczyna wysłuchała tego wszystkiego, jak przedtem, bez słowa.

— A może boisz się — pytał rabin — że człowiek, który zgrzeszył z tobą, jest bogaczem lub możnym — albo może dał ci pieniądze, lub może jest znany i poważany. Nie lękaj się. Wobec sądu zarówno biedni, jak bogacze, uczeni jak wyrobnicy, mają prawa równe. Przyznaj się do winy, nazwij grzesznika, a zdołam odwrócić gniew Boży od niewinnych duszyczek, które nigdy jeszcze nie popełniły grzechu.

Dziewczyna otarła sobie tylko nos ręką.

Zebrani stracili już cierpliwość.

— Bezczelna — krzyczeli, grożąc jej pięściami — sam rabin przecież mówi do ciebie!

Rzeźnik Abisz nie mógł już dłużej wytrzymać.

— Rebe — błagał — pozwólcie mi, już ja potrafię zmusić ją do gadania. Rebe, u mnie już ona będzie śpiewać!

Lecz reb Majerł nie pozwolił Abiszowi nawet tknąć dziewczyny. Wolał sam chwycić się groźby i przejść do ostrego tonu.

— Niech ci się tylko nie zdaje — ostrzegał — że gmina będzie milczeć. Będziesz prześladowana i ściga-

na, jako cudzołożnica. Dziecko, które wydasz na świat, będzie bękartem. Pismo Święte mówi, że bękart nie ma prawa należeć do społeczności i nie wolno mu nikogo poślubić. I ciebie nikt nie pojmie za żonę. Żyć będziesz w pogardzie i hańbie i ściągniesz klątwę na swój dom rodzinny. Ojciec twój stracić może pracę w gminie, gdyż za grzechy dzieci odpowiadają również rodzice. Gdy jednak przyznasz się i wydasz grzesznika, zmuszony będzie ożenić się z tobą, a ty zmyjesz hańbę z siebie i swoich bliskich. Sąd pragnie twego dobra. Odpowiadaj!

Dziewczyna spoglądała osłupiałemi oczyma.

Rzeźnik Abisz nie mógł się już dłużej powstrzymać. Nie pytając rabina, pochylił się nad dziewczyną, podniósł ją i wymierzył jej dwa tęgie policzki.

— Odpowiadaj, kurwo — gdy rebe mówi do ciebie.

Pod razami Abisza Cywja upadła i rozpłakała się. Wierzgała nogami, odsłaniała na oczach wszystkich ciało pod spódnicą. Rabin gniewał się na Abisza, lecz jego słabego głosu nikt nie słyszał. Zagłuszył go wrzask obecnych, którym rękoczyny Abisza bardziej przypadły do smaku, niż perswazje rabina.

— Zabić należy coś podobnego! — rozlegały się głosy — żywcem skórę zedrzeć!

Rozszarpanoby chyba dziewczynę, gdyby nie ojciec jej, reb Kune, który, trzymając w jednej ręce latarkę, a w drugiej kij sękaty, wszedł w tej chwili właśnie. Reb Kune nie czuł się upokorzony, nie miał spuszczonej głowy, lecz wszedł wyprostowany i z bardzo pewną miną. Nie czekając wyrzutów ze strony rabina i reszty zebranych, krzyknął odrazu:

— Co to za zbiegowisko? — i wziął się do robienia porządku, jagdyby nie był ojcem dziewczyny, którą przyłapano na grzechu — lecz jak szames, którego obowiązkiem jest utrzymanie porządku u rabina.

— Wynosić się z pokoju! Precz!

Zaskoczył tem wszystkich tak, że oniemieli. Nie wierzono własnym uszom, zapomniano języka w gębie.

„Szames“ podszedł do córki. Podniósł ją z ziemi, okrył chustką rozczochraną głowę, i usuwając wszystkich z drogi, pewnym krokiem, jakby prowadził córkę do ślubu, podszedł do rabina i rzekł spokojnie:

— Czego chcą od sieroty? — spytał. — Przecież to kaleka, bez rozumu, nieboraczka, głupia jak krowa. Weźcie się do niego, do tego cielaka, tego wyrzutka rodu Izraela. To on ją unieszczęśliwił.

Wysokie czoło rabina pokryło się gęstą siecią zmarszczek.

— Co za cielak? — nic nie rozumiał. — O czem mówisz...?

— Ten cielak — oby zginął — unosił się Kune — Josie Cielak, ten mój pomocnik! Tak mi się odwdzięczył za moje dobre serce, za to, żem go przygarnął do siebie, że dałem mu dach nad głową, temu włóczędze!

— Josie? — dziwiono się. — Ten, co się tak ciągle modli? — Ten... ten... Cielak?...

— O, to już wcale nie cielak — krzyczał rzeźnik Abisz — to już cały buhaj, jakem Żyd! Ho, ho, ho!

Reb Majerł zbladł i zczerniał jednocześnie, zupełnie jak ściany tego pokoju, w którym odbywały się rabinackie rozprawy, a który już dawno nie był bielony przez gninę. Biada! Biada! Czegóż ten szatan nie ściągnął już na jego Białogórę! Tańczył mu pod samym

nosem, a on, pasterz tego stada, nawet tego nie dostrzegał. Przychwycono córkę szamesa, która grzeszyła z jego pomocnikiem. I to gdzie? Na cmentarzu? Gwałtu! Jakże grzęźnie ten naród! Gwałtu!

Powstał z twardego fotela i surowo rozkazał:

— Kune, idź i sprowadź go natychmiast! Niech w tej chwili zjawi się tu przede mną!

Lecz okazało się to zbyteczne. Jeszcze przed rozkazem rabina rzeźnik Abisz wraz ze swymi pomocnikami wziął się do roboty. Jak strzała, pędził do bóżnicy, a za nim jego chłopcy.

— To ma być cielak? — krzyczał, biegnąc przez ulicę. — Toć to buhaj, jakem Żyd!

Josie-Cielak siedział w bóżnicy.

W całem mieście on jeden tylko nie wiedział jeszcze, że Abisz przyłapał córkę Kunego. Widział wprawdzie, że ludzie biegną, krzyczą, śmieją się i złoszczą, lecz nie pytał o nic, nie mieszał się do niczego. Jak zwykle, samotny i milczący, pochłonięty był swoją pracą w bóżnicy, odmawianiem psalmów, nawoływaniem do nabożeństwa o świcie, i zajęty cmentarzem, gdzie sypiał i odmawiał nocne modlitwy. Poza tem nic na świecie go nie obchodziło. O nic nie pytał, o niczem nie mówił. Zresztą, z nikim wogóle się nie zadawał, odpowiadał tylko, gdy go o coś spytano. Odpowiadał krótko, przeważnie tylko słówkami „tak“ lub „nie“.

I teraz, choć w miasteczku kotłowało się, siedział w bóżnicy. Po naniesieniu wody, uporządkowaniu ksiąg do nabożeństwa, po złożeniu każdej znalezionej postrzępionej kartki na strychu, siadł, jak zwykle, u progu i odmawiał psalmy. Bóżnicę zaległa cisza, wszyscy wyszli, by wziąć udział w zbiegowisku, mógł więc sie-

dzieć sobie spokojnie. Nikt go nie wysyłał po sprawunki, nikt go się nie czepiał, nikt nie kpił z niego. Po raz tysiączny już odmawiał psalmy z pamięci, werset za wersetem. Wymawiał słowo po słowie z wielkiem przejęciem. Nagle otworzyły się ciężkie, okute żelazem drzwi, i zanim Josie zdołał się obejrzeć, jakieś mocne, twarde ręce chwyciły go, jak w kleszcze.

— Otóż macie go, tego Cielaka! — rozległy się krzyki i śmiechy. — Bierzcie go!

Josie wzniósł parę wielkich, zdziwionych, czarnych oczu. Nie odezwał się ani słowem, gdyż nigdy nie przerywał psalmów. Wodził tylko dokoła oczyma, które teraz zdawały się być dwa razy większe, niż zwykle. Myślał, że to żarty, że to kpią sobie z niego, jak to zwykli byli czynić talmudziści z bóżnicy. Nieraz wszakże chwytali go i, rozciągnąwszy na stole, bili i znęcali się nad nim. Lecz tak ostro, jak teraz, nigdy się do niego nie zabierali. Poczuł naraz jakieś obce ręce, ujrzał odmienne, nieznajome twarze, niezrozumiałe i podniecone, i jął prosić zdławionym głosem:

— Nu — oh — mamrotał. — Nu...

Nie wypuścili go jednak z rąk. Ktoś wziął żołnierski rzemień od spodni i związał mu skręcone wtył ręce. Josie, przerażony, począł się bronić.

— Nu — bełkotał, usiłując znakami dać do zrozumienia, że nie może mówić, gdyż odmawia psalmy.

Przypuszczał, że to pomoże, lecz przeciwnie, wywołało to tylko szalony śmiech.

— Patrzcieno, jakie to pobożne — śmiali się rzeźnicy, — nie wolno mu przerywać, temu świętoszkowi...! A z Cywją wolno ci było przerwać?..

— To nie Cielak — powtarzał wciąż swoje Abisz — to buhaj, jakem Żyd!...

Słów tych Josie nie rozumiał, nie wiedział, co mają z nim wspólnego, lecz wyczuł w nich jakieś niebezpieczeństwo, zrozumiał, że to nie żarty. Zbyt wiele złości i nienawiści błyskało w oczach rzeźników. Zapomniał o psalmach i krzyczał:

— Żydzi, ratujcie!...

Lecz naraz Abisz tak silnie grzmotnął go pięścią w twarz, że krew zalała mu oczy i usta. Kędziorki jego czarnej bródki zwisały po chwili pozlepianemi, czerwonemi kosmykami. Pociemniało mu w oczach i język utknął w gardle. Tak przywykł Abisz ogłuszać w rzeźni bydło, które zbyt gwałtownie wydzierało się — jeden cios jego pięści w szczękę uspakajał zwierzęta.

— Za ręce i za nogi — rozkazał Abisz — bierzcie tego buhaja!

Rzeźnicy zarzucili Josiego na plecy tak, jak to uczynili poprzednio z Cywją. Ze zwisającemi nogami i rękami, z zakrwawioną swą twarzą, istotnie podobny był do zarzniętego cielaka, którego rzeźnicy wynoszą z rzeźni do jatki. Czapka zsunęła mu się z głowy, a jego czarne, kędzierzawe włosy płonęły w blasku zachodzącego słońca.

— Mamy go — rozbrzmiewał po ulicach miasta donośny bas Abisza — mamy tego byka Cywji, córki szamesa. Niesiemy go do rabina!...

Mężczyźni, kobiety i dzieci biegli za rzeźnikami. Starsi spluwali, młodsi rzucali kamyki, a kobiety groziły pięściami.

— Ukamienować go, tego grzesznika — za nasze dzieci... Rozerwać go na kawały!...

Ztyłu biegł jakiś ulicznik w dużych ojcowskich butach, trzymając w ręku zabłoconą, aksamitną czapkę Josiego.

Rozdział XIX.

Całemi godzinami rozpatrywał sąd rabinacki w Białogórze sprawę Josie-Cielaka — lecz ani słowa z niego nie można było wydobyć.

Trybunał składał się z trzech sędziów. Przewodniczył rabin reb Majerł. Z prawej strony zasiadał podrabin reb Szachne, człowiek zgryźliwy, o szkarłatnym i wiecznie zakatarzonym nosie, którego nie przestawał wycierać dużą, czerwoną chustką; z lewej zaś ławnik — reb Tewel, kupiec leśny, uczony Żyd, który potrafił rozstrzygać kwestje sporne, jakkolwiek zwykle się tem nie zajmował. Dwie długie ławy zajmowali członkowie zarządu Gminy i znani w miasteczku bogacze. Pod ścianą przy piecu tłoczyli się rzemieślnicy i ubodzy. U drzwi i okien cisnęły się kobiety i dzieci.

Rabin przystąpił do rozprawy ze zwykłą sobie łagodnością.

Na widok pokrwawionego Josiego, którego właśnie wnoszono, pobladł.

— Tfu — krew? — zakrzyknął. — To hańba dla Żydów. Nie mogę patrzeć na to! Tfu!...

Chwycił zalanego krwią Josiego za rękaw, wprowadził do przedsionka, gdzie stała beczka z wodą, i własnoręcznie polewał mu dłonie z miedzianej kwarty.

— Biada mi! — wzdychał, odwracając głowę.

Zapach ludzkiej krwi wywoływał w nim mdłości. Nie mógł patrzeć na krew. Gdy Josie otarł już sobie połą kapoty twarz, rabin reb Majerł kazał mu nawet spocząć na ławie. Josie jednak, nie poruszając się, stał na miejscu.

— Josie — zaczął rabin — w mieście wykryto grzech. Córka szamesa Kune, dziewica, została niestety shańbiona. W łonie swem nosi bękarta. Ojciec jej, reb Kune, oświadczył wobec nas, że to ty jesteś sprawcą jej hańby. Pytam cię przeto, czy słowa jego zgodne są z prawdą?

Josie milczał.

— Josie — ciągnął dalej rabin — stoisz przed sądem i winien jesteś dać odpowiedź na pytania. Zapytuję więc ciebie, czy prawdą jest to, co twierdzi reb Kune? czy też nie winien jesteś tego grzechu?

— Nie wiem — odpowiedział Josie.

— Co to znaczy, że nie wiesz? — spytał zdziwiony rabin. — Znasz chyba prawdę?

— Nie znam prawdy — odparł cicho Josie.

Reb Majerł nasunął sobie wypłowiały kołpak na tył głowy.

— Josie — powiedział. — Szames reb Kune obarcza cię ciężką winą. Jeżeli jesteś bez grzechu, musisz to wyznać i zetrzeć plamę ze swego imienia. Milczeniem szkodzisz sam sobie. Pismo Święte mówi, że milczeć znaczy to samo, co przyznać się. Czy wiesz o tem?

— Tak.

— A jeśli tak, to co możesz powiedzieć na swoje usprawiedliwienie?

— Nic.

Rabin poczuł, że płonie mu głowa. Nie znał dobrze tego Josiego, widział go raz tylko, siedzącego u progu bóżnicy i zatopionego w modłach. Długo przeto przyglądał mu się teraz. I Josie również nie spuszczał z niego swych czarnych, jak węgle, oczu — aż rabin poczuł się nieswojo, patrząc na twarz Josie-Cielaka. W twarzy tego głuptaska, którego całe miasto przezywało Cielakiem, było coś osobliwego. Rabin poczuł poprostu lęk przed nim, bał się jego odpowiedzi.

— Kim jesteś? — zapytał nagle.

— Nie wiem — odparł Josie.

Zebrani wybuchnęli śmiechem.

Jeszcze gorzej zrobiło się rebemu Majerłowi.

— Nie do pojęcia! — rzekł sam do siebie i zamilkł.

Widząc, że rabin nie umie sobie poradzić, reb Tewel, bogaty kupiec leśny, wziął się do rzeczy i poprowadził badanie rzeczowo i pokupiecku.

— Respekt przed sądem! Cicho tam! — huknął w stół, poczem przystąpił do przesłuchania Josiego.

— Powiedzno, Josie, skąd przybyłeś?

— Ze świata — brzmiała odpowiedź.

— A pocoś przyszedł do naszego miasta?

— Nie wiem.

— Czego tu chcesz u nas?

— Niczego.

— Kim jesteś? Sierotą, czy też masz rodziców? Wolnegoś stanu, czy wdowiec? Rozwiedziony — czy może zostawiłeś żonę gdzieś w świecie?

— Jestem kamieniem — odpowiedział Josie.

Obecni roześmiali się jeszcze głośniej.

Reb Tewel nie usiłował ich nawet uspokoić.

— Cielak — oświadczył głośno. — Niema co z nim mówić.

Podrabin, reb Szachne, wytarł głośno nos, wysmarkał się z chrząkaniem i złością, która nie wróżyła nic dobrego, i zabrał się ostro i gniewnie do przesłuchiwania.

— Ty, Josie, gadajno — wrzasnął — czy możesz zaprzeczyć, żeś nocował u reb Kunego, szamesa?

— Nie — szepnął Josie.

— Czy możesz zaprzeczyć, żeś znał córkę jego, Cywję?

— Nie.

Nos reb Szachnego poczerwieniał bardziej jeszcze z zadowolenia, że reb sprowadza sprawę na właściwe tory. Wytarł powtórnie nos chustką i z większą jeszcze złością i surowością prowadził dalej badanie:

— Josie — mówił — uczonym nie jesteś, lecz czytać po żydowsku przecież potrafisz. Czy wiesz, że Żydowi nie wolno pozostawać sam na sam z kobietą — a nawet z dziewicą?

— Tak.

— Jeśli wiesz o tem, to czemuś to czynił? Czemuś się nie wystrzegał?

— Nie wiem.

— A jeśli tak, to szames Kune może cię podejrzewać o grzech?

— Tak.

Reb Szachne targnął obydwiema rękami swą rzadką brodę.

— Przyznajesz się więc, że Cywja zaszła w ciążę przez ciebie?

— Nie.

— Dopiero co mówiłeś przecież, że można cię podejrzewać?

— Tak.

— Jeśli więc sam mówisz, że można cię podejrzewać, znaczy to chyba, że się przyznajesz?

— Nie wiem.

Reb Szachne wpadł w taką pasję, że omal nie urwał sobie nosa, trąc go czerwoną chustką.

— Zbrodniarzu — krzyczał — odpowiadaj do rzeczy, bo inaczej — biada ci!

Zerwał się z miejsca, wyciągnął swe owłosione ręce w szerokich rękawach, zamierzając się na Josiego, lecz rabin reb Majerł powstrzymał go zawczasu.

— Na miłość Boską — tylko bez gniewu!

Reb Szachne siadł zpowrotem na miejsce i w inny sposób starał się wydobyć zeznanie od Josiego.

— Powiedzno, Josie — usiłował zadawać pytania spokojnie — ile masz lat?

— Nie wiem.

— Że nie pamiętasz, no to trudno, ale dzieckiem nie jesteś. Masz już brodę. Dlaczego się nie żenisz?

— Nie wiem.

— Jesteś może ułomny, kaleka?

— Nie.

— Jesteś więc człowiekiem normalnym?

— Tak.

— Dlaczego więc nie wziąłeś sobie żony, jak wszyscy. Czemu nie zwróciłeś się do gminy, by wyszukano ci jakąś biedną sierotę na żonę?

— Nie wiem.

— Czy możesz przezwyciężyć swe naturalne popędy?

— Nie.

— Przyznajesz się więc, że jesteś sprawcą brzemiennego stanu Cywji?

— Nie.

Reb Szachne złapał się za rozwichrzone pejsy.

— Już ja ci pokażę — krzyczał. — Ty łotrze jeden!

Reb Majerł mitygował go, lecz reb Szachne ani chciał słuchać.

— Josie — krzyczał dalej—wiemy, że córka Kunego nie miała z nikim stosunków. Przyznaj się, bo inaczej źle będzie z tobą.

Josie milczał.

— Josie — ostrzegał go reb Szachne. — Jeśli się przyznasz, sąd skaże cię tylko na pokutę i ożenisz się z Cywją. Gmina postara ci się też o trochę pieniędzy, byś mógł handlować i dać żonie utrzymanie. Jeśli odprawisz pokutę, będzie ci wszystko wybaczone, i jak Bóg da doczekać, zostaniesz „szamesem“ w gminie, a może i grabarzem. Lecz jeśli będziesz się opierał, zostaniesz związany i na dziedzińcu bóżnicznym, w obecności wszystkich, obity.

Josie milczał.

Reb Szachne groził mu długim, cienkim, owłosionym palcem o olbrzymim paznogciu, którym zwykle sprawdzał ostrza rzezackich noży.

— Nie myśl, szelmo, że będziemy się cackać z tobą. Oddamy cię w ręce władzy, która cię zakuje w kajdany i ześle na Sybir. Żyda-grzesznika powinno się wydać „gojom“!

Josie milczał.

Reb Szachne uciekł się do ostateczności.

— Josie, oddamy cię do wojska.

Ale i na to Josie nie reagował.

Reb Szachne, wyczerpany docna, powrócił na swoje miejsce.

— Żydzi — powiedział. — Ten nicpoń zmęczył mnie porządnie. Pozwólcie mi odetchnąć.

Reźnik Abisz aż sapał ciężko. Jak rozwścieczony pies, którego trzymają na uwięzi, warczał na cały głos:

— Rebe — oddajcie go w moje ręce, już ja z niego wyduszę przyznanie się!

Zebrani popierali Abisza. Żądano krwi grzesznika, przez którego spadło na miasto nieszczęście.

— Połamać mu kości! — wrzeszczały męskie głosy.

— Za nasze maleństwa — piskliwie wtórowały zza drzwi kobiety.

Lecz rabin nie dopuścił do samosądu.

— Kune — zwrócił się do szamesa — przyprowadź tu swoją córkę, może wyzna wszystko w obecności oskarżonego.

Sam jednak nie wierzył, że uda mu się cokolwiek wydobyć z ust półniemej dziewczyny. Dosyć się z nią namęczył, kiedy ją tu przedtem sprowadzono. Zebrani również nie liczyli na przyznanie się winnych.

— Niema z kim gadać — słychać było szepty ze wszystkich stron.

Stało się jednak coś wręcz odwrotnego. Obecni nie dowierzali własnym oczom. O ile przedtem dziewczyna pozostawiała wszystkie pytania bez odpowiedzi, spoglądając tylko dokoła zastygłym wzrokiem — o tyle teraz robiła wszystko, co tylko kazał jej ojciec, reb Kune. Jedno jego spojrzenie wystarczyło w zupełności.

— Chodź, Cywjo — rzekł do niej cicho, lecz stanowczo — rabin wzywa cię do siebie...

Cywja ujęła ojca za rękaw i podeszła do stołu.

— Nakryj głowę — pouczył ją ojciec. — Nie wolno tak stać przed rabinem.

Dziewczyna nasunęła chustkę na głowę.

— Cywjo, rebe chce ciebie wypytać — pouczał ją dalej. — Rabina nie trzeba się lękać. Rebe nasz dobry, nic ci złego nie zrobi. Odpowiadaj mu więc — słyszysz?

— Dobrze... odpowiadać... — powtarzała, potrząsając głową.

Rabin począł ją wypytywać, zwracając się do niej, jak do dziecka.

— Powiedzno — zwrócił się do niej, palcem wskazując Josiego — znasz tego człowieka?..

— Chi, chi... — zaśmiała się — tak...

— Jak się nazywa?

— Josie Cielak — odpowiedziała wesoło dziewczyna, jakgdyby nic się przedtem z nią nie działo.

— Nie wolno tak przezywać Żyda — strofował ją rabin. — Nazywa się Josie.

— Chi, chi, Josie — powtórzyła.

Twarz rabina rozjaśniła się.

— Odpowiada przecież, jak człowiek — zwrócił się do sąsiadów.

Przeszedł teraz do kwestyj trudniejszych.

— Powiedzno — ociągał się, nie wiedząc, jak się do niej zwrócić, gdyż niewiast nigdy nie nazywał po imieniu — czy Josie pozostawał z tobą niekiedy sam na sam?

Dziewczyna zachichotała, lecz ojciec zmierzył ją surowem spojrzeniem.

— Cywjo, nie śmiej się — rozkazał — rabin pyta, czy Josie zostawał kiedy z tobą na osobności? Zostawał kiedy z tobą na osobności? Zostawał przecież, gdy wychodziłem w nocy, wzywany do nieboszczyka.

— Tak, zostawał, — powtórzyła dziewczyna.

— Czy zalecał się do ciebie? — chciał się dowiedzieć reb Majerł.

Dziewczyna nie zrozumiała go. Zatkała sobie kącik ust końcem chustki, by nie wybuchnąć śmiechem. Rebe szukał słów odpowiedniejszych do wypowiedzenia swej myśli.

— Rozumiem przez to — wyjaśniał — czy zbliżał się do ciebie w złych zamiarach? Czy brał cię za ręce? Czy prawił ci słodkie słówka? Czy przyrzekał, że się z tobą ożeni?

Dziewczyna pękała poprostu ze śmiechu. Przywarła do Josiego, jak wówczas, owej przedzimowej nocy, na przypiecku. Napierała nań nabrzmiałemi piersiami, które teraz stały się dwa razy większe, i chichotała:

— Chi, chi, chi... Ty... Josie... narzeczony... Cywji... Chi, chi, chi...

W pokoju zabrzęczało jak w ulu, z którego zamierzono wynieść miód.

— Biada, biada! — jęczano — słyszycie, słyszycie...

Sprawa wydała się teraz jasna wszystkim, nie wyłączając rabina.

Chciał jednak dotrzeć do sedna rzeczy, jakkolwiek nie miał już żadnych wątpliwości.

— Córko Kunego—zwrócił się naraz do niej, nazywając imieniem ojca, jak się czyni w stosunku do po-

ważnej, dojrzałej niewiasty — czy doszło między wami do czegoś, co określa stosunek męża do żony? Mów prawdę przed sądem...

Dziewczyna nie zrozumiała.

Reb Majerł wypowiedział się jaśniej.

— Czy miał z tobą stosunek? — spytał.

Dziewczyna nie zrozumiała.

Z wielkiego zakłopotania reb Majerł kilkakrotnie zdejmował i nakładał swój wypłowiały kołpak. Poczerwieniał, zawrzała w nim starcza krew. Z wielkiego zdenerwowania wypalił najprostszemi słowy, jak w Biblji.

— Czy spał z tobą?

Z ust dziewczyny wypadła chustka, a za nią wyrwał się szalony wybuch śmiechu.

— Chi, chi, chi... — ryczała głośno.

Szames Kune uderzył w stół.

— Cywjo — krzyknął głosem, który nie wróżył nic dobrego.

Dziewczyna umilkła, jakgdyby jej kto śmiech uciął toporem.

— Chi, chi... spał... — wybąkała. — Josie Cielak... ja spali... chi, chi... na przypiecku...

Głuchy pomruk przebiegł po zebranych. Reb Szachne mógł walić w stół, ile mu się podobało — na nic to się jednak nie zdało. Rzeźnik Abisz znów górował swym basem nad wszystkimi.

— I to ma być Cielak? Toć to buhaj — jakem Żyd!

Znowu chciano się rzucić na Josiego, lecz rabin znów do tego nie dopuścił.

— Żydzi — wołał — wróćcie spokojnie do domu.

Z boską pomocą sąd zarządzi, co potrzeba, i da o tem znać w gminie.

Nikomu jednak nie chciało się odejść. Zwłaszcza zaś Abiszowi, który uparł się poprostu.

— Rebe — prosił — wsunę się w jakiś kąt, będę siedział za piecem, nikt mnie nawet nie zobaczy...

Ale rabin nie pozwolił mu zostać. Kazał iść do domu nawet szamesowi Kune wraz z córką Cywją. Wszyscy z niezadowoleniem opuścili pokój rabina.

Gdy już nikogo nie było, reb Majerł wskoczył na drabinke po księgi z taką żywością, jakgdyby był młodym chłopcem, nie zaś starcem. Wmig powyciągał szereg olbrzymich, zakurzonych, oprawnych w skórę i postrzępionych ksiąg, nad któremi głowił się całą noc wraz z swymi dwoma doradcami.

Niełatwo bowiem przyszło mu rozwikłać sprawę przy pomocy wielkich foljałów.

Josie jest winien — nie wątpił o tem rabin, ani tembardziej jego doradcy. Lecz mimo wszystko nie było świadków, a prawo przewiduje świadków naocznych, którzyby fakt mogli potwierdzić. Z drugiej jednak strony—córka Kunego zeznała przed sądem wszystko jasno i dobitnie. Prawda, że nie można polegać na niej całkowicie, gdyż jest stroną zainteresowaną, takiej zaś wierzyć bezkrytycznie nie należy. Dziewczyna jest jednak głupkowata, należy więc przyjąć, że mówi szczerą prawdę. Gdyby on chociaż zaprzeczył. Lecz on niczemu nie zaprzecza. Mówi półsłówkami, nie broni się, jakby należało.

Gdyby się miało do czynienia z kobietą zamężną, której mąż przebywa gdzieś daleko, sprawa byłaby bardziej skomplikowana. W tym jednak wypadku ma-

my do czynienia z dziewczyną. Prawda, że co do Josiego nie można być zupełnie pewnym. Niewiadomo, skąd pochodzi i kim jest. W mieście uchodzi za nieżonatego, a gdyby nawet miał żonę, to też nie byłoby w tem wielkiego nieszczęścia, gdyż Pismo Święte pozwala Żydowi mieć kilka żon. Posiadać tylko jedną prawowitą małżonkę, to jedynie zwyczaj, to klątwa rabina Gerszona. W kraju Izraela pobożni Żydzi mają nawet po dwie żony. Zresztą chodzi tu o Żydówkę, sierotę, którą trzeba ratować przed hańbą.

Wszystko to długo i szeroko tłumaczył swym spółsędziom reb Majerł. Przypomniał sobie przytem, że w czasie zarazy zbawiennem może się okazać urządzenie na cmentarzu wesela dwojga najuboższych i najbardziej upośledzonych mieszkańców. W tym celu wyszukuje się gdzieś jakieś biedaczysko, przygłupka, lub niedołęgę, oraz jakąś podstarzałą pannicę — nawet grzeszną, która straciła już nadzieję wyjścia zamąż. Taki ślub, wie o tem reb Majerł, może przebłagać gniew niebios. W iluż to zdarzyło się już miastach! Reb Majerł, ufny w Przeznaczenie, wnet dopatrzył się w tem ręki Bożej, zrządzenia niebios, i zadowolony, zamknął wielkie, ciężkie księgi i zwrócił się do sędziów:

— Cóż robić, niema innej rady, trzeba ich ożenić, i to zaraz, i właśnie na cmentarzu, by zażegnać gniew nieba. Widoczne, że jest w tem ręka Boża.

Reb Szachne wytarł czerwoną chustką zakatarzony nos i zgodził się.

— Rozniecili ogień — rzekł — niechże go teraz sami ugaszą!

Reb Tewel, kupiec leśny, rozprężył zmęczone członki po nieprzespanej nocy i uśmiechnął się znad swej kupieckiej bródki.

— Dobrana zresztą z nich para — rzekł — ona krowa, a on cielak. Co może być bardziej odpowiedniego?

Poprzez niskie okna pokoju rabina zajrzała zielonkawa jutrzenka i trupią bladością powlekła zmęczone twarze.

Rabin spoglądał przez zamglone szyby i marszczył swe, i tak już zbróżdżone, czoło.

Chciał dostrzec nikłą różnicę między błękitem nocy i zielenią świtu, by przekonać się, czy można już odmawiać ranne modlitwy, lecz barwy owe były dla oka jego nieuchwytne.

— Jak się wam zdaje — zwrócił się do swych towarzyszy — można już przystąpić do rannej modlitwy? Hę?...

W przedsionku Josie Cielak leżał na ziemi przy beczce i spał. Znużony, zasnął tu tak mocno, że przespał godzinę, w której zwykł był budzić Żydów, pukając codziennie do ich okiennic i wzywając ich do bóżnicy.

Na jego bladą, niewinną twarz padły pierwsze promienie jutrzenki jakąś fantastyczną, błękitną poświatą.

Rozdział XX.

Głośno, hucznie, bogato, z udziałem całej Białogóry, odprawiało się na cmentarzu wesele Cywji, córki szamesa Kunego, z Josie Cielakiem, podszamesem wielkiej bóżnicy.

Gdy następnego dnia ogłosił rabin reb Majerł w bóżnicy wyrok sądu rabinackiego i nakazał czynić przygotowania do wesela na cmentarzu, by zażegnać w mieście zarazę — nadzieja wstąpiła w serca mieszkańców. W Cywji i Josiem ujrzano wybawienie od plagi, uciskającej miasto.

Czego nie potrafili dokonać lekarze, czego nie zdziałały modły i zaklęcia reb Borucha, „babskiego cadyka“ — tego dokona — tak wierzyła ludność Białogóry — wesele Cywji z Josiem na cmentarzu.

— Mędrzec z tego rabina — chwalono reb Majerła w całem mieście, na rynku i w synagodze, w mykwie i na progach izb — to prawdziwy cadyk. Tylko niebo mogło go natchnąć tak szczęśliwą myślą.

O ile przedtem pałano nienawiścią do obojga grzeszników: półniemej Cywji i przygłupiego Josie — o tyle teraz darzono ich współczuciem, otoczono ciepłem, miłością nawet.

— Biedne sieroty! — wzdychały kobiety.

Widziano w nich pomoc, wyzwolenie, jedynych zbawców. Trudzono się zatem, dokładano starań, krzątano się i uwijano, by tem piękniej, szumniej i okazalej wypadło wesele na cmentarzu. Nikt nie mógł się już doczekać dnia ślubu. Obawiano się, by narzeczonym nie przydarzyło się — Boże broń — co złego. Lękano się niemal patrzeć na nich, by ich nie urzec — jakgdyby byli jakimś skarbem, jakimś bezcennym klejnotem.

Szczególnie obawiano się o Josiego, o owego Cielaka — by nie znikł nagle i nie wystawił wszystkich na pośmiewisko. Nadto był jakoś milczący ów Josie, nie okazując ni śladu radości. Nawet talmudyści w bóżni-

cy odnosili się teraz inaczej do niego. Nie zaczepiali go już, nie pozwalali mu nawet zamiatać podłogi. A gdy któremuś wpadło do głowy nagabnąć go:

— Cóż, Josie, dobrze było na przypiecku?... — wszyscy karcili natręta.

— Smarkaczu jeden, daj mu spokój! Przecież wkrótce jego ślub!...

Zamożni gospodarze zapraszali go do siebie na śniadania i kolacje, lecz Josie bynajmniej nie okazywał zadowolenia, jakiego możnaby się po nim spodziewać. Nikogo nie chciał odwiedzać, z nikim nie prowadził rozmów, całemi dniami przesiadywał tylko na progu i odmawiał psalmy! Sypiał na ławce w bóżnicy.

— Josie — tłumaczono mu z różnych stron — dość już pokuty. Ciesz się — wkrótce twoje wesele!

Lecz Josie nie dawał się rozweselić. Przeciwnie, stał się bardziej jeszcze ponury i melancholijny, niż zwykle. Nie chciał tknąć nawet jadła, które znosiły mu kobiety do bóżnicy, żywił się tylko suchym chlebem, popijał go wodą — i modlił się bez końca. Na nikogo nie zwracał uwagi, od czasu do czasu podchodził tylko do okna i przenikliwie spoglądał wdal, na szerokie pola, rozciągające się hen, za miastem. I Żydzi strzegli go pilnie, czujną go otaczając opieką. Nawet dla załatwiania potrzeb fizjologicznych nie puszczano go samego.

— To niebezpieczne, puszczać narzeczonego samego — tłumaczono się.

Kobiety w mieście nie zakładały rąk — szczególnie żony bogatych kupców.

Z płótna, którem przedtem wymierzały cmentarz, szyły teraz wiele koszul, prześcieradeł, poszew i posze-

wek. Wszystkie dziewczęta i młode mężatki zbierały się i szyły, krajały, przymierzały i krzątały się. Młode dziewczęta na wydaniu wyszywały na koszulach Cywji czerwone ząbki przy szyi.

— Dziewczyna ma szczęście — zazdrościły jej ubogie kobiety, matki podstarzałych córek.

Rzeźnik Abisz, który wciąż jeszcze chciał Josiego żywcem obedrzeć ze skóry, stał się teraz filantropem, chodził po rynku z dużym workiem na plecach i zbierał, co tylko się dało. Od majętnych brał odzież dla narzeczonego: kapoty, „tałes-kuteny“, jarmułki, mycki i pantofle. Nie zapominał nawet o sznurze do przepasania bioder.

— Dawajcieno co dobrego — domagał się — nie jakieś tam łachy. Przecież to dla narzeczonego. Nie wypada przecież!

Ludzie z „Ostatniej Posługi“ szli na rynek z koszami i zbierali po kramach żywność, mąkę, jaja, rodzynki i smalec. Kobiety nie skąpiły niczego, dawały ze szczerego serca.

— Oby się Pan Bóg zlitował wreszcie — mówiły, podnosząc oczy ku niebu, i dorzucały jeszcze jakiś datek do kosza. — Niechże będzie na szczęście!

Matki zmarłych dzieci zawczasu oddawały już koszulki i sukieneczki dla przyszłego niemowlęcia Cywji.

— Przyda się wkrótce — wzdychały. — Oby się na tem skończyło!

Miało to chronić od złego pozostałe dzieci.

I posypało się tyle koszulek, sukienek, a nawet pieluszek i powijaków, że nie chciano już więcej przyjmować.

Najbogatsze, najbardziej poważane gospodynie z miasta zebrały się u Szprincy, właścicielki piekarni, i własnoręcznie piekły pierniki i kołacze na wesele. Krzątały się gorliwie, same wszystko wykonywały, wodę nawet znosiły, by tylko jaknajlepiej przysłużyć się sprawie, by jaknajwiększą zaskarbić sobie łaskę w tych ciężkich czasach.

— Jeszcze jedno jajko do kołacza — zachęcały się wzajem — obyśmy zato dostąpiły łaski Boskiej...

W szczęśliwy wtorek, w dzień wesela, handlarki zamknęły swe kramy. Miały bardzo dużo roboty. Na weselu spodziewano się całego miasta. Nikogo nie powinno było zbraknąć: starych ni młodych, bogatych ni biednych — nawet dzieci. Trzeba było dla wszystkich przygotować przyjęcie. Pieczono więc, gotowano, smażono. Abisz zebrał od rzeźników całe ćwiartki mięsa, wiele kur i gęsi. Gmina wysłała rybaków na połów ryb w rzece. Felozer Szymszon, który był również muzykantem i grywał na bogatych weselach, siedział teraz u siebie w domu z całą kapelą i przygotowywał marsze weselne i tusze na cześć narzeczonej. Wychowawcy szkolni zwolnili chłopców od zajęć.

— Mazełtow — winszowano sobie co krok — oby Najwyższy zlitował się już nad naszem miastem.

Dziewczęta nabierały w rzece w dzbanki wody, od której miękną włosy, i starannie myły sobie głowy na wesele. Córki bogaczy pożyczały biednym służącym i szwaczkom swoje sobotnie, wełniane sukienki, by te nie musiały się wstydzić swoich znoszonych spódnic — same zaś stroiły się w jedwabie. Matki ich przyglądały się niespokojnie, jak córki wciągały na siebie wypo-

życzone sukienki, drżącemi rękami czyściły je starannie, strojąc przytem poważne miny.

— Pamiętaj, żebyś szanowała sukienkę — nakazywały po raz niewiedzieć który zarumienionym dziewczętom, poprawiając troskliwie każdą falbankę. — Obyśmy za to już, Boże miłosierny, nie zaznali złego!

W południe wszystko, co żyło — kobiety i mężczyźni, młodzi i starzy — wyległo na cmentarz, do domu narzeczonej.

Chasydzi szli w jedwabnych kapotach i aksamitnych czapkach. Rzemieślnicy — w sobotnich, sukiennych bekieszach z rozporkiem z tyłu, i w sukiennych czapkach na głowach. Żony bogatych kupców wystroiły się w jedwabie i atłasy, w stare koronki, pamiętające jeszcze dzień ich własnego ślubu; młode mężatki paradowały w staromodnych kapeluszach z ptakami o barwnych rozpostartych skrzydłach, które, jakby gotowe do lotu, siedziały na samym czubku wysoko zaczesanych i karbowanych peruk. Ponakładały na siebie wszystko, co posiadały: złote łańcuszki, broszki, szpilki, kolczyki, pierścionki. Lichwiarka Jenta wydała nawet z okazji wesela kilku podupadłym gospodyniom ich zastawioną biżuterję. Ogarnął ją strach wobec tak uroczystego i groźnego dnia.

Córeczki kupców naciągnęły na nogi białe pończochy, obuły lakierowane pantofelki i obnosiły swe wzorzyste parasolki z taką ostrożnością, jakgdyby były ze szkła. Ubogie dziewczęta szły sztywno w wypożyczonych sukniach, czując się w nich nieswojo i rumieniąc się jedna przed drugą w obawie, by nie poznano, że wystroiły się w cudze piórka. Wszystkie miały świeżo

umyte, wilgotne włosy, sztywno splecione w warkocze, przewiązane na końcu kolorowemi kokardami.

Dokoła domku, gdzie mieszkał szames Kune, posypano ziemię żółtym piaskiem. Chłopcy ze szkół religijnych wycinali z kolorowego papieru lampjony, w których płonęły świeczki. Z gałęzi drzew powiewały papierowe węże i smoki.

Dziewczęta ozdobiły izbę Kunego sztucznemi, czerwonemi kwiatami, pluszowym obrusem pokryły krzesło, jak tron, i posadziły na niem Cywję, pannę młodą. Cywja cieszyła się nową, białą suknią, w którą ją przybrano. Dziewczęta rozczesały jej gęste, jasne włosy i splotły jej warkocze, aż chichotała z radości.

— Chi, chi — ładnie, suknia, Cywja... — bełkotała, gładząc ozdoby przyodziewku.

Felczer Szymszon rej wodził. W świeckim surducie, o oblamowanych tasiemką rękawach i klapach, w czworokątnej jarmułce jedwabnej na czubku głowy, ze świeżo przystrzyżoną bródką, w której błyszczał czysty biały przedziałek, uwijał się, jak na najbogatszych weselach. Grał na flecie, dyrygował kapelą, i sypał rozmaitemi rymami, jak z rękawa:

„Weźcież, muzykanci w swe rączęta
Wasze delikatne instrumenta —
I uderzcie w najgłośniejszą strunę,
Córkę zamąż wydaje reb Kune".

Kobiety tłoczyły się i popychały. Izdebka była mała, a każdy chciał się dostać do środka i powinszować narzeczonej.

— Mazełtow! — winszowała i Cywja, całując się z przybyłemi — Mazełtow!

Dziewczęta obejmowały się z przesadną wytwornością za talje, lekko wznosząc paluszki ku górze, i puszczały się w tan.

— Reb Szymszon, zagrajcież coś — daję dziesiątkę na kapelę!

— Reb Szymszon, polkę-mazurkę — przelicytowały się bogate dziewczęta na wydaniu — ja daję dwudziestkę!

Felczer zagrał na flecie. Dziewczęta, trochę nadąsane, jak to się godzi na weselu, sztywne i dostojne, co to „patrz, a nie rusz“ — kręciły się w kółko, jak dorosłe damy, ściągając usteczka. Cywja, panna młoda, tańczyła ze wszystkiemi. Kobiety chciały jej wyperswadować:

— Odpocznij trochę! Narzeczona... czuje się zwykle słabą...

Lecz Cywja nie chciała słuchać.

— Rem Szymszon, jeszcze... jeszcze... — wołała, chichocząc. — Tak... dobrze...e...e...

Mężczyźni usadowili się na dworze. Ponieważ więcej izb nie było, rozstawiono na cmentarzu beczki, przerzucono przez nie deski i pokryto je obrusami, zastawiono piernikami i wódką.

— Mazełtow, narzeczony! — wołali Żydzi i wyciągali ręce do Josiego — oby się Pan Bóg wreszcie nad nami zlitował!

O ile Cywja nie posiadała się z radości, o tyle Josie smutny był i pełen melancholji. Nie wyrzekł nawet słówka, nie trącił się z nikim kieliszkiem. Wzrok miał zastygły, a usta ściągnięte. Pozwalał robić ze sobą wszystko, co się komu żywnie podobało. Milczał, gdy prowadzono go do kąpieli rytualnej, gdy ubierano go

od stóp do głów w nową odzież. Milczał, gdy prowadzono go pod rękę na cmentarz, i ani słowa nie wyrzekł, gdy posadzono go na zaszczytnem miejscu za stołem, otoczonym wielką ilością osób.

Usiłowano wyrwać go z zadumy, rozweselić go. W milczeniu jego dopatrywano się złego znaku. Chciano, by był wesoły, klaskano tedy w ręce i wołano:

— No, narzeczony — to jak król! — czemuż więc siedzisz z opuszczonym nosem?

Felczer Szymszon wyprawiał brewerje: najbardziej nawet ponurego człowieka mógł rozweselić i rozśmieszyć swemi rymami i anegdotami. Gadał bez przerwy, wyprawia kawały, pokazywał nawet sztuczki, wywrócił kapotę — lecz Josie wciąż siedział nieruchomy. Grupa urwisów, prawdziwych mistrzów w rozweselaniu gości, poczęła tańczyć kozaka; odrzuciwszy w tył poły kapot, brali w gęby końce swych bródek i robili przytem tak cudaczne miny, że wszyscy pokładali się ze śmiechu. Nawet rabin reb Majerł uśmiechał się. Lecz bladej twarzy Josiego nie rozświetlił najmniejszy promień uciechy. Tak samo siedział, jak skamieniały, jak wówczas, gdy przywleczono go do rabina.

Śpieszono się bardzo ze ślubem, który urządzono nadługo przed zapadnięciem nocy, by wieczorem nie pozostawać na cmentarzu.

Przy grobowcu dziadka reb Borucha, „babskiego cadyka“, gdzie Cywja całemi nocami zabawiała się z obcymi chłopakami, ustawiono teraz baldachim weselny. W takt uroczystych marszów, których felczer Szymszon nauczył się od muzykantów kozackich, prowadzono parę narzeczonych pod baldachim, trzymając w rękach palące się świeczki.

Po drodze zaszło coś nieoczekiwanego.

Młoda kobietka, matka niedawno zmarłego dziecka, ujrzała na drodze do baldachimu grób swego dziecka i z płaczem do niego przypadła.

— Chaimku — krzyczała — gdzież to ciebie pozostawiłam!

Za nią i inne kobiety poczęły szlochać, lecz rabin reb Majerł zabronił im lamentów.

— Niewiasty, nie płaczcie — rozkazał — na weselu musimy się radować.

Felczer Szymszon tak donośnie począł rżnąć marsza, że dźwięki muzyki zgłuszyły wnet płacz kobiet.

— Żywo, Żydzi, wesoło! — dodawano sobie wzajem animuszu.

Kilka kobiet, schwyciwszy wielki kołacz weselny, ozdobiony złocistym papierem i ptaszkami na drabinkach, puściły się w wir szalonego tańca. Wznosiły w górę kołacz, nie pozwalając mężczyznom wyrwać go sobie z rąk, i wykrzykiwały przytem:

— Hop, hop, hop, nowożeńcy, hip, hip!

Dziewczęta wzięły się za ręce i tańczyły w długim korowodzie, śpiewając piskliwemi głosikami ludową pieśń weselną:

„Dach na ziemi postawiony,
„Pokoiczki zamiecione.
„A łóżeczka rozebrane
‚I dziewczynki przyczesane.

Narzeczoną, Cywję, aż podrywało z miejsca. Ledwie udało się powstrzymać ją od podskoków. Josie stał pod baldachimem milczący, jak skamieniały. Nie włożył nawet narzeczonej pierścionka na wyciągnięty palec.

— Narzeczony, ślubuj pannie młodej! — budził go z odrętwienia rabin.

Josie nie poruszył się nawet. Żydzi podeszli doń, wzięli jego rękę i zbliżyli do palca narzeczonej.

Lecz nikt nie usłyszał z ust jego słów ślubowania.

Tylko szames Kune oświadczył, że słyszał.

Rabin reb Majerł długo marszczył czoło, aż wreszcie uznał ślub za ważny.

— Niechże już będzie — oświadczył. — Mazełtow.

Po ceremonji ślubnej Josie siedział w dalszym ciągu odrętwiały obok panny młodej, na uczcie wśród chasydów. Cywja głośno i hałaśliwie wyjadała „złocisty rosół“, pożerała, ile wlazło, trącając przytem Josiego łokciem.

— Chi, chi... dobre... jedzenie... chi, chi. — Dlaczego... ty... nie jeść... Josie? Chi, chi, chi.

Josie nie odpowiadał nawet na powinszowania Żydów, którzy zaprowadzili go do swego stołu. Nie uścisnął nawet ręki rabina reb Majerła.

— Cielak zawsze zostanie Cielakiem — mówiono złośliwie.

Ślubnych podarunków ofiarowano bardzo wiele. Bogaci nie skąpili trzyrublówek, mniej zamożni dawali po rublu, biedniejsi po 50 kopiejek, a rzemieślnicy po złotówce. Felczer Szymszon każdą sumę potrafił potroić.

— Bogacz, reb Mojsie, syn Mechla, daje trzyrublówkę o żółtym spodzie.

A żółty od spodu był banknot jednorublowy.

Śpieszono się i popędzano wzajemnie, gdyż nikt nie chciał zostawać w nocy na cmentarzu.

Wracano w pośpiechu do domu. Wszyscy czuli się jakoś pewniej, gdy mieli już daleko poza sobą kamienny mur. Dopiero na rynku rodziły się grzeszne refleksje o nowożeńcach. Po raz pierwszy zdarzyło się, że prowadzono do ślubu narzeczoną w stanie błogosławionym. Nasuwało to grzeszne myśli, których lepiej jest nie mieć w głowie tam, na cmentarzu.

Gdy wszyscy się rozeszli, szames reb Kune zebrał resztki jadła ze stołu i pozanosił je spokojnie do domu. Z równym spokojem obliczył ofiarowane w prezencie ślubnym pieniądze, które wetknął sobie za pazuchę.

Wlazł na zapiecek, gdzie dotąd zwykle sypiał Josie, i zgasił lampę.

— Dzieci — powiedział — będziecie spać w łóżku.

Cywja, nie rozbierając się prawie, padła na łóżko, zmęczona tańcem, gwarem i zabawą weselną. Zbyt już nużącym okazał się dla niej ten dzień, zbyt uciążliwym dla jej ostatnich miesięcy ciąży. Natychmiast poczęła chrapać, tak jak i ojciec na przypiecku.

Josie nie zbliżył się nawet do łóżka.

Przez jakiś czas stał z zapartym oddechem, jak przyrośnięty, pośrodku pokoju. Słuchał szumu drzew na cmentarzu, cienkiego i basowego pochrapywania w pokoju, ćwierkania świerszcza za kominkiem — i nie ruszał się z miejsca. Gdy zegar, dławiąc się ciężarkami, począł wydzwaniać wreszcie późną godzinę — cichutko odszukał w kącie za piecem swój połatany worek, w którym dla ciężaru leżał kamień, oraz „tefilim". Namacał w ciemnościach kij, i otworzywszy bez szmeru drzwi, znikł w mrokach nocy.

* * *

Nad ranem Cywja, zbudziwszy się ze snu i widząc pusty pokój, podniosła krzyk. Wyczuła natychmiast, że Josie uciekł, i wybuchnęła płaczem, podobnym do ryku zbolałego bydlęcia.

Szames Kune zlazł z przypiecka, wziął w jedną rękę — choć to już dniało — latarkę, w drugą kij, i przeszukał cały cmentarz. Lecz Josiego nie znalazł. Wyszedł na miasto, do bóżnicy, przeszedł wszystkie uliczki. Nigdzie go nie było. Zbudził rzeźnika Abisza. Ten powyciągał z łóżek wszystkich rzeźników. Puszczono się w pogoń za zbiegiem — po drogach i dróżkach. Przeszukano całą okolicę, lecz nie znaleziono go nigdzie.

— Niema Josiego — oświadczył Kune swej córce. Porzucił cię!

Cywja na ogoloną twardą głowę nałożyła perukę, przewiązała na brzuchu szeroki fartuch, jaki noszą wszystkie mężatki. W mieście nie dawano jej odtąd imienia ojca, lecz męża.

— Cywja Cielakowa — zwracano się do niej.

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział XXI.

W wielkiej, drewnianej bóżnicy mieszawskiej, zbudowanej tymczasowo natychmiast po pożarze, a która pozostała już tak przez lat piętnaście, gwarno było i rojnie.

Działo się to w dwunasty dzień miesiąca Tamuz, na który przypada rocznica śmierci starego cadyka mieszawskiego, ojca obecnego cadyka, reb Mejłecha. Zjechało się wielu wiernych. Na cmentarzu, nad grobem cadyka, paliły się setki świec, a Żydzi rzucali tysiące karteczek. Szamesi siedzieli przy stolikach, pisali kwitki i targowali się:

— Miedziaków nie wezmę, mniej od korony nie wezmę — mowy niema!

Kobiety w chustkach, nasuniętych aż na oczy, stały na uboczu, nie mając odwagi zbliżyć się do grobowca cadyka, gdzie było tylu mężczyzn. Im stać przystoi zdaleka, jak żebrakowi, błagającemu o jałmużnę we drzwiach. Biedni chłopcy sprzedawali z koszyków świeczki, papier, a nawet placuszki i wódkę. Żydzi bowiem pijają „na zdrowie" na cmentarzu.

Cadyk reb Mejłech, starzec osiemdziesięcioletni, zgrzybiały, poszarzały od siwego zarostu, o brodzie i pejsach podobnych do mchu — prowadzony był pieczołowicie na cmentarz.

— Miejsca dla cadyka—wołał gabe Izrael-Awigdor.

I broda Izraela-Awigdora była już raczej siwa, niż czerwona, ale on sam trzymał się jeszcze świetnie. Zażywał coraz mocniejszej tabaki, dolewał nawet wódki do niej, dosypywał pieprzu, by tembardziej była podniecająca. Miód pijał całemi kwartami.

— Nie pchać się — wołał tonem rozkazującym do Żydów, którzy cisnęli się do starego cadyka — nie wszyscy naraz!

Czuwa on teraz bardzo troskliwie nad cadykiem, o wiele troskliwiej, niż dawniej. Cadyk jest zgrzybiały, słaby, nie poznaje już nawet swych wiernych i to najbogatszych i najdostojniejszych. Synowie jego, ludzie już starsi, nie mogą doczekać się rabinostwa, przestali drżeć przed ojcem, jak w latach dawniejszych. Jeszcze za jego życia podejmują u siebie chasydów, przyjmują kwitki, podarunki, wydzierając sobie wzajem wyznawców. Uganiają się zwłaszcza za bogaczami i rabinami.

Boli to Izrael-Awigdora. Wie dobrze, że dwór cadyka można porównać, nie przymierzając, z dworem cesarskim. Siła tkwi w dynastji. Jeden tylko człowiek powinien po drugim obejmować władzę. Gdy następuje podział władzy, upada rabinostwo. Izrael-Awigdor zdaje sobie sprawę z tego, że dzieci cadyka taką darzą go niechęcią, jaką i on do nich czuje. Boją się go, bo zbyt wiele wie o nich. Dlatego tak bardzo czuwa nad sędziwym cadykiem i strzeże go, jak oka w głowie.

Na dwór rebego przybywają wciąż nowe tłumy. Żydzi witają się, modlą, piją za swe zdrowie.

Nagle zjawia się w bóżnicy obcy jakiś człowiek z workiem na plecach i z kijem w ręku. Zaledwie zdążył przestąpić próg, a już wszyscy podnoszą oczy i cie-

kawie mu się przyglądają. Chłopcy zapominają o talmudzie i nie mogą oczu oderwać od przybysza.

Jest to człowiek wysokiego wzrostu, kościsty, o czarnej jak węgiel brodzie i pejsach, o dużych czarnych oczach, o zakurzonem ubraniu, jakgdyby wracał z dalekich gościńców. Przepasany jest sznurem. Trzewiki ma mocno podarte, a worek, który nosi na plecach, jest stary, połatany i zakurzony. Kij jego jest za wysoki, gruby i sękaty. Przekłada go z prawej ręki do lewej i uwolnioną dłoń przykłada z pocałunkiem do „mezuzy". Następnie zrzuca worek z pleców i myje sobie czarne i zakurzone z drogi ręce pod miedzianym zbiornikiem z wodą.

Żydzi przystępują do niego, wyciągając ku niemu ręce.

— Szołem Alejchem.

— Alejchem Szołem.

— Skąd przychodzicie?

— Ze świata — odpowiada przybysz.

Żydzi poczynają się niepokoić. Raz jeszcze pytają obcego o coś, lecz ten milczy, wykręca się od rozmowy. Wyjmuje z worka „tales" i „tefilim", i wkłada je na siebie, nakrywając przytem talesem głowę inaczej, niż czynią to inni Żydzi. Wywołuje to we wszystkich zdziwienie, które bardziej jeszcze wzrasta w chwili, gdy obcy nakłada dwie pary tefilim naraz.

Modli się, stojąc u drzwi.

Po nabożeństwie chasydzi pragną go poczęstować wódką i miodownikiem, lecz on potrząsa głową na znak, że pić nie będzie.

— Dzisiaj rocznica starego cadyka — niech pamięć jego będzie błogosławiona — mówią Żydzi.

— Wiem o tem — rzecze.

Wyciągnął ze swego worka kilka kawałków suchego chleba oraz szmateczkę ze solą. Potem umył sobie przed jedzeniem ręce, długo się modlił, posypując chleb solą. Wodę popijał z dużej blaszanej kwarty bóżnicznej. Po posiłku pomodlił się znowu, zawiązał swój worek i spytał:

— Czy Izrael-Awigdor wciąż jeszcze jest „gabe?"

— Oczywiście — odpowiadają Żydzi — co za pytanie!

— Chcę się z nim zobaczyć — powiada obcy.

— Podobno zaraz przyjdzie — odpowiadają mu. — W tej chwili jest u cadyka.

— Proszę go zawołać — rozkazuje obcy. — Powiedzcie mu, że pewien przybysz ma mu coś do powiedzenia.

Rozkazujący ton i pewność siebie, z jaką obcy zwracał się do obecnych, przejęły wszystkich ukrytym lękiem. Kilku Żydów pośpieszyło natychmiast po Izraela-Awigdora. Tymczasem obcy rozgląda się dokoła swemi dużemi, czarnemi oczyma, jakgdyby wszystko to było dlań nowe.

— Czy to wszystko zbudowano po pożarze? — pyta.

Młodzieńcy, którzy nie pamiętają we dworze pożaru, uśmiechają się. Starsi Żydzi odpowiadają:

— Tak, po pożarze.

Gdy w bóżnicy zjawił się Izrael-Awigdor, obcy podszedł ku niemu i wyciągnął do niego rękę.

— Szalom-alejchem — Izraelu-Awigdorze!

Izrael-Awigdor zmierzył obcego, obdartego Żyda

swym przenikliwym wzrokiem. Gniewa go, że taki włóczęga kazał go do siebie zawołać.

— Kim jesteś? — pyta gniewnie.

Odrazu mówi do niego per „ty", by podciąć mu tem skrzydła.

— Tułaczem — odpowiada przybysz.

— Czego chcesz?

— Chcę wejść do cadyka.

Izrael-Awigdor poczerwieniał, krew nabiegała mu do zarośniętych uszu, jak to się zdarza u wszystkich starych pijaków.

— On chce wejść do cadyka — mówi zjadliwie, zerkając jednem okiem na jego łachmany — słyszeliście! Moje uszanowanie! Rebe siedzi i czeka tylko na niego!

Izrael-Awigdor poczerwieniał, krew nabiegła mu dzieć, jakie wrażenie wywarły jego słowa i jakie miny mają obecni. Lecz obcy nie czuje się zawstydzony.

— Izraelu-Awigdorze — rozkazuje — wejdź zaraz i powiedz cadykowi, że czekam na niego. Przybywam zdaleka.

Izrael-Awigdorowi aż krew odbiegła od uszu. Zbladł. Rozkazujący ton obcego, jego osobliwy wygląd i słowa „przybywam zdaleka, czekam" — wszystko to napełnia go obawą. Coprawda, od długich lat jest on gabem we dworze i zna cadyka na wylot, nie tak łatwo mu byle co wmówić. Lecz dziś jest rocznica starego cadyka. Izrael-Awigdor nie znał go. Opowiadają o nim dziwy, w które święcie wierzy. Dziwne myśli kłębią mu się w głowie w ten dzień rocznicy, w głowie niezupełnie trzeźwej po licznych wychylonych kieliszkach z chasydami. Przypomniał sobie opowiadania o świato-

bliwych mężach, legendy o trzydziestu sześciu cadykach, o proroku Eljaszu, co wędruje po świecie, i o umarłych. To też niebawem opamiętał się i rzekł:

— Idę już. Jak mam powiedzieć? Kto chce mówić z cadykiem?

— Żyd — odrzekł obcy — tułacz!

— Chodźcie ze mną — prosi Izrael-Awigdor.

Nie zwraca się już teraz do niego per „ty". Z odcieniem szacunku prowadzi go ku drzwiom, wiodącym do pokoju cadyka. Przed drzwiami każe obcemu poczekać, sam zaś wchodzi do rebego. Trwożliwym głosem opowiada cadykowi o przybyszu.

Powtarza słowa jego.

„— Powiedz cadykowi, że czekam, przybywam zdaleka..."

Cadyk reb Mejłech przestraszył się jeszcze bardziej, niż Izrael-Awigdor.

— Jest obdarty i ma worek na plecach? — wypytuje gabego — jakiś przybysz?

— Tak, rebe!

— No, co robić, wprowadź go — rozkazuje cadyk, wkładając na głowę kołpak, gdyż nagle zrobiło mu się zimno w ten gorący dzień.

Izrael-Awigdor wychodzi, by wprowadzić obcego.

— Może zostawicie tu worek — odzywa się — nikt go nie zabierze.

— Nie — odpowiada obcy i wchodzi do cadyka z workiem na plecach!

To już zupełnie wyprowadziło Izraela-Awigdora z równowagi.

Po wejściu do pokoju cadyka, obcy rozgląda się dokoła, spogląda na szafy z książkami i na samego ca-

dyka. Cadyk jest już stary, skórę na twarzy ma brunatną i pomarszczoną, jak kora. Siwizna jego brwi, brody i pejsów uderza aż swą sinością. Obcy przenika wzrokiem cadyka, jakgdyby chciał sobie coś przypomnieć.

— Szolem alejchem — odzywa się cadyk — zbliż się, przybyszu, nie widzę już dobrze!

Obcy zbliża się i podaje cadykowi rękę.

— Kim jesteś? — pyta się rebe.

— Nachum — brzmi odpowiedź,

— Kim? — pyta cadyk, przykładając rękę do ucha.

— Nachum — odpowiada obcy — wasz zięć!

Cadyk reb Mejłech zatrząsł się na swym skórzanym fotelu. Izrael-Awigdor podbiegł, by go wesprzeć, po chwili jednak cadyk oprzytomniał.

— Nie poznaję cię — odzywa się przestraszony.

— Gdym odszedł, było to siódmego dnia miesiąca Adar, roku 5631, a teraz jest dwunasty Tamuz 5646, upłynęło lat piętnaście.

— Gdzieś przebywał dotąd?—pyta cadyk wzburzony.

— Błądziłem po świecie.

— A dlaczego uciekłeś?

— Musiałem.

— Czemu porzuciłeś moją córkę?

— Musiałem.

Cadykowi robi się zimno.

— Izrael-Awigdor — mówi — podaj mi mój watowany szlafrok.

Izrael-Awigdor zdejmuje z cadyka jedwabny szlafrok i pomaga mu wdziać watowany, aksamitny. Cadyk podnosi się ociężale z fotela, podchodzi ostrożnie do przybysza i wpatruje się weń swemi starczemi

oczami, skrytemi pod gęstwą krzaczastych, jakby mchem pokrytych, brwi.

— Przyszedłeś kpić sobie z nas? — pyta ze złością.

— Nie, wróciłem do mojej żony Serełe.

— Jak możesz dowieść mi, że jesteś Nachumem?

— Niespełna rok przed moją ucieczką studjowałem z wami księgę Kabały „Anioł Rezyel". Na stronicy osiemnastej zagięliśmy wtedy róg kartki. Może istnieje jeszcze ten znak.

— Izrael-Awigdor, poszukaj tej księgi — powiada cadyk drżącym głosem.

Ogląda przybysza od stóp do głów. Dotyka go nawet rękami, jakgdyby martwej jakiejś rzeczy. Izrael-Awigdor przynosi księgę. Cadyk drżącemi rękami otwiera foljał, lecz ze zdenerwowania nie może przewrócić ani jednej kartki. Stronica osiemnasta jest zagięta. Cadyk ledwie trzyma się na nogach. Pokój cały kręci mu się w oczach. Izrael-Awigdor podprowadza go do fotela i pomaga usiąść.

— A czy możesz wykazać się jakiemś znamieniem przed moją córką Serełe? — pyta — mam na myśli znamię małżeńskie...

— Tak — mówi przybysz.

— Izrael-Awigdor — mówi cadyk stanowczym głosem — przywołaj Serełe, lecz nic jej nie mów.

Serełe wchodzi wystraszona, z rękami złożonemi na piersiach. Na głowie ma szarą chustkę. Jest tęga. Przybysz zrzuca na ziemię worek i wpija w Serełę swe wielkie, czarne oczy. Kobieta spuszcza wzrok.

— Serełe — odzywa się cadyk — zbliż się i przypatrz temu człowiekowi.

Serełe spełnia życzenie ojca.

— Czy znasz go?

Ogarnia ją lęk, nogi odmawiają posłuszeństwa, panuje jednak nad sobą.

— Nie — odpowiada, rzucając jedno tylko spojrzenie na obcego, obdartego mężczyznę.

— A ty, przybyszu, poznajesz ją? — pyta cadyk.

— Tak — odpowiada zapytany bardzo spokojnie i stanowczo. — To jest moja żona, Serełe.

Serełe chwieją się kolana jak u pijanego, jakgdyby coś się w nich rozluźniło lub rozwiązało. Chce podejść do ławki i usiąść, lecz chwieje się i pada na ziemię. Izrael-Awigdor chce biec i zawołać kobiety do pomocy. Obcy wstrzymuje go jednak ruchem ręki, podchodzi do worka, wyjmuje flaszkę wody i cuci nią Serełe. Omdlała otwiera oczy. Obcy podnosi ją z ziemi i prowadzi za rękę do ławki. W dotknięciu tej obcej męskiej ręki wyczuwa jakieś bliskie ciepło i siłę i siada posłusznie.

— Lepiej ci jest — pyta rebe.

— Tak — odpowiada cicho.

— Serełe — powiada cadyk—ten przybysz twierdzi, że jest Nachumem, twoim mężem, przypatrz mu się dobrze i powiedz, czy go poznajesz.

Serełe spogląda na tego obcego, zakurzonego i obrośniętego mężczyznę, na jego czarną, jak węgiel, brodę, na jego ostrą, śniadą, wynędzniałą twarz, na jego kościste i twarde kształty, wyłaniające się z pod postrzępionego ubrania, na wielkie, czarne oczy, i serce jej drży i wali jakby chciało wyskoczyć z piersi. Rumieniec zalewa jej twarz.

— Nie wiem — odpowiada.

— Trudno go poznać — odzywa się cadyk — gdyż

odszedł był bez zarostu, a teraz ma dużą brodę i jest dwa razy starszy.

— Tak — wzdycha Serełe — piętnaście lat już upłynęło.

— Przybyszu — zwraca się cadyk do obcego — jakie znaki możesz dać córce, któreby wskazywały, że jesteś jej mężem?

— Pościłem całe dwa dni przed mojem odejściem.

— Tak — mówi Serełe, blednąc.

— W dniu, w którym odszedłem, nie chciałem nawet spożyć wieczerzy.

— Tak — potwierdza córka cadyka.

Obcy zwraca się do Serełe i mówi, „tykając“ ją.

— Przypuszczałaś, że jestem chory i chciałaś nawet przywołać lekarza.

— Tak, — prosiłam was nawet, byście się położyli do łóżka.

Serełe, zwracając się doń, mówi mu „wy“.

— A ja sobie tego nie życzyłem — ciągnie dalej przybysz — udałem się na górę do mego pokoiku i zasiadłem nad księgą.

— I już więcej nie wróciliście — dodaje, wzdychając, Serełe.

Cadyk podnosi się z fotela i przystępuje do swej córki.

— Czy aby to wszystko dobrze pamiętasz? — pyta jej.

— Tak, pamiętam — mówi. — Pamiętam wszystko, nawet to, co gotowano wówczas na kolację: kaszę z mlekiem. Wtedy to właśnie zdarzyło się to nieszczęście z nieboszczką Małkełe, która leżała w bólach porodowych, i dlatego nie gotowano mięsa.

— Hm, — mruczy rebe.

— Dla Nachumcia — ciągnie dalej Serełe — zaniosłam na górę szklankę mleka i placuszek, nic jeszcze nie miał był w ustach tego dnia. Lecz już go nie było. Na stole tylko leżała otwarta jakaś księga...

— Psalmy — odzywa się obcy.

— Tak — powiada Serełe — psalmy. Zamyśla się na chwilę i dodaje ze smutkiem:

— Mleko było nietknięte...

Mówi to z takim smutkiem w głosie, jakgdyby jej jeszcze teraz żal było tej szklanki mleka, którą pozostawił nietkniętą.

— Przypatrz mu się raz jeszcze! — powiada cadyk — Serełe, nie powinnaś tego lekceważyć! Powiedz, poznajesz go?...

Serełe podchodzi blisko do obcego mężczyzny, jak jej rozkazuje ojciec. Ogląda jego wysoką, kościstą postać, jego czarne oczy i brodę. Tchnie drogą, dalą, ciepłem i siłą. Dreszcz przebiega całe jej ciało i ciepło przenika wszystkie jej członki. z

— Tak — mówi stanowczo, wierząc, że go poznaje — tak, tak!

Rebe podnosi swe krzaczaste brwi.

— Serełe — powiada cadyk — może znasz jeszcze inne jakieś znaki, nie wstydź się! Może znasz znamiona na jego ciele?

Serełe opuszcza oczy i milczy.

— Córko — powiada dalej cadyk — jesteś kobietą, porzuconą przez męża swego, mów więc!

— Tak — odpowiada — ma bliznę na boku, pozostałą po operacji, którą przechodził, będąc jeszcze dzieckiem.

Zacina się na chwilę, rumieni się i mówi.

— A na plecach ma dwa pieprzyki, jeden przy drugim.

— Izrael-Awigdor — rozkazuje rebe — zaprowadź przybysza do mykwy i sprawdź to! A ty, Serełe, zaczekaj tu na ławce!

Gabe wychodzi bocznemi drzwiami z przybyszem do mykwy.

Serełe podchodzi do worka i podnosi go. Delikatnie bierze w ręce zakurzony, połatany worek. Każdy jego włosień i zgrubienie burzy w niej krew. Pieści go. Cadyk wybałusza oczy z pod krzaczastych brwi i milczy. Wkrótce wraca gabe w towarzystwie obcego.

— Rebe — powiada uroczyście — wszystko zgadza się z tem, co mówiła Serełe, obejrzałem reb Nachuma od stóp do głowy.

Cadyk wstaje. Jego stara, zachmurzona twarz rozjaśnia się. Wszystek zielonawy mech jego zarostu drży.

— Mazełtow! — powiada.

Poczem przystępuje do córki i szepce jej na ucho.

— Bądź cnotliwą żydowską córką, już ja sam wydam polecenie gabemu, kiedy ma napalić w „mykwie".

Gorący rumieniec oblewa pulchną twarz Serele. Wstydzi się podnieść oczy.

Cadyk daje jeszcze zlecenie swemu gabe, by zamówił dla gościa nowe, przyzwoite ubrania. Serele chce się wtrącić do rozmowy i powiedzieć, że cała odzież Nachumcia wisi jeszcze w szafie, że wisi tak, jak ją zostawił, że strzegła jej przez cały ten czas, posypując naftaliną, by jej mole nie zjadły; i jeśli ubrania nie są zbyt małe i ciasne, to można ich jeszcze używać.

Wstydzi się jednak odezwać słowem. Nie może nawet wypowiedzieć owych dwóch słów — jedynych słów, które przez piętnaście lat dławią jej krtań.

„Dlaczego, Nachumcie?...“

Opuszczonemi oczyma ogląda podarte i zakurzone obuwie przybysza. Zaledwie dosłyszalnym głosem szepce do tego smagłego mężczyzny:

— Może pójdziesz coś zjeść?

Poraz pierwszy mówi mu teraz „ty“.

Rozdział XXII.

Wieść o powrocie Nachmucia, zięcia cadyka, do Mieszawy rozniosła się lotem ptaka po wszystkich miastach i miasteczkach z obu stron granicy. Chasydzi częstowali się wódką, piernikiem i winszowali sobie wzajemnie.

Szanujące się mieszawskie gospodynie zakupiły na sobotę najlepszych rodzynek i cynamonu, napiekły rozmaitych kugli i posyłały je w prezencie na dwór cadyka dla córki jego, Serełe.

— Na cześć waszego kochanego gościa! — oświadczali posłańcy, odkrywając ostrożnie pokrywki naczyń z kuglami.

Bogatsi przysyłali również i wino.

Chłopców i dziewczęta, którzy przynosili prezenty, Serełe częstowała orzechami i migdałami. Dworscy pieczeniarze mieli sutą sobotę dzięki tym smakołykom, które ofiarowała im Serełe. Tłuszcz z kugli spływał im aż po brodach. Dzieci cadyka, wszystkie jego córki i synowie również ofiarowali swej siostrze Serełe

wiele podarunków: kugle, flaszki wina i owoce w srebrnych koszyczkach. Z przybycia na dwór nowego gościa nie byli jednak zadowoleni.

Przybyły dziwnie był tajemniczy, niezrozumiały i milczący i nie zdradzał przyczyn swego odejścia i powrotu. Słówkiem nawet nie chciał przed nikim napomknąć o swem życiu, o tem, gdzie przebywał, ani też o motywach swego powrotu na dwór mieszawski. Milcząc, podawał tylko rękę na powitanie. Nawet przed Serełe nie zwierzył się ani słówkiem i tylko cadykowi oświadczył zaraz po powrocie:

— Musiałem.

Nic więcej nie można było od niego wydostać. Wydawało się to wszystkim czemś zagadkowem i przejmowało ich lękiem. Chasydzi dopatrywali się w tem wielkości, tajemnicy i znaków bożych. W dodatku nowoprzybyły nie pokazywał się nikomu na oczy. Modlił się samotnie w swoim pokoju i nie zjawiał się w bóżnicy i nie ukazywał się nawet przy stole cadyka. Od domowników dowiedziano się, że wciąż przesiaduje u siebie, ślęcząc nad książkami, lub też krokami przemierza pokój tam i z powrotem. Nad ranem widują go niekiedy, jak śpiesznie przekrada się przez dziedziniec do mykwy i śpiesząc się, przemyka szybko z oczami szeroko rozwartemi, które jednak nic wokoło nie dostrzegają. Czasami wychodzi samotny w dalekie pola, lub na cmentarz, skąd wraca równie nagle i niespodzianie, jak był wyszedł. To wszystko przejmowało ludzi lękiem, a jednocześnie napełniało ich podziwem i czcią. Synowie cadyka obawiali się Nachuma i drżeli przed nim.

Cadyk jest już stary i wiek ciąży na nim z każdym dniem bardziej. Widzi coraz słabiej, słyszy coraz gorzej. Na dworze, wśród dzieci cadyka, niema zgody. Przechwytują sobie nawzajem zwolenników, obgadują się wzajemnie, podrywają zaufanie chasydów do siebie. Dni cadyka zdają się być policzone. To wzmacnia ich niepokój. Obawiają się, by chasydzi nie porzucili ich nagle i nie przeszli wszyscy na stronę tego obcego i tajemniczego gościa.

Gabe Izrael-Awigdor lał również wodę na ten młyn.

Zależało mu przedewszystkiem na utrzymaniu zwolenników cadyka i nie chciał dopuścić do rozbicia wiernej cadykowi rzeszy. Wiedział dobrze, że każdy z synów będzie starał się coś zdobyć wyłącznie dla siebie, nie myśląc wcale o dworze. Przybysz powrócił więc w samą porę. Izrael-Awigdor odwiedzał teraz wszystkich chasydów, chodził do bogatych, poważanych Żydów w mieście, częstował każdego szczyptą mocnej tabaki, wskazując przytem owłosionym palcem na zakątek dworu, gdzie przesiadywał Nachumcie, zamknięty w pokoju, i szeptał cichym, tajemniczym głosem.

— Powiadam wam, Żydzi, że coś w tem tkwić musi.

— Tak, to nie jest takie proste — przytakiwali mu, zdjęci lękiem starsi chasydzi — wcale nie takie proste, nie...

Nawet sam cadyk reb Mejłech był mocno zdziwiony i zaniepokojony.

Z przybyszem wcale prawie nie rozmawiał, i wogóle mało udzielał się teraz cadyk mieszawski. Był już zgrzybiały i osłabiony i mowa przychodziła mu

z trudnością. Zresztą przybysz nigdy słowem nawet nie odpowiadał na jego pytania. Milczał nawet wówczas, kiedy cadyk opowiadał mu, jak szybko ojciec jego, rabin z Rachmaniówki, wraz z matką zeszli z tego świata ze zgryzot i zmartwienia po jego zniknięciu. Jednem zaledwie odezwał się słowem:

— Wiem.

I więcej nic. Stary przeraził się, sam nie wiedząc, co ma o tem myśleć. Przywołał Serełe, sądząc, że od niej czegoś dowiedzieć się może, ale i ona o niczem nie miała pojęcia.

— Czy spełnia swoje obowiązki małżeńskie względem ciebie? — spytał cadyk.

— Jak czasem — odpowiedziała Serełe, spuszczając głowę.

— Czy rozmawia kiedy z tobą? — chciał wiedzieć rebe.

— Nie — odrzekła — siedzi wciąż nad talmudem, zamknięty w swym pokoju. Ja obawiam się odezwać do niego, on zaś wciąż milczy.

Cadyk już o nic więcej nie pytał.

— No, idź już, idź — przepędzał ją z pokoju, jak zwykle — idź już, idź...

Lęk przed nowoprzybyłym wzmagał się w nim coraz bardziej.

— Niepodobna go zrozumieć — mówił do Izraela-Awigdora.

Ten natychmiast rozniósł słowa rebego po mieście. Mężczyźni stali się teraz bardziej pobożni, a kobiety wciąż oblegały mieszkanie przybysza. Wyczuły w nim naraz wielkiego cadyka i cudotwórcę.

Naogół niewiasty nie były zadowolone z mieszawskiego rebego; z wiekiem stawał się coraz nieznośniejszy dla kobiet. Izrael-Awigdor nakazał nawet nie puszczać ich na próg dworu. Gabe, jak mógł, starał się wykonywać rozkazy cadyka, przepędzał je i przeganiał, lecz nie zawsze był w stanie oprzeć się pokusie pieniądza. Za jednego guldena zapominał wartować u wejścia i kobiety z łatwością dostawały się do pokoju cadyka. Cadyk jednak nie chciał nawet odpowiadać na ich płacze i lamenty.

— Nu, idźcie już, idźcie — przepędzał je — nie mam już sił...

A gdy któraś bardziej natrętna domagała się natychmiastowego błogosławieństwa, cadyk nie cofał się nawet przed przekleństwem.

— Do kroćset djabłów. — wybuchał — czegoście się mnie uczepiły? Nie możecie pojechać gdzieindziej? Wszak nie brak cadyków na świecie!

Synowie rebego byli wprawdzie łaskawsi dla kobiet, przyjmowali od nich kwitki i pieniądze, lecz z chwilą zjawienia się przybysza na dworze niewiasty coraz tłumniej garnęły się do jego zamkniętego pokoju.

— Święty cadyku! — lamentowały pod oknem Serełe — wpuśćcie, proszę, nieszczęśliwą matkę!...

Nikt im jednak stamtąd nie odpowiadał.

Z miast i miasteczek przybywali Żydzi, by przyjrzeć się zbliska zięciowi rebego z Mieszawy. Uczeni talmudyści byli spragnieni dysput na święte tematy. Młodzi ludzie, zamierzając porzucić swe żony i dzieci, i poświęcić się wyłącznie sprawom bożym, gorąco pragnęli zasięgnąć jego rady. Kabaliści wyczuwali w tem wszystkiem ukryty głębszy jakiś sens i przyjeżdżali poznać

jego tajemne znaczenie. Lecz nowoprzybyły odgradzał się od wszystkich. Wciąż przesiadywał u siebie w pokoju, zamknięty na wszystkie spusty, co tembardziej zaciekawiało i pociągało do niego ludzi.

Synowie cadyka kręcili się po dworze bladzi i wystraszeni. Wiedzieli, że na dworach zdarzały się podobne sprawy. Nieraz już chasydzi porzucali wszystkich spadkobierców cadyka i przenosili swą wierność na obcego wybrańca, który niekoniecznie musiał być potomkiem cadyków, lecz zwykłym nawet chasydem. Zresztą dzieje się to zwykle na dworach, gdzie jest dużo dzieci, a cadyk zbyt długo zasiedział się na swym rabinackim stolcu. Zdawali sobie dobrze sprawę, że rebe nie powinien być zbyt często widywany i że nie należy do niego zbytnio przyzwyczajać wiernych. Inaczej taki cadyk staje się zjawiskiem powszedniem i taniem. A oni, synowie jego, zbyt już się spoufalili z tłumem zwolenników, zbyt długo są wciąż „dziećmi", choć mają już siwe brody. Toteż przestali swarzyć się między sobą, żyli w zgodzie, czując, że tylko wspólnemi siłami przeciwstawić się mogą owemu przybyszowi, który wdarł się do mieszawskiego dworu.

Nie rozmawiali z nim wprawdzie, nie rozumieli, o co temu dziwacznemu człowiekowi chodzi i czego chce ostatecznie. Nigdy nie rozmawiał z nimi, nie odwiedzał ich, choć go zapraszano, nie chciał na nich patrzeć, gdy go nachodzili. Prócz pozdrowienia przy powitaniu nigdy nie wyrzekł ani słowa więcej i milczał, jak zaklęty. Byli jednak przekonani, że chodzi mu o objęcie spuścizny po cadyku, że godzi w ich najżywotniejsze interesy, że nietylko zależy mu na pewnej części zwolenników rebego, lecz że chce sobie pozyskać

tę masę, nie pozostawiając prawnym spadkobiercom ani jednego chasyda. Bo pocóż, jeśli nie poto wrócił właściwie tak niespodziewanie? Dlaczego jest tak tajemniczy, i poco wciąż zamyka się u siebie w pokoju? Zresztą i oni starali się również zmienić się pozornie w stosunku do otoczenia; zdobywali się na różne rabinackie wyczyny, wygłaszali niezrozumiałe sentencje i wpadali na dziwaczne jakieś pomysły. Lecz nikt tem się nie przejmował, nikt o tem nawet nie wspominał. Mówiono wyłącznie o przybyszu.

— Jeszcze za życia starego będzie naszym zwierzchnikiem — mówili jeden do drugiego — wszyscy już garną się do niego bardziej, niż do ojca!...

— Nic dziwnego, stary już nikogo nie poznaje, odstręcza od siebie ludzi.

Szczególnie zaś obawiali się zbliżających się wielkich świąt, owych groźnych dla Żydów dni, kiedy wszyscy oczekują cudów i objawienia Bożego.

Już miesiąc przed Nowym Rokiem setki młodych ludzi przybyło do Mieszawy, by okres pokuty spędzić na dworze cadyka. Święta ściągnęły na dwór Żydów ze wszystkich stron świata. Z miasteczek galicyjskich przybyli pejsaci chasydzi w kapotach, z Wiednia zaś i Pragi — postępowcy w cylindrach. Zjawili się opaśli Żydzi węgierscy, którzy całowali przy powitaniu cadyka w rękę i studjowali talmud po węgiersku. Zjechali się Żydzi z Kongresówki, chasydzi o wielkich brodach, maleńkich czarnych czapeczkach, których galicjanie uważali za „litwaków“ i bezbożników. Całe tłumy zwolenników cadyka ciągnęły z Kongresówki, szwarcując się po nocach przez granicę. Przemykali się polami, lasami, przechodzili wbród rzeczki i stawy, na-

rażając wprost życie, by tylko święta Nowego Roku i Sądnego Dnia spędzić na dworze mieszawskim. Z Rosji przyjeżdżali pociągami w drugiej klasie ubrani po europejsku bogacze za zagranicznemi paszportami. Nigdy dotąd nie widziano tylu chasydów i zwolenników cadyka w Mieszawie, a wszyscy pragnęli zbliska przyjrzeć się jego zięciowi, który niedawno powrócił do domu.

W ciągu całego miesiąca pokuty przybysz nie pokazał się nikomu. Chasydzi wyczekiwali, odwracali głowy na każde skrzypnięcie drzwi, lecz on się nie zjawiał.

— Nawet na nocne przedświąteczne nabożeństwa nie przyszedł do bóżnicy — mówili Żydzi, nic nie rozumiejąc.

— Chyba wie, co robi — wtrącał tajemniczo Izrael-Awigdor.

O zmierzchu, w pierwszym dniu świąt Nowego Roku, zjawił się nagle. Czarnobrody, kościsty, o wielkich rozwartych, a niewidzących oczach, przemknął się nieoczekiwanie przez bóżnicę i ukrył się w kącie, by go nikt nie dostrzegł. Wszystkie jednak spojrzenia skierowały się na ten kąt właśnie. W ciągu całego nabożeństwa oglądano jedynie jego plecy, błyszczące od jedwabnej kapoty i zastygłe w bezruchu. Teraz już nikogo nie interesowały ciężkie, okrągłe plecy cadyka, które przez tyle lat były ośrodkiem ogólnej uwagi modlących się, lecz oglądano się na równe, kościste, silne i nieruchome barki przybysza. Synowie cadyka, mimo zawziętego kiwania się podczas modlitwy, spostrzegli to odrazu.

Po nabożeństwie przybysz usiłował wymknąć się z bóżnicy w ten sam sposób, w jaki się tutaj dostał, lecz zebrani chasydzi zagrodzili mu drogę.

Do tego kościstego, smagłego człowieka, stojącego w kącie bóżnicy, tłum garnął się bardziej, niż do cadyka. Zewsząd przepychano się i wyciągano ku niemu ręce, winszując mu szczęśliwego Nowego Roku. Przybysz usiłował przedrzeć się przez tłum, lecz nie dopuszczono do tego. Tysiące rąk wyciągało się ku niemu. Synowie cadyka pobledli. Stało się to, czego się tak bardzo obawiali. W owem tłoczeniu się chasydów, wyciąganiu rąk, w owych spojrzeniach, wyczuwało się głęboki respekt, którym dotąd darzyli jedynie cadyka. Lecz naraz stało się coś niezwykłego.

Poprzez gwar powinszowań i życzeń, rozległ się nagle czyjś obcy, donośny, szorstki i tchnący codziennością krzyk i gniewnie rozdarł podniosły nastrój bóżnicy.

— Gwałtu, Żydzi, bójcie się Boga!...

Z początku przypuszczano, że to ktoś został przygnieciony lub że komuś niedobrze się zrobiło, jak to się często zdarza w bóżnicznym tłoku podczas przepychania się przez tłum do cadyka.

— Wody! — krzyczano — wody!

Lecz głos nie ustawał.

— Żydzi, to bluźnierstwo! co wy robicie?

Tłum skamieniał w bezruchu.

Pośrodku bóżnicy stał wysoki chudy Żyd, o szerokiej, siwej, szorstkiej brodzie i szkarłatnym nosie. Gwałtownie wymachiwał obydwiema wychudłemi rękami i nie przestawał krzyczeć. Znano tu tego jegomościa. Był to reb Szachne, podrabin z Białogóry, którego często widywano w Mieszawie, dokąd przybywał z pretensjami do cadyka. Po śmierci reb Majerla, białogórskiego rabina, reb Szachne pragnął otrzymać po nim urząd rabina, swoje zaś stanowisko podrabina

chciał dać w posagu któremuś z kandydatów rabinackich, który dzięki temu zgodziłby się ożenić z jego podstarzałą córką. Lecz zwolennicy mieszawskiego cadyka w Białogórze nie chcieli dopuścić przeciwnika ruchu chasydzkiego, obgadującego cadyków i wiernych, do objęcia urzędu rabina. Reb Szachne nie dawał za wygrane. Zawzięty i uparty, dochodzący sprawiedliwości za wszelką cenę, prowadził z nimi zażartą walkę i często wyjeżdżał do Mieszawy, by wyjednać u cadyka zgodę na objęcie urzędu. Mieszawski cadyk jednak stale go ignorował, Izrael-Awigdor zaś nawet go do rebego nie wpuszczał. Reb Szachne jednak nie ustępował. Na Nowy Rok również zjawił się we dworze. Tu w Mieszawie chciał przyłapać owego osobnika, będącego kandydatem na stanowisko, które sam dla siebie upatrzył, i właśnie teraz podczas tych groźnych dla Żydów dni wezwać go na sąd rabinacki. Wysoki, kościsty i zaperzony, stał teraz pośrodku bóżnicy i krzyczał aż do ochrypnięcia.

— Żydzi, to wstyd! Ja nie dopuszczę do tego!

Chasydzi obstąpili go ze wszystkich stron i chwycili za ręce. Wyrwał się jednak. Odtrącając zamaszyście wszystkich na bok, torował sobie drogę w tłoku. Szybko podbiegł do zięcia cadyka i podniósł nań obydwie ręce.

— Josie! — krzyczał — biada mi, Josie-Cielak!..

Wszyscy obecni osłupieli.

— Zabrać go stąd; zwarjował chyba, wyrzucić go, tego szaleńca!

Setki rąk podniosły się na podrabina, lecz z miejsca niepodobna go było ruszyć. Ten wychudły starzec okazał się nadzwyczaj silny.

— Żydzi! — wrzeszczał — oszukano was! Wiedzcie, że ten człowiek nie jest zięciem cadyka! To jest Josie z Białogóry, Josie-Cielak, — grzesznik!

Obecni pozatykali sobie uszy.

— Zatknijcie mu usta — krzyczano — zwiążcie go!

Lecz w jednej chwili wszyscy synowie cadyka, jakby wyrośli z pod ziemi, stanęli murem przed podrabinem z Białogóry.

— Żydzi, nie ważcie się tknąć duchownej osoby. Pozwólcie mu przyjść do słowa, przecież to Nowy Rok!

W okmagnieniu reb Szachne stanął na kazalnicy i walił pięścią w stół:

— Żydzi! — wołał — jestem przy zdrowych zmysłach! Przysięgam na święty dzień Nowego Roku, że ten oto człowiek, który stoi przed wami, nazywa się Josie, o przydomku Cielak, i pochodzi z miasta Białogóry. Uwiódł tam, — chroń nas od tego, Boże — żydowską dziewczynę, córkę szamesa gminy, reb Kunego. Wywołało to — strzeż Boże każde żydowskie miasto — zarazę w Białogórze. Białogórski sąd rabinacki zmusił go do poślubienia owej dziewczyny, ale on w noc poślubną porzucił ją i pozostawił samotną córkę żydowską. Żydzi! mogę przysiąc na święte rodały i sprowadzić całe miasto świadków!

Z tym samym impetem, z jakim wpadł na kazalnicę, podbiegł do obcego i podniósł na niego obie pięści.

— Zaprzecz, że nie jesteś Josie - Cielak — wrzeszczał — zaprzecz!

Obcy nic nie odpowiedział. Szeroko rozwarte oczy, które zdawały się nic wokoło nie dostrzegać, zatrzymały się przez chwilę na krzyczącym człowieku, poczem przybysz ruszył ku wyjściu. Oddalał się szybkim, rów-

nym, stanowczym krokiem podobnie, jak wchodził do bóżnicy.

Wszyscy stali przerażeni, bez ruchu. Przygnębienie ogarnęło naraz zebranych. Przez całą tę wielką, odświętnie oświetloną bóżnicę powiał nagle smutek i ogarnął wszystkie postacie.

— Żydzi, chodźmy do cadyka — rozległy się zewsząd głosy — do cadyka!

Tłum zwartą masą ruszył ku drzwiom rebego.

Rozdział XXIII.

Jak rozżarzony kamień, rzucony do beczki z wodą, tak padły gorączkowe słowa podrabina reb Szachnego na dwór w Mieszawie.

Cadyk reb Mejłech nie pozwolił rzucić nawet cienia podejrzenia na swego zięcia.

— Już ja mu dam nauczkę, temu białogórskiemu podrabinowi za to oszczerstwo na moje dziecko — oburzał się cadyk — rozkażę moim chasydom w Białogórze, by go kijami przepędzili z miasta.

W starym, zgrzybiałym cadyku obudziła się nagle chęć życia i walki, jak za dawnych dobrych czasów. Izrael-Awigdor rozniósł natychmiast słowa cadyka wśród wiernych.

Przeciwko rebemu stanęli wszyscy jego synowie. Zapomnieli o własnych sporach i zatargach, trzymali się kupy, odbywali wspólne narady podczas całych świąt i zaraz w noc po drugim dniu Nowego Roku posłali

swego zaufanego człowieka z podrabinem reb Szachnem do Białogóry.

Pośpiesznie zebrali wśród swoich odpowiednie fundusze i mimo targów wzajemnych, wydostali jednak sporo guldenów, które wręczyli swemu zausznikowi.

Fawisz-Majer, wodzirej dworski, intrygant i zawięty wróg Izrael-Awigdora, który nie dopuszczał go do koryta, zaszył pieniądze w zliniałe futerko. Zabrał je na drogę, choć było jeszcze ciepło i już na bryczce, jadąc do kolei, począł odmawiać podróżną modlitwę, długą litanję, prosząc Boga, by go uchronił od złych ludzi, rozbójników i drapieżnych bestyj. Przez całą drogę podrabin reb Szachne nie przestawał ucierać głośno chustką czerwonego nosa i złościć się.

— Gdybym nawet musiał pójść z torbami, nie ustąpię i będę wszędzie głosił, że to jest Josie-Cielak! Jest jeszcze sprawiedliwość na świecie!

Zaraz po przybyciu do Białogóry, zaledwie ukazał się koniuszek jego czerwonego nosa, rozniecił w mieście istny pożar. Wprost z fury, nie zaglądając nawet do domu, śpiesznie pobiegł do miejskiej bóżnicy i począł wrzeszczeć z kazalnicy.

— Żydzi, piekło zapanowało w mieszawskim dworze! Josie-Cielak żyje z córką cadyka z Mieszawy!

Natychmiast zwolennicy mieszawskiego rebego, poszli na udry ze swemi odwiecznymi wrogami, chasydami cadyka z Gorlic.

Mieszawski wysłaniec wcale nie musiał ciągnąć za łeb szamesa reb Kunego i jego córki do Mieszawy, jak mu to polecili synowie cadyka. Sami przyszli prosić

się, by ich zabrał z sobą. Nie musiał rozpruwać swego wyliniałego futerka, by ofiarować im na podróż, szames chciał jechać za własne pieniędze, a nawet i córkę zabrać na koszt własny. Naglił i szkoda mu było każdej chwili.

Podobnie naglił podrabin, reb Szachne. Zapomniał o stolcu rabinackim, o który się ubiegał, o podstarzałej swej córce, którą chciał wydać zamąż, nie chciał odpocząć i spełniać swych urzędowych funkcyj, lecz rwał się do Mieszawy. Na żadne perswazje mieszkańców Białogóry, że nie można pozostawiać miasta bez rabina, bez jego pasterskiej opieki, reb Szachne nie zwracał uwagi.

— Istnieje jeszcze prawo święte w Izraelu, nawet dla cadyków — krzyczał — nie dopuszczę, na cały świat rozgłoszę, że w Mieszawie córka cadyka żyje z cudzym mężem!

Chasydzi opuszczali swe kramy i targi i rwali się do Mieszawy. Przedewszystkiem jechali wierni mieszawskiego cadyka, którzy odrazu zmiarkowali, że to musi być oszczerstwo, zemsta podrabina, niedopuszczonego do piastowania rabinackiego urzędu.

Zgóry już wyobrażali sobie klęskę jego i wszystkich wrogów mieszawskiego dworu. Pewni byli, że przepędzą go, tego łajdaka, pałkami z Białogóry. Lecz i tego było im mało. Nie mogli tak długo czekać. Zawczasu chcieli już być świadkami jego zguby. Właśnie, że tam, w tej mieszawskiej bóżnicy, sprawią mu przyzwoite lanie, temu nicponiowi. Bez namysłu porzucili wszystkie swoje interesy i udali się do Galicji.

Jechali również zwolennicy innych cadyków, a zwła-

szcza cadyka z Gorlic. I oni pałali żądzą zemsty nad swemi wrogami, zwolennikami cadyka mieszawskiego.

Rzeźnik Abisz również nie mógł usiedzieć w swej jatce. Gdy się tylko dowiedział o całej hecy z Josiem, odrazu poczęły go świerzbić ręce. Zapomniał odrazu o jatce, o klocach, nożach i dziewkach i zacierał dłonie.

— Toć to nie cielak, to buhaj, jakem Żyd!

Tego samego dnia, w dzień postu, w rocznicę śmierci świątobliwego Gedalji, przemytnik reb Zanwel, ten sam, który przechowywał szmugiel na cmentarzu u szamesa Kune, odstawił wszystkich do granicy. Nie można było doczekać się chwili otrzymania „półpasków“ od policji na przejście granicy. Wszystkim ziemia paliła się pod nogami. Reb Zanwel pogadał z wachmistrzem straży granicznej i ugodził się na rubla od głowy. Umówione było, że wachmistrz będzie stał na warcie. Wachmistrz targował się i zażądał prócz tego beczułki austrjackiego „Glühwein'u“ dla swoich żołnierzy, a dla siebie — srebrnego rubla na dziewczynę.

— Bez dziewczyny — motywował — wszystko usłyszę, jej Bogu!...

Reb Zanwel utargował pół rubla srebrem z honorarjum dla dziewczyny i wachmistrz przyłożył rękę na zgodę.

Zebrani przeleżeli w ciemnościach chłopskiej stodoły kilka godzin i szeptem kłócili się ze sobą.

— Mieszawskie bydlaki! — szydzili chasydzi gorlickiego cadyka — wasz rebe dał się nabrać takiemu cielakowi!...

— Gorlickie łajdaki! — odcinali się z pod siana zaczepiani — poczekajcie, przyjedziemy tylko do Mieszawy, to wam pokażemy!

Abisz pociemku czepiał się Cywji, która rżała jak klacź.

— Chi, chi, Abiszku, chi, chi...

Pograniczni chłopi, zaufani reb Zanwela, klęli i spluwali:

— Cicho tam, psie wiary. Jeszcze patrol usłyszy!...

O północy reb Zanwel przeprowadził wszystkich przez rzeczkę wbród. Wachmistrz nie usłyszał plusku wody, jak to było umówione.

— Galicja — oświadczył reb Zanwel, gdy wszyscy byli już po tamtej stronie rzeczki. — Zrzućcie buty i osuszcie sobie nogi.

Lecz Żydzi nawet go słuchać nie chcieli. Natychmiast puścili się w stronę niewielkiej austrjackiej stacyjki, która widniała w świetle małej naftowej latarni.

Wszyscy wtłoczyli się do jednego wagonu wąskotorowej kolejki austrjackiej i przez całą noc nie przestawali kłócić się głośno aż do samej Mieszawy.

*

*　　*

W ciągu całego dnia Żydzi Białogórscy kręcili się po mieszawskim dworze, nie mogąc dostać się do cadyka.

Izrael-Awigdor nie liczył na nic dobrego od tych białogórskich gości i nie śpieszył się wprowadzać ich do rebego.

— Nie można teraz! — odpowiadał gniewnie — później, jutro!...

Białogórscy zwolennicy cadyka z Mieszawy, którzy tak rwali się, by jaknajprędzej dostać się na dwór rebego, spuścili teraz nosy na kwintę. Ze dworu powiało smętkiem i rezygnacją. Natomiast białogórscy zwo-

lennicy cadyka z Gorlic, zadarli nosy do góry. Odrazu znaleźli w Mieszawie grono współwiernych i urządzili wspólną bibkę.

— Na zdrowie — winszowali sobie z animuszem — obyśmy doczekali dobrych nowin!

Szamesowi Kunemu i jego córce Cywji również na niczem nie zbywało. Fajbisz-Majer przysyłał im z dworskiej kuchni wszystkiego poddostatkiem: gęsie udka i kurze żołądki. Ojciec i córka siedzieli przy studni i gorliwie pałaszowali smakowite kąski, rzucając ogryzki zbłąkanym tu kurom, które odwiedzały dwór, by się pożywić z rabinowej kuchni.

— Tato, dobrze... jedzenie... — sepleniła Cywja, mając usta wypchane mięsem.

— Jedz, jedz — dodawał jej Kune apetytu — wcinaj!

Abisza odrazu pociągnęło do kuchni, do służących. Wobec tych tęgich dziewcząt z punktu zabłysnął wielką rzeźnicką mądrością, umiejętnością skrobania nóżek cielęcych i czyszczenia flaków. Toteż z miejsca pozyskał ich względy. Podsuwały mu co najsporsze i najsmaczniejsze kąski.

Tylko reb Szachne kręcił się zły i zgryźliwy; nie jadł, nie pił, zjadał się poprostu żywcem, że go nie dopuszczają do cadyka.

— Niema jeszcze samowoli na świecie! — mruczał z pod swej rzadkiej, kapcańskiej brody — nie!

Pod wieczór wtrącili się w sprawę synowie cadyka.

— Izrael-Awigdor! — unosili się — to niesłychane, by obcy ludzie musieli obijać progi nadarmo! — Srul Wigdor! już zobaczymy, kto tu w Mieszawie rządzi!

Izrael-Awigdor spojrzał spodełba swemi przymrużonemi oczami na synalków cadyka. Przez chwilę krew

nabiegała mu do głowy. Wszystkie jego siworude włosy na rękach, nosie i uszach stanęły dęba, gotowe do walki. Chciał im odpalić, że dopóki rebe żyje — do stu dwudziestu lat — to on, gabe, jest panem u drzwi cadyka, czy się to komu podoba, czy nie. Słowa te już miał na końcu języka. Lecz w odezwaniu się przyszłych spadkobierców rebego, wyczuł nowy jakiś ton, jakąś dziwną pewność siebie. Ruszył im się język w gębie — pomyślał. Odrazu wywąchał, że zanosi się na coś we dworze, że ten białogórski podrabin, ta gnida, nawarzył tu piwa, wstrętnego piwa; że w każdym razie nie czas teraz na spory z dziećmi cadyka. Wiele tem wskórać nie można. Zaciął więc usta i odburknął:

— Abo to ja nie dopuszczam do rebego? Wypełniam tylko to, co mi cadyk zapowiedział...

I zaraz potem zwołał wszystkich białogórskich Żydów i kazał im czekać przed drzwiami pokoju rebego.

Wpuszczał każdego z osobna.

Pośrodku, przy stole siedział cadyk reb Mejłech. Był chmurny, lecz ożywiony, jak za dawnych dobrych czasów. Po bokach siedziało trzech rabinów; przedewszystkiem jego zastępca, zwany „mamką", oraz dwóch obcych rabinów, przybyłych w gościnę na święta. Na uboczu, zagłębiony w księdze, siedział zięć cadyka. Na pierwszy ogień poszedł podrabin reb Szachne.

Cadyk nawet nie poprosił go, by usiadł. Zmierzył go od stóp do głów, wybałuszył gały, jakby chciał je wysadzić z orbit, i rzekł nagle ze złością:

— Powiedz-no, ty, podrabinie, rzuciłeś oszczerstwo na mego zięcia, reb Nachuma, który tu siedzi przed nami. — Powiedziałeś, że nie jest, uchowaj Boże, Nachumem, mężem mej córki, i potomkiem cadyków, lecz

jakimś tam Josie, o przezwisku Cielak, mężem jakiejś opuszczonej żony z miasta Białogóry w Kongresówce? Stoisz przed sądem trzech rabinów, czy możesz z czystem sumieniem powtórzyć to, coś miał czelność oświadczyć publicznie w dzień Nowego Roku, wobec tysiąca Żydów?...

— Tak! — odrzekł stanowczo reb Szachne.

Rebe wychylił się aż do połowy ze swego fotelu.

— Nie rzucaj słów na wiatr, przyjrzyj się dobrze reb Nachumowi, który tu siedzi przed nami i powiedz mu to prosto w oczy!

Reb Szachne wielkiemi krokami przystąpił do smagłego mężczyzny, który siedział nad księgą, rzucił na niego gniewne spojrzenie i przemówił z taką złością, jak wtedy, gdy zwracał się do Josie-Cielaka na sądzie u rabina w Białogórze.

— Oświadczam w zgodzie z własnem sumieniem przed sądem trzech — mówił, podsuwając kanciasty palec obcemu pod oczy — że ten oto, siedzący tu człowiek jest Josie, przezwany Cielak, z miasta Białogóry, pomocnik szamesa z bóżnicy, którego ożeniła gmina z córką szamesa Kune, a którą on porzucił zaraz w noc poślubną.

Wszyscy trzej rabini pobledli.

— Biada! — podniósł się czyjś cichy głos.

Jedynie obcy siedział, jak przedtem, spokojny i zrównoważony. Nic nie drgnęło w jego kościstej postaci, nie mrugnęły jego szerokorozwarte, czarne oczy.

W ślad za podrabinem Izrael-Awigdor wpuszczał pozostałych świadków. Naprzód weszli zwolennicy gorlickiego cadyka; przystępowali po kolei do stołu, przyglądali się przez chwilę obcemu i wołali:

— Josie! Josie-Cielak!

Rabini zerknęli na siebie, a w oczach ich błysła obawa. Jedynie obcy zachowywał spokój. Po gorlickich świadkach stawili się zwolennicy mieszawskiego rebego. Śladu nie pozostało z ich pewności siebie, którą mieli w Białogórze. Zmaleli nagle, skurczyli się i zamilkli. Na wszystkie pytania rebego odpowiadali milczeniem, nie mogli wykrztusić słowa.

— Biada nam! — drżeli tylko, patrząc na czarnobrodego przybysza.

Niektórzy przesłonili sobie oczy rękami.

Rzeźnika Abisza ogarnęła tak szalona radość na widok człowieka, któremu kazano mu się przyjrzeć, że zapomniał nawet, gdzie się znajduje, i wrzasnął jakgdyby był na rynku w Białogórze:

— Toć to nie cielak, to buhaj, jakem Żyd!

Klepnął go przytem ręką po kolanie.

— Josie — Cielak, psia twoja mać!...

Obecni aż jęknęli naraz.

Izrael-Awigdor chwycił wysokiego, silnego rzeźnika za kołnierz i z niespodziewaną siłą wyrzucił go za drzwi. Jedynie przybysz zachował spokój nadal.

Izrael-Awigdor wprowadził teraz Cywję, córkę szamesa Kune. Ojciec jej chciał wejść razem z córką, lecz gabe nie wpuścił go. Cadyk podniósł się z fotela chcąc przyjrzeć się tej półniemej kobiecie. Nigdy jeszcze nie patrzał z taką złością na kobietę, jak na tę otyłą Cywję, o głupkowatej, uśmiechniętej twarzy.

— Ty, powiedz-no — zagrzmiał odrazu — stoisz przed rabinami, nie lekceważ sobie tego! Masz mówić czystą prawdę, bo inaczej będą cię smagać rózgami

na tamtym świecie! Przystąp bliżej, przypatrz się temu człowiekowi i powiedz, kto to jest!

Cywja podeszła do przybysza i odrazu poczęła chichotać.

— Chi, chi — śmiała się i bełkotała jednocześnie — ty, cielak..!. ty opuścić... Cywja... chi, chi...

Cadyk zbliżył się do chichoczącej kobiety.

— Słuchajno — krzyknął — jakie możesz dać dowody, że to twój mąż?

Cywja nie odpowiadała.

— Ty... mąż... Cywja — wołała na przybysza — ty, Josie... chodź pojechać... Białogóra, chi, chi...

Przypadła do niego i chwyciła go za rękę. I znów wszyscy trzej rabini zadrżeli. Tylko przybysz nie ruszył się nawet, jakgdyby tu nie o niego chodziło. Izrael-Awigdor odciągnął za rękę kobietę.

— Respektu — strofował — odsuń się, bydlę, słyszysz?

Cadyk usiadł z powrotem w fotelu i w miejsce dotychczasowego oburzenia jego starczą owłosioną twarz rozciągnął teraz szyderczy uśmiech.

— Białogórski podrabinie — zawołał — czy ów Josie Cielak z Białogóry był człowiekiem wiedzy, czy też nieukiem?

— Był to Żyd, który umiał odmawiać tylko psalmy — odpowiedział podrabin.

Cały kępkowaty, mszysty zarost cadyka trząsł się ze śmiechu.

— Oświadczam przed sądem — odezwał się — że reb Nachum, mój zięć, jest wielkim uczonym i kabalistą.

Rabini zastygli w bezruchu.

Rebe wsunął się głębiej w fotel.

— Izrael-Awigdor — zawołał — zeznaj przed sądem wszystko, coś widział i słyszał po powrocie reb Nachuma na dwór!

Izrael-Awigdor stanął przed rabinami i oświadczył uroczyście.

— W tych groźnych chwilach pokuty, przed Sądnym Dniem, wobec trybunału mego cadyka i wszystkich tu obecnych Żydów, zeznaję bez wykrętów i osłonek, wszystko co wiem, nie ukrywając niczego.

Głośno i wyraźnie, każde słowo zosobna, opowiedział przed sądem wszystko: historję z księgą o zagiętej stronicy, jak poszedł z przybyszem do mykwy i sprawdził jego znamiona na ciele. Żadnego szczegółu nie opuścił, o żadnej drobnostce nie zapomniał. Cadyk promieniał z radości. Za każdym nowym dowodem usta jego rozciągały się coraz bardziej w uśmiechu pod zarostem. Rabini siedzieli z otwartemi ustami, zdziwieni i przestraszeni. Jedynie przybysz nie zdradzał śladu niepokoju.

Wreszcie cadyk kazał sprowadzić córkę swą Serełe.

— Izrael-Awigdor — zawołał głośno — sprowadź tu małżonkę reb Nachuma.

Nie nazwał jej teraz po imieniu, lecz „małżonką reb Nachuma“, by dodać więcej powagi. Spojrzenia wszystkich obecnych skrzyżowały się na te słowa. Milczenie zaległo pokój. Było tak cicho, że nikt nie słyszał oddechu obecnych. Jedynie dwie parzące się muchy brzęczały na suchej szybie.

Serełe weszła blada, lecz pewna siebie, gotowa do walki ze wszystkimi, chcącymi odebrać jej milczącego męża, którego wyczekiwała całych piętnaście lat. Rów-

nym krokiem podeszła do stołu i odsunęła się o krok wtył, by nie stać zbyt blisko mężczyzn.

Cadyk kazał jej zbliżyć się jednak do stołu.

— Córko — odezwał się z niezwykłą czułością, z jaką nigdy dotąd nie zwracał się jeszcze do niej — ta oto kobieta, co stoi w kącie, córka grabarza i szamesa z Białogóry w Kongresówce, twierdzi, że reb Nachum twój mąż, nie jest Nachumem, lecz jakimś tam Josie Cielakiem, który wziął z nią ślub podczas epidemji w mieście i później porzucił ją samotną. Wyznaj przed sądem wszystko, co wiesz o twym mężu, reb Nachumie, nie tając niczego.

Serełe zwróciła się twarzą ku miejscu, gdzie stała córka szamesa. Zanim jednak uczyni zeznania przed rabinami, zanim powie wszystko, co wie o mężu, zanim wskaże każdy znak, poda wszystkie dowody, chciała naprzód ujrzeć tę, która pragnęła jej krzywdy, która rzucała w nią potwarz, chcąc ją ograbić, zabrać jej tego, co siedzi tu milczący, obcy, a jednak tak bliski. Odsłoniła nawet trochę czoła z pod czarno-jedwabnej chustki, włożonej po raz pierwszy po powrocie męża, by lepiej przyjrzeć się tej, którą wskazywał jej ojciec.

Usta jej skrzywiły się w grymasie szyderstwa, a jednocześnie i obrazy. Z jednej strony przeważało w niej uczucie swej wyższości, jako kobiety — aż nazbyt tępo i ordynarnie wyglądała ta obca kobieta w porównaniu z nią, białoskórą, wypielęgnowaną, rabinową córką — jej poprzedni niepokój znikł. Z drugiej zaś strony uczuła się poniżoną, zawstydzoną na widok tej, przeciw której ona, Serełe, córka cadyka, zmuszona jest walczyć o własnego męża.

Trwało to tylko przez chwilkę. Nie więcej, jak chwilkę. Poczuła nagle na sobie dwoje złych kobiecych oczu, tępych, zielonych, jak źrenice kocicy, której chcą odebrać kocięta. Spojrzenia te przenikały ją aż do trzewi. Szybko spuściła oczy i odwróciła się w stronę sądu. Lecz w tej chwili Cywja zerwała się z miejsca.

Z błyskawiczną szybkością, z gorączkowym impetem krowy, która zrywa się nagle z otępienia i pędzi naoślep, tratując wszystko, co napotka po drodze, z nieokiełznaną porywczością, której nic nie zdoła powstrzymać, która wszystko przewraca, ziejąc wokoło gorącym oddechem, żądzą i pragnieniem walki, przeleciała wielki pokój, rzuciła się na słabą, bezbronną i wylęknioną rabinową córkę i ostremi pazurami wpiła się w miękki jedwab i pulchne ciało rywalki.

— Mój...! mąż... Josie — ryczała, łyskając niesamowicie zielonemi oczami i ciężko oddychając wzdętemi nozdrzami. — Nie twój Josie... mój...

Pierwszy pośpieszył z pomocą Serełe Izrael-Awigdor. Z zadziwiającą zręcznością, krewki i silny, jak młodzieniec, pochwycił rozjuszoną Cywję i odciągnął od jej ofiary. Z dawnych jeszcze czasów, gdy ojciec jego był wiejskim szynkarzem, on zaś, Izrael-Awigdor, pomagał mu wyrzucać baby i chłopów pijanych za drzwi, pamiętał, że na rozjuszoną babę najlepszy sposób — to chwycić ją silnie za piersi. Miało to zawsze taki skutek, jak uchwycenie byka za pierścień w nozdrzach. Mocno jakby obcęgami ścisnął pierś Cywji tak boleśnie, że aż zaskomliła z bólu.

— Ty ladacznico! — krzyczał — odczuwając zresztą wielką rozkosz przy ściskaniu jej piersi — ty suko!

We drzwiach dał jej takiego kopniaka w pośladek, że padła twarzą na ziemię, wprost w dworskie błoto.

Cadyk reb Mejłech zerwał się z miejsca, gniewny i oburzony, i huknął w stół na wszystkich obecnych:

— Precz z mego domu!

Wszyscy opuścili pokój, wystraszeni. Rebe krzyczał wślad za nimi.

— Wyklnę każdego, kto odważy się choć jeszcze jednem słówkiem znieważyć mego zięcia, reb Nachuma.

Pierzchła cała zgrzybiałość z postawy i oburzonego głosu cadyka.

Pod drzwiami leżała Cywja z twarzą przylgniętą do ziemi i szlochała. Wszystkie starania ojca, by ją uspokoić, spełzły na niczem.

Jej płacz przypominał skowyt bezpańskiego psa wśród nocy.

Rozdział XXIV.

Podrabin białogórski reb Szachne wypowiedział wojnę dworowi mieszawskiemu. Natychmiast po wyrzuceniu go przez cadyka wraz ze wszystkimi jego świadkami za drzwi, opuścił Mieszawę w towarzystwie gorlickich chasydów, szamesa Kunego, jego córki i rzeźnika Abisza. Lecz do Białogóry nie wracał; jeździł od miasta do miasta, od rabina do rabina, szukając wszędzie sprawiedliwości.

— Żydzi! — podburzał, gdziekolwiek przyjeżdżał — piekło panuje w mieszawskim dworze!

Żona jego, podrabinowa, wysyłała z domu list za listem, błagając go, by wracał. Córka zaś, zasiedziała

stara panna, zasypywała go liścikami, skrapiając je obficie łzami, do których skore były jej aż nazbyt płaczliwe oczy. Teraz właśnie, jakby na złość, swaci obijali progi jego domu, nastręczając wdowców, rozwiedzionych, a nawet i kawalerów, pretendujących do objęcia po nim jego stanowiska. Lecz wobec nieobecności ojca, nie chciano pertraktować z kobietami, toteż córka błagała go, zaklinając na wszystko, co święte, by zlitował się nad jej nieszczęśliwym losem i wrócił do domu. Reb Szachne był niewzruszony. Nawet gmina białogórska wzywała go zpowrotem do miasta. Wszyscy nieprzyjaciele mieszawskiego dworu zapomnieli naraz o jego wrogim stosunku do cadyka i jęli popierać jego starania o otrzymanie stanowiska rabina w Białogórze. Wzywali go, błagając, by wrócił, gdyż nie mają u kogo zasięgać porad w kwestjach rytualnych i, jeśli nie wróci na czas, będą zmuszeni wezwać na jego miejsce kogo innego, by ludność żydowska nie została, broń Boże, na łasce losu, jak stado bez pasterza. Reb Szachne nawet im nie odpisał.

— Gdybym nawet miał pójść z torbami — mówił — muszę dowieść, że córka cadyka mieszawskiego, opuszczona mężatka, żyje z obcym mężczyzną, zwanym Josie Cielakiem! Niema samowoli na świecie!

Ułożył długi akt oskarżenia na wielkim arkuszu papieru. Manuskrypt był pełen malutkich, kanciastych wyrazów, ostrych i zgryźliwych, jak sam ich autor. Pismo, naszpikowane cytatami, przepisami i opinjami wielu rabinów i mędrców, oskarżało wobec Żydów całego świata, wszędzie, gdziekolwiekby się tacy znaleźli, cadyka z Mieszawy i jego córkę Serełe. Z owym aktem oskarżenia, który polecił introligatorowi podkleić płót-

nem, by się nie darł, jeździł od miasta do miasta, od jednego rabinackiego autorytetu do drugiego i zbierał podpisy. Żądał, by cadyk mieszawski wykorzenił panoszący się na jego dworze grzech, oraz stawił się na wielki sąd rabinacki, złożony z wielu mędrców i uczonych, wraz ze swą opuszczoną córką Serełe i jej domniemanym mężem.

Zwolennicy cadyka mieszawskiego prześladowali go wszędzie, gdziekolwiek przebywał, w bóżnicach ciskano mu „tałesy“ w głowę, przezywano go brzydko na ulicach, denuncjowano przed policją. Żona nie chciała mu przysłać z domu jego starego, wytartego kożucha, więc drżał z zimna w swym starym, rozsypującym się atłasowym chałacie. Nadomiar złego, nie miał bielizny ze sobą i był bez grosza w kieszeni. Lecz to wszystko nie mogło przełamać jego uporu. Wałęsał się od miasta do miasta. Po drodze upraszał furmanów, by mu pozwolili przysiąść na beczce nafty na wozie lub na worku stężałej soli. Drogę odbywał przeważnie pieszo, nocował w bóżnicach, głodował i prowadził wojnę przeciwko Mieszawie, przeciwko temu wielkiemu, potężnemu i możnemu dworowi cadyka.

Zbity wewnętrznie, zły i zziębnięty, z czerwonym, jak turecki pieprz, nosem, podburzał żydowskie osiedla i miasta, rozniecając wszędzie płomień oburzenia, rozterki i niepokoju.

W tej wędrówce towarzyszyli mu stale reb Kune i jego córka. Podobnie, jak reb Szachne, który porzucił swój urząd podrabina w Białogórze, tak szames reb Kune pozostawił na łasce losu bóżnicę, cmentarz, puszkę ofiar, świece, schowane pod kazalnicą, i owe modły nad grobami po osiemnaście groszy za nieboszczyka.

— Rebe — przedstawiał się każdemu rabinowi zosobna — ja jestem ów szames Kune z Białogóry, a to jest moja jedynaczka, porzucona przez Josie Cielaka żona, ta sama, której córka mieszawskiego cadyka odbiła męża.

Cywja, rozpromieniona, chętnie pozwalała się oglądać i chichotała poraz setny:

— Mój... Josie... nie córki cadyka... Cielak..., chi, chi...

Z tych wszystkich rocznic po nieboszczykach i modlitw po zmarłych, z tych świec, które przechował i posprzedawał, z tych puszek z ofiarami na Ziemię Świętą, z których kawałkiem drutu wykradał monety, z łapówek zarobków, szames Kune uzbierał sobie ładną sumkę.

W watowanym spencerku, który stale nosił, zarówno latem jak zimą, miał zaszyty grubszy grosz. Toteż na podróż był należycie wyekwipowany. Kupił sobie barani kożuch, puszysty i ciepły, którego woń zalatywała już zdaleka. Kazał sobie futrem podbić buty i podkuć obcasy, by się nie wycierały. Ze słomy, której używał dla nieboszczyków, uplótł dla siebie i Cywji rodzaj słomianych kaloszy. Na głowie nosił wysoką czapę z zielonkawego pluszu, nasuniętą aż na zwiotczałe uszy. W drodze wywracał ją podszewką do góry, by się nie niszczyła na śniegu i słocie. Cywja była również dobrze odziana i obuta. Kupił jej koszyk, w którym mogło się zmieścić wszelkie jadło: chleb, czosnek, ser, cebule i sól.

Z całem swem ogromnem doświadczeniem szamesa, szykował się w drogę, w tą długą i celową podróż.

Na chwilę nawet nie wątpił, że sprowadzi tego Josie Cielaka do swej córki zpowrotem. Wiedział, że zawziętością dopnie swego. Jak wówczas w białogórskiej bóżnicy, kiedy go zobaczył po raz pierwszy i zabrał do domu z zamiarem wydania za niego córki swej, Cywji, i przeprowadził swoje powoli i oględnie, podobnie i teraz pewien był, że osiągnie cel, że zabierze go z mieszawskiego dworu i sprowadzi do siebie na cmentarz. Należy tylko postępować powolutku, nie śpiesząc się i nie gorączkując, tak jak to czyni ten szalony podrabin reb Szachne. Dosyć jest wolnego czasu, dzięki Bogu, na tym świecie.

Szames, reb Kune, umiał sobie radzić. Nigdy nie układał się zgóry na rynku o miejsce na bryce dla siebie i swej córki. Zna ich dobrze, tych furmanów. Wie, jacy to zdzieracze. Brał kij w rękę, zabierał Cywję i ruszał pieszo gościńcem. Dopiero po drodze, gdy furmani przejeżdżali na swych wielkich, napchanych podróżnymi, wozach, zabierali ich woźnice ze sobą za grosze.

— Nno — zgadzał się Kune obojętnie — wszystko jedno, wracacie do domu, podwieziecie mnie i moją córkę, i dobrze zrobicie, pomagając biednemu Żydowi w drodze, a i groszy kilka wpadnie wam do kieszeni.

Zpoczątku siadał na samym brzeżku, na końcu deski, jakgdyby unikał zwrócenia na siebie uwagi, powoli jednak wciskał się coraz bardziej, w kupę podróżnych, usadawiał się wygodniej, rozpychając się tak, że po chwili któryś z pasażerów wylatywał z miejsca, a reb Kune szeroko się rozsiadał i zaczynał chrapać w najlepsze.

— Człowieku — budził go głośno, wypchnięty z miejsca pasażer — czegoście się rozparli, jak na uczcie wielkanocnej? Przecież to moje miejsce!

Lecz szames Kune był głuchy na wszelkie wołania. Chrapał dalej bardzo smacznie.

W ten sam mniej więcej sposób znajdywał sobie w każdem miasteczku gospodę na nocleg.

— Przecież nie wiele nam trzeba — mawiał żałosnym głosem — ławkę jakąś, kąt marny, aby tylko oprzeć głowę.

Nie zdążyła się jednak gospodyni obejrzeć, a już znajdował słomę i słał sobie legowisko. Później wyciągnął jakąś poduszkę, potem znów jakiś stary kożuch do przykrycia; własnego kożucha było mu żal. W końcu jednak zawsze znajdował się w jakiemś łóżku, nakryty pierzyną aż po głowę.

O pożywienie starał się sam. Włóczył się po targach, nabywał trochę ziemniaków, jakichś flaków lub wątróbki w jatkach za pół darmo i prosił gospodynie zajazdów, by pozwoliły jego córce Cywji ugotować na kuchni ten „łut“ mięsa. Za to pomagał narąbać trochę drzewa, wzdychając przytem pobożnie, i nie pozwalał gospodyniom dosypywać soli do jego mięsa.

— Sól, gosposiu, mam zawsze ze sobą — mówił słodko, wyjmując z brudnawego woreczka szczyptę soli — Żyd powinien zawsze zabierać trochę soli ze sobą w drogę!

Przeważnie odrazu zajeżdżał na cmentarz i lokował się u grabarzy. Swą łatwością zadomowiania się i fachową rozmową z grabarzami wzbudzał odrazu zaufanie tych ludzi, których nikt nigdy nie odwiedzał. Szcze-

gólnemi względami cieszył się u ich małżonek. Podejmowano go wraz z Cywją nadzwyczaj gościnnie.

W wielu miejscowościach Żydzi zapraszali ich do siebie na sobotę. Żydzi z ludu, którzy, mimo całego kultu dla swych cadyków, żywią jednak niechęć do tych wszystkich wybrańców w jedwabiu i aksamicie, wyczuwali krzywdę, wyrządzaną jednemu z ich grona, toteż chętnie zapraszali pokrzywdzonego i jego córkę i podejmowali ich suto i szczodrze.

Kune już po raz setny opowiadał całą historję o Josie Cielaku i mieszawskim dworze. Sprawiało to gospodarzom wiele przyjemności. Zapraszano do stołu nawet krewnych i znajomych, by również mogli słuchać i mieć satysfakcję. W toku opowiadania szames, reb Kune, spokojnie i gruntownie sprzątał całą struclę ze stołu, nalewał jeden kieliszek po drugim, zachęcał córkę do jedzenia, która i bez tego pałaszowała nie gorzej od ojca.

— Jedz, jedz, nie żałuj sobie — podsuwał jej ojciec kąski — nie wstydź się, jesteśmy u swoich!

A reb Szachne przesiadywał u rabinów i robił swoją robotę.

Sobotnie stoły były obficie zastawione, lecz reb Szachne prawie nic nie brał do ust. Zostawiał wszystko na talerzu, nie wiedział, co je i co mu podają, po dziesięć razy wtykał kawałek strucli w solniczkę, strząchał sól i znów wtykał, zjadał pietruszkę z rosołu, zapominając, że jej wcale nie lubi. Jedzenie było dla niego męczarnią. Tak samo nie znosił teraz modlitewnego nucenia przy stole. Jego głowę zaprzątała jedna tylko sprawa: Josie Cielaka i mieszawskiego dworu.

Wciąż odnowa powracał do tej samej rzeczy. Gorączkował się, gestykulował, chwytał się za brodę, wycierał głośno i przeciągle nos w chustkę i sypał cytatami z talmudu. W jego starej, wysuszonej głowie mieściły się całe bibljoteki. Jego oczy pałały i skrzyły się.

— Reb Szachne — prosili go rabini — zostawcie to na później! — w sobotę Żyd powinien odrzucić wszystkie troski. — Weźcie się lepiej do kawałka ryby.

Lecz reb Szachne nie słyszał nawet.

— Niema samowoli na świecie! — piorunował — istnieje jeszcze, Bogu dzięki, prawo w Izraelu!

Bogatsi Żydzi kpili sobie nawet z niego.

— Reb Szachne — żartowali — nawet rzeka Sambatjon, wyrzucająca przez cały tydzień kamienie w górę, odpoczywa w sobotę. — Tylko wy nie znacie spokoju.

Podrabin nie obrażał się nawet, nie słyszał bowiem, co mówiono do niego. Wszystko, co nie miało bezpośredniego związku z mieszawskim dworem, nie dochodziło wcale jego uszu. Nie odpoczywał, nie sypiał, nie jadał i tylko biegał od bóżnicy do bóżnicy, wygłaszając przemówienia przeciwko dworowi w Mieszawie. Podjudzał zwykłych śmiertelników, nie dawał spokoju rabinom i mędrcom, rozniecając ogień nienawiści, walił w kazalnicę, straszył piekłem, zarazą i zemstą nieba.

Wychudł jeszcze bardziej, wysechł jak szczapa. Oczy zapadły mu głębiej, broda bardziej osiwiała, stała się nędzniejsza i sztywniejsza; ochrypł, powieki miał czerwone z bezsenności, ręce bardziej jeszcze, niż dawniej, kościste, lecz wszystkiego tego nie czuł, nie widział. Przed oczami stał mu wciąż dwór mieszawski, straszny,

panoszący się na nim grzech, oraz ta sprawiedliwość, którą on, podrabin z Białogóry, znaleźć musi u Żydów przeciwko cadykowi z Mieszawy.

— Żydzi, piekło panuje w Mieszawie! — ostrzegał — Żydzi, prawo jest jednakowe zarówno dla szewca, jak i dla cadyka, Żydzi, pożar mieszawski szerzy się i może podpalić, broń Boże, całe żydostwo! Żydzi, ratujcie się, dopóki czas!

Rozdział XXV.

W ogniu waśni i buntu stanęły miasta i miasteczka żydowskie po obu stronach granicy.

Jak wicher, który przenosi płomienie z jednego dachu na drugi, przerzucał się z miejsca na miejsce reb Szachne, gniewny i pałający żądzą sprawiedliwości, burząc i podżegając umysły.

Przedewszystkiem zdobył sobie rabinów.

Zdawna już rabini z Galicji i Kongresówki żywili do cadyków urazę. Zbyt wiele i zbyt często wtrącali się cadycy w ich kompetencje, podjudzali swych wiernych przeciw rabinom, a stanowiska rabinów starali się wszędzie obsadzać przez swoich krewniaków i zauszników.

Galicyjskim cadykom nie wystarczała glorja cudotwórców; chcieli jeszcze zaszczytów rabinackich. Tylko niewielu z nich posiadało odpowiednie w tym kierunku kwalifikacje. Nie mieli jednak skrupułów. Funkcje te sprawował zazwyczaj uczony jakiś Żyd, kandydat na rabina, zwany „mamką“, którego cadyk zbywał kilku nędznemi guldenami, honory zaś i pobory

przywłaszczał sobie. Najwięcej kłopotów przysparzał rabinom cadyk z Mieszawy. We wszystkich niemal miasteczkach stanowiska rabinów obsadzone były przez jego ludzi, co wiele oburzało brać rabinacką. Oddawna już mieli porachunki z Mieszawą, i historja z Josie Cielakiem była im bardzo na rękę, nie pozwalała im usiedzieć na miękkich fotelach.

Po obydwu stronach granicy poczęły krążyć między rabinami listy — długie listy, pełne pytań i rad. Szafowano w nich hojnie wielmożami, tytułami, zajmującemi tuzin wierszy drobniutkiego rabinowego pisma. W pierwszym szeregu wystąpili wielcy rabini, autorzy licznych utworów.

Rabin — Mędrzec z Przemyśla, zwany „Rykiem Niedźwiedzia“ z racji dzieła, które wydał był pod tym tytułem, pierwszy wysłał naszpikowany pytaniami i sentencjami list do mędrca rabina z Lublina, zwanego „Ponętnym Baruchem“ z podobnych przyczyn.

„Kulo Ognista“ — pisał „Ryk Niedźwiedzia“ do „Ponętnego Barucha“. — „Potężny Młocie, który kruszy kamienie młyńskie. Góro Synaj, Synu Epoki, zesłany nam przez Boga na szczęście, Chlubo Świata, Największy z Wielkich, Książnico, wypełniona dziełami, Mistrzu nas wszystkich, Dziecię Djaspory, Mocarzu, kruszący skały i góry — i t. d. i t. d. i t. d. — niech Światło Jego jaśnieje po wsze czasy, Rabinie miasta Lublina, matki Izraela Gminy Świętej — obyśmy doczekali odrodzenia Sjonu — amen...“

Wypełniwszy kilka stronic mądrościami, cytatami, niedomówieniami i skrótami, ciągnącemi się bez końca — a wszystko to wypisane było drobniutkiemi literkami, cechującemi pismo uczonych głów talmudystów

— „Ryk Niedźwiedzia“ podpisał się kilku wierszami obelg na własną swoją osobę.

„Ode mnie“ — pisał — „zdeptanego robaka, od nieczłowieka, od upośledzonego w nauce, od najniższego z małych, od maluczkiego i niedojrzałego, od kopcącej łojówki, której światło ginie w blasku wielkiej pochodni, od autora „Ryku Niedźwiedzia“, rabina Gminy żydowskiej w Przemyślu“...

Podobną, równie napuszoną odpowiedź, wypełnioną większemi jeszcze honorami dla „Ryku Niedźwiedzia“ i bardziej poniżającemi obelgami dla siebie, przesłał wkrótce „Ponętny Boruch“, rabin z Lublina.

Po wielkich rabinach, zaczęły korespondować pomiędzy sobą pomniejsze osobistości. Szły listy z Mohylewa nad Dnieprem do Krakowa nad Wisłą, ze Lwowa do Dynaburga, z Presburga do Brześcia nad Bugiem. Potem zaczęły się zasypywać listami rozmaite rabiniątka drobnego, drobniejszego i najdrobniejszego kalibru. Obsypywano się tytułami, nie szczędzono sobie wzajemnych pochwał, błyskano sofizmatami i kaligrafowano rękopisy — co słowo, to brylant.

Poczta, funkcjonująca między Litwą i Kongresówką, Galicją i Rusią, Słowacją i Jerozolimą — zawalona była robotą. Wciągnięto do akcji nawet rabinów z dalekich, postępowych gmin w Paryżu, Londynie, Pradze i Petersburgu. Odezwali się także rabini spanjolscy z Salonik, ze Stambułu, tytułujący się „Chacham“, co oznacza „Mędrzec“ w ich specyficznej, odrębnej hebrajszczyźnie.

Po rabinach zakotłowało się wśród uczonych, chasydów, kupców i rzemieślników. Żydzi porzucali handel, pracę, zaniedbywali modlitwy, zapominali o ślęczeniu

nad talmudem. Wszyscy byli zajęci historją mieszawską. Zwolennicy cadyka z Gorlic tłukli się ze swemi odwiecznymi wrogami, chasydami cadyka mieszawskiego. Przeklinano się i mszczono wzajemnie. Wydzierano sobie wzajem korzec żyta na targu, trochę konopi u chłopa, furę drzewa na opał. Rzucano na siebie klątwy, zrywano śluby. Ojcowie rodzin zmuszali córki do rozwodów z mężami, należącemi do obozu wrogiego im cadyka. Chasydzi cadyka mieszawskiego nie chcieli jadać mięsa, jeżeli uboju dokonał rzezak — zwolennik cadyka z Gorlic. Gorliccy zaś cadycy nie chcieli zasięgać porad rytualnych u rabinów, wiernych cadykowi z Mieszawy. Przestano kupować wino do modlitwy u nieprzyjaciół — uważane bowiem było za trefne. Nawet na cmentarzu zwolennicy cadyka mieszawskiego nie byli chowani obok wiernych cadyka z Gorlic.

Po mężczyznach wzięły się za łby baby.

Na rynku przy zakupach, w bóżnicy podczas nabożeństwa dla kobiet, przy gotowaniu i pieczeniu, przy skubaniu pierza i cerowaniu pończoch, nie przestawały gardłować z pobożnem wybałuszaniem oczu, plotkować i wymyślać niestworzone historje. Kobiety, opuszczone przez mężów, wpadały w histerję. Budziły się w nich dawno pogrzebane nadzieje. Zwiędłe już serca poczęły znów odżywać. Imię „Josie Cielak“ budziło ogólny niepokój i podniecenie.

„A może to „mój“? — kiełbiło się babom po łbach. — A może?...

Nawet te zpośród nich, które nie miały już żadnej nadziei na powrót mężów, odczuwały niepokój, pragnęły zresztą czuć niepokój.

Za ostatni grosz jeździły do Mieszawy, kręciły się po dworze, by ujrzeć jego — tego, który nigdzie się nie pokazuje, zamknięty u siebie na cztery spusty, a o którym mówi dziś cały świat. Izrael-Awigdor przepędzał te porzucone przez mężów niewiasty, wynajął nawet parobka, by je wyganiał miotłą ze dworu. Wracały tedy do domu z pustemi węzełkami i próżnemi sercami. Histeryczki nie dawały za wygraną, krzyczały w niebogłosy, że to jest „on“ — ich własny mąż — i domagały się dopuszczenia do niego. Bębenki w uszach pękały od ich piskliwych zawodzeń.

Mężatki niepokoiły się o swych mężów i bacznie ich strzegły, by który nie zemknął im przypadkiem. Wystarczyło, by któryś z małżonków nie wrócił na czas z jarmarku w sąsiedniem miasteczku, a żona jego już chodziła, jak struta, i załamywała ręce. Dewotki śledziły za każdym gościem, przybyszem z obcego miasta, czy nie jest czasem uciekinierem ze swego domowego ogniska.

Gdy w miasteczku pojawiał się jakiś komiwojażer z wzorami, ajent składu maszyn do szycia lub towarzystwa ubezpieczeniowego, kobiety zatrzymywały go i coraz to któraś z opuszczonych rozpoznawała w nim „swego“. Przybysze przysięgali, zaklinali się, że nie mają o niczem pojęcia, że są Bogu ducha winni — baby nie chciały nawet słuchać. Rzeźnicy, odwieczni nieprzyjaciele szarlatanów i lekkoduchów, chwytali takiego osobnika, prowadzili do rabina i rozbierali do naga, poszukując odpowiednich znamion. Nie przepuszczano nawet przybyłym zdaleka żebrakom i kaznodziejom.

Wśród postępowców i niedowiarków panowała nie-

opisana radość. Zięciowie na utrzymaniu u teściów, małomiasteczkowi „inteligenci“, „złota młodzież“ — posyłali do redakcyj pism hebrajskich w Rosji obszerne korespondencje, pełne zwrotów pompatycznych i uwag o historji Josie Cielaka i o waśniach wśród fanatyków. Zakończenia komponowano zwykle w formie cytat z biblijnej historji o Esterze i Ahaswerusie: „I wiele było hańby i gniewu...“ Podpisywano się dziwacznemi imionami proroków i wielkich bohaterów biblijnych.

Galicyjscy nauczyciele hebrajskiego opisywali historję Josie Cielaka w dziennikach wiedeńskich, napuszoną i pompatyczną niemczyzną, z cytatami z Lessinga i Schillera. Małomiasteczkowy prawnik „wychrzta“ wydrukował o tem artykuł w polskiej gazecie antysemickiej, a jakiś belfer z Brodów ułożył o tem poemat rymowany i sprzedawał go po trojaku wszystkim służącym, subjektom i czeladnikom. Poemat pisany był zniemczonym żargonem, na melodję znanej piosenki — z morałem — o pożarze w Sądny Dzień, której autorem był tenże belfer i którą wszyscy znali na pamięć. W takt melodji poety brodzkiego raźniej pracowały maszyny we wszystkich warsztatach krawieckich.

Również i cadycy, wrogowie dworu mieszawskiego, nie zakładali rąk bezczynnie.

Nietylko w Gorlicach, lecz i w innych dworach doczekano się zemsty nad Mieszawą... Zbyt wielu już zwolenników miał cadyk mieszawski, zbyt już potężny był jego dwór. Zacierano ręce z radości. Ładna historja, mieszawski cudotwórca dał się wywieść w pole pierwszemu lepszemu Cielakowi!

Wiedziano dobrze, że cadyk reb Mejłech jest już stary, że dni jego są policzone, lecz nie chodziło tu tyle o starego, ile o „dynastję", o sam dwór cadyka. Wszyscy pragnęli rozkładu Mieszawy, pragnęli hańby i pośmiewiska dworu, by jazda tam była wstydem. Gdy chasydzi zostaną bez swego cadyka, zmuszeni będą pocieszyć się innymi, przyczem każdemu może coś przypaść w udziale. Jest z czego czerpać. Tylu bogaczy, rabinów, wpływowych ludzi. Narówni z rabinami poczęli teraz wszyscy wrogo usposobieni cadycy szturmować do dworu mieszawskiego i alarmować wiernych o panującem tam piekle.

Od cadyka do cadyka krążyły listy. W listach tych nie było może tak wielkiej mądrości talmudycznej, jak w pismach rabinackich, również i hebrajszczyzna ich nie była nieskazitelna, przeciwnie, roiło się w nich od błędów i nierówności; honorowano się tu jednak bardziej jeszcze górnolotnie, aniżeli w listach rabinów. Raczono się tytułami Aniołów, Mężów Świątobliwych, Płomiennych Krzewów, Grzmotów i Błyskawic, Niebiańskich świateł i t. p.

Wkońcu w całą tę sprawę wmieszały się władze.

Przedewszystkiem Żydzi zadenuncjowali dwór mieszawski. Drobni kupcy, kramarze i t. p. maluczcy Żydzi donosili niższym urzędnikom, że we dworze mieszawskim znajduje się człowiek, który posiada dwie żony. Gdy ci „drobni władcy" nie reagowali, poważniejsi obywatele wnieśli wielkie oskarżenie do samego C. K. Namiestnika. Lecz i tam nie śpieszono się z wysłaniem specjalnej komisji do zbadania sprawy w Mieszawie. Toteż Żydzi zebrali większą sumę i wysłali na własny koszt delegację, składającą się z trzech rabi-

nów, wielkich „znawców“ niemczyzny, do Wiednia, do samego ministra wyznań, z najuniżeńszą prośbą o obronę godności religijnej gmin żydowskich, która jest poniewierana przez dwór mieszawski. Delegację przyjąć miał osobiście pan c.-k. minister. Rudowłosy referent do spraw żydowskich, hofrat wychrzta Pescheles chciał wszystko sam załatwić, by tylko nie niepokoić jego Ekscelencji, który jest teraz bardzo zajęty sprawami państwowemi. Lecz rabini nie zgodzili się na to, domagając się audjencji u samego pana ministra.

W nowych swych jedwabnych kapotach, uszytych specjalnie na tę podróż, w małych aksamitnych jarmułkach na golonych głowach, ze starannie skręconemi pejsami, wyglądającemi, jak małe tubki, wysłańcy kłaniali się w pas przed rudowłosym „hofratem“, wychrztą Peschelesem.

— „Niewymownie wdzięczni jesteśmy Jaśnie Wielmożnemu Panu Hofratowi za jego wielką łaskę — oświadczyli — lecz pragnęlibyśmy mieć to wielkie szczęście, abyśmy byli przyjęci osobiście przez Jego Ekscelencję — za co zgóry życzymy Jaśnie Wielmożnemu Panu długich lat życia...“

Minister Wyznań Religijnych, hrabia Kierwic-Nawrotny, starszy, zniemczony pół-Węgier, pół-Czech, wyblakły, zblazowany arystokrata i dworak, kretyn — dla których to walorów wyznaczono go właśnie na urząd ministra Wyznań Religijnych — zaklął siarczyście w trzech językach naraz, gdy „hofrat“ Pescheles zaanonsował mu przybycie delegacji „rabinackiej“ na audjencję. Właśnie w gabinecie pana Ministra gościła piękna prymadonna Pepi Jarovici. Już poraz trzeci

dostawał pan Minister prztyka w nos od pięknej primadonny, ale zato trzy razy już podnosił jej sukienkę i przez lorgnon oglądał jej „boskie“ nóżki. Posiniał aż ze złości, gdy hofrat zameldował mu rabinów. Klął wszystkich Żydów, do Abrahama włącznie, lecz nie mógł odmówić przyjęcia duchownych, co zresztą stanowiło jedyne jego konkretne zajęcie. Jego Cesarsko-Królewska i Apostolska Mość popierała duchowieństwo wszelkich wyznań. Przybrał przeto uroczystą i łaskawą minę, przygładził na swej uperfumowanej łysinie kilka włosków, które potargała mu podczas zalotów „boska“ Pepi, i kazał wprowadzić delegację.

Rabini, stanąwszy przed Ekscelencją, skłonili się niesktadnie, lecz uniżenie, i odmówili na głos modlitwę, chwaląc Boga, że w niezmierzonej Swej łasce odstąpił nieco Swojego majestatu człowiekowi z krwi i kości.

Wylękli i zmieszani, zapomnieli, że modlitwę tę odmawia się wyłącznie na widok osób ukoronowanych. Ministrowi na dźwięk tych niezrozumiałych hebrajskich błogosławieństw, krew napłynęła do bladej twarzy.

— Tief gerührt... Sehr... — wyrzekł, wyciągając swą wypieszczoną, ozdobioną pierścieniami dłoń, do owłosionych i pulchnych rąk rabinów.

W rdzennie galicyjskiej niemczyźnie, przyśpiewując, jak przy czytaniu Talmudu, przedstawili rabini całą historję Josiego Cielaka i córki cadyka mieszawskiego i wielkie z tego powodu zmartwienia Żydów, wiernych poddanych Jego C.-K. Mości. Minister nie zrozumiał ani słowa z tego, co mu rabini prawili. O jakiego to cielaka im chodzi — a wogóle całe to długotrwałe śpiewne opowiadanie kłoniło go do snu.

— Żebyż to przynajmniej byli wykąpani — myślał przez cały czas z niepokojem o podaniu im ręki.

Przed odejściem wręczyli mu wielki arkusz papieru i z podniesionemi do góry rękami pobłogosławili go.

— Będziemy zawsze błagać Wiekuistego, by za tę wielką, okazaną nam łaskę darzył długiem życiem, zdrowiem i szczęściem Jego Cesarsko-Królewską Mość i Jego pana Ministra, wielkiego i szlachetnego premjera...

— Nie ja jestem premjerem — odezwał się z lekkiem westchnieniem minister.

— Już Ekscelencja z pewnością nim z boską pomocą zostanie — odrzekli wszyscy trzej rabini naraz, kłaniając się głęboko — każdy bowiem, kto dobrze czyni dla Izraela, staje się prawą ręką Władcy; tak twierdzą nasi świątobliwi mężowie, uczeni talmudyści...

Zaraz potem zdarzyło się coś nowego: doszło pomiędzy Żydami do rozlewu krwi.

Po miastach i miasteczkach jeździła trupa młodych belfrów lwowskich i dawała przedstawienia p. t. „Wesoła historja o cadyku mieszawskim, albo Josie Cielak i jego dwie żony". Złapano ich na gorącym uczynku, gdy w szkole gminnej dla biednych dzieci zgrzeszyli z chrześcijańską służącą zarządcy. Przepędzono ich przeto ze szkoły, gdzie nauczali, nie zapłaciwszy im nawet za ostatnie półrocze pracy. Na złość Gminie stali się komedjantami. Na tle historji Josie Cielaka ułożyli farsę z tańcami i piosenkami i dawali przedstawienia w lwowskich knajpach i szynkach, gdzie schodzą się furmani, służące, subjekci i czeladnicy. Rolę Cywji, córki Szamesa, grał belfer przebrany za kobietę. Publiczność była zachwycona komedją i belfrom

rzucano wiele miedziaków na talerz. To dodało komedjantom odwagi i poczęli wędrować od miasta do miasta z gościnnemi występami. Zwerbowali nawet kobietę do trupy, jakąś służącą, sierotę, która grała teraz rolę Cywji, i śpiewała bardzo smutne piosenki o losie biednych sierot. Płacz jej na klęczkach przed córką cadyka, by nie zabierała jej Josie Cielaka, wzruszyćby potrafił kamienie. Wszędzie dochodziło do bójek między zwolennikami cadyka mieszawskiego, nie dopuszczającymi do przedstawienia, a tłumem ciekawskich, który obce były spory rabinów, a którzy za wszelką cenę chcieli mieć widowisko. Bito się pałkami i wałkami od ciasta.

W Sączu pewien nauczyciel Talmudu podżegał do walki z komedjantami. Zebrał w mieście wielu pobożnych Żydów, uzbrojonych w laski, wiele kobiet z miotłami i łopatami, i z wielkim krzykiem i wrzaskiem poprowadził ich do kasyna podoficerskiego, wynajętego przez trupę na spektakl.

— Żydzi, idziemy na świętą wojnę! — wołał nauczyciel i ruszył przodem, wiodąc tłum na kasyno, strzeżone przez zuchów, wiernych komedjantom. — Nie pozwolimy kpić z naszego świętego cadyka!

Chłopcy ostrzegali go, że oberwie, jeżeli nie ustąpi, lecz nie cofnął się przed nimi. Szedł na przodzie z wzniesionemi do góry rękami, z szeroko rozwartemi oczyma, wzywając swych ludzi.

— Żydzi, na śmierć i życie! — wołał.

Pchnięto go tak silnie, odtrącono tak gwałtownie, że upadł głową na kamienie bruku i więcej się już nie podniósł. Żydzi nakryli go kapotą aż po głowę i zo-

stawili tak do przyjścia policji. A po całym kraju zerwała się burza:

— Koniec świata! — wzdychali Żydzi. — Mieszawski dwór jest przyczyną rozlewu krwi żydowskiej!

Zakotłowało się również wśród chrześcjan. We wszystkich dziennikach wiedeńskich znalazły się jaskrawe opisy wojny, toczonej między sobą przez pejsatych Żydów, fanatyków z Galicji. Gazety wysyłały specjalnych korespondentów. Pewien ksiądz-poseł wniósł nawet interpelację w parlamencie.

— Czy wiadome jest Panu Ministrowi Spaw Wewnętrznych — pytał — o krwawych utarczkach między „wybrańcami" Jehowy w Galicji — w związku z bigamją uprawianą na pewnym cadykowskim dworze? A jeśli tak — to jakie ma zamiar przedsięwziąć na to środki?

Tego samego dnia wysłano kablem bezpośrednim telegraficzne zapytanie w tej materji z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w stolicy do C.-K. Namiesnika hr. Kuczebickiego we Lwowie.

I mury twierdzy mieszawskiej poczęły chwiać się w swych posadach.

Rozdział XXVI.

Nadrabin reb Szachne dopiął swego.

Około Wielkanocy, na murach wszystkich miast i miasteczek żydowskich w Galicji i Kongresówce ukazała się odezwa siedemdziesięciu rabinów i mędrców, tyluż, ilu posiadał ich Synhedrjon — odezwa, pozywająca cadyka mieszawskiego na sąd rabinacki.

Na starych murach i kamiennych ogrodzeniach bóżnic, rzeźni i łaźni, wśród rozmaitych obwieszczeń o terminie zapalenia świec na sobotę, o koszerowaniu garnków, ogrzewaniu mykwy, o znalezionych i zgubionych przedmiotach; pośród wszelkiego rodzaju ogłoszeń pisarzy rodałów, którzy naprawiają i korygują „tefilim“, specjalistów którzy leczą „za łaską boską“ wszelkie ruptury bez operacji, lecz tylko z pomocą suspensorjum; obok ostrzeżeń piekarzy, że po zapaleniu świec w piątek wieczór nie będą w żadnym wypadku przyjmować „czulentów“ na sobotę; nad anonsami wędrownych handlarzy książek o ostatnich nowościach, historyjkach i kalendarzach, jarmułkach i sznurach, które ofiarowują za półdarmo; wśród odezw o przestrzeganiu rytuału i zawiadomień fryzjerki w zniemczałym żargonie do wielce szanownych i pobożnych dam o najnowszych perukach z ludzkiego i koziego włosia, które właśnie nadeszły — wytworne i koszerne — z samego Wiednia — na zaszczytnem widniał miejscu ogromnych rozmiarów afisz, odezwa drukowana w języku hebrajskim i żydowskim, przed którą Żydzi nie przestawali się tłoczyć.

„Za łaską Najwyższego, niech Imię Jego będzie pochwalone — brzmiała odezwa — my, niżej podpisani, wzywamy wszystką brać naszą w Izraelu z całego świata. Otwórzcie uszy na słowa nasze, co brzmią jako głos Nieba. Te są słowa mędrców naszych, którzy obwieszczą wam również, że Sąd siedemdziesięciu rabinów jest sądem Wiekuistego. Albowiem kiedy pramacierz nasza Rebeka udała się po przepowiednie do Szema i Ewera, w Piśmie Świętem powiedziane jest, że szła do Wszechwiedzącego.

„Nie dla waśni lub, Boże broń, nienawiści osobistej, ani dla własnej, uchowaj Boże, korzyści, głosimy te słowa, albowiem jest nam wiadomo, że waśnie są jako bałwochwalstwo, przed którem oby zachował nas Pan. Ale czynimy tak ,gdyż oczy nasze nie mogą już patrzeć na to, co oglądały dotąd, a uszy nasze nie mogą słuchać tego, co słyszały. Zaprawdę, wielkie zgorszenie, nie dopuść Boże, szerzy się w namiotach Jakóba, a ze zgorszenia płyną waśnie i donosy. W świątyniach Pańskich umilkły modlitwy, ustała praca nad nauką świętą, jest tylko szczucie wzajemne i złość, i szerzy się gniew nawet podczas nabożeństwa i podczas czytania rodałów, a powiedziane jest w księdze Zohar, że znaczy to tyle, co zerwać przymierze z Panem. I usłyszały jeszcze uszy nasze — o, biada nam, jakżeśmy głęboko ugrzęźli! — że są pośród synów Izraela, którzy donoszą na braci swoich i oddają ich w ręce niewiernych. A są, którzy składają pisma bluźniercze, a grzech i zgorszenie szerzy się z nich wśród gminu. Służebne i niewiasty z pospólstwa czytają, Boże uchowaj — oszczerstwa, i śpiewają nieprzyzwoite pieśni, bluźniąc cadykom i bogobojnym mężom, wyrosłym wśród Izraela, jako krzewy cedrowe. Biada nam, albowiem staliśmy się zakałą i pośmiewiskiem narodów. Albowiem czytają w pismach o naszej hańbie, jakiej zaiste nie znali dotąd Żydzi wśród siebie. A jakże będziemy mogli wzrok podnieść na możnych i wielkich tego świata, w których cieniu wypadło nam żyć? To też módl się za władzę, która osłania cię — mówią mędrcy — by jeden człowiek nie pożarł drugiego. Módl się za władcę naszego, Jego Cesarsko-Królewską Mość — wieczny jego majestat. Cóż bowiem powie-

dzą, patrząc, jak ogień pożera konary — a cóż ma czynić mech na ziemi? Jeśli cadycy czynią zgorszenie i grzech, cóż dziwić się pospólstwu? Drżenie ogarnia nasze ciało, a ręce nasze drętwieją, albowiem przelana została niewinna krew — o Panie, zmiłuj się nad nami!

„Z sercem skruszonem, zalani łzami, zwracamy się do Jego Wielebności Cadyka z Mieszawy — oby nam długo żył — by opamiętał się i stanął przed sądem — wzywa go bowiem sedemdziesięciu rabinów, a znaczy to tyle, co dawny Synhedrjon.

„Żadnego z góry nie wypowiadamy sądu, ani też chcemy, Boże nas broń, wydawać wyrok. Lecz oto złe wieści doszły uszu naszych. Słyszeliśmy, że mąż pewien, którego całe miasto świadków — a wśród nich wielu uczonych i godnych mężów — poznało, jako pomocnika szamesa miasta Białogóry, zwanego Josie (Cielak), porzucił był w tem mieście prawą swoją małżonkę, córkę szamesa Kunego, i podał się za męża córki cadyka z Mieszawy, i żyje z nią, o, biada nam! z niewiastą zamężną. Nie chcemy nic zgóry przesądzać, dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona przed wielkim Sądem. Lecz wołamy, by cadyk mieszawski — oby żył długo — otworzył uszy na głosy innych, by sfolgował w swej zaciętości i nie był uparty w myśli swej. I gdyby nawet jeden głos tylko pozwał go, winien jest stawić się na sąd; temcibardziej winien jest czynić tak, gdy wzywa go siedemdziesięciu rabinów i mędrców...

„Zaprawdę, obmyj się z jadu i obmowy ust nieczystych, co obrzucają cię potwarzą, choćbyś potrzykroć, jak mówią mędrcy, był w swojem prawie. Nawet Dawida-Króla — oby łaska jego spłynęła na nas, amen — nawiedził prorok, gdy padł nań cień podejrzenia —

a powiedziane jest, że kto posądza Dawida-Króla o grzech, ten błądzi — i prorok pokarał go, śmiercią tracąc jego nasienie.

„W imię naszego Zakonu, za zgodą cadyków i mędrców w Izraelu, wzywamy Jego Wielebność, by stawił się na Sąd, najpóźniej do pierwszego dnia miesiąca Ljar, obyśmy dnia tego dożyli. Gwoli jego dostojności i sędziwemu wiekowi i gwoli zwyczajowi, że powód winien stawić się u pozwanego, Sąd rabinacki zbierze się w Mieszawie, jakkolwiek pociągnie to wysiłek i koszty nad miarę. Atoli, do tego dnia wzbronione jest owemu obcemu mężowi, nad którym zawisło podejrzenie — Boże go strzeż — przestawać choćby przez chwilę z córką cadyka, mężatką, gdyż może to oznaczać grzech cudzołóstwa. I winni być rozdzieleni i nie przebywać nawet pod wspólnym dachem. Te są słowa, przez które przemawiają zbolałe serca i zatroskane dusze. A którzy usłuchają naszego głosu, poznają rozkosz posłuszeństwa i spłynie na nich błogosławieństwo niebios...“

„Dan w miesiącu Nison, pod znakiem Pięcioksięgu Mojżesza, rozdziału „Levici.‘

Odezwę podpisało siedemdziesięciu rabinów, każdy z wymienieniem imienia ojca i nazwy gminy swego urzędowania.

Cadyk mieszawski nie mógł się dłużej opierać. Ponadto dano mu do zrozumienia z kancelarji namiestnikowskiej, by starał się rzecz całą załatwić polubownie, inaczej bowiem władze będą zmuszone wkroczyć. I cadyk reb Mejłech zgodził się na rozprawę, która odbyć się miała w Mieszawie w pierwszym dniu miesiąca Ijar, i ze swej strony wyznaczył grono rabinów —

swych zwolenników — którzy weszli w skład siedemdziesięciu sędziów.

Zaraz po Wielkanocy z obydwu stron granicy poczęły ściągać do Mieszawy tłumy Żydów na wielki sąd rabinacki.

Zjeżdżali rabini wielkomiejscy z Galicji i Kongresówki, Żydzi w atłasowych płaszczach, z wielkiemi skórzanemi walizami podróżnemi, w otoczeniu rabinackiej służby; przywlekli się drobni, zmarnieli i wychudli rabinkowie, pechowcy, których gminy chciały się pozbyć, i którzy przybyli szukać ochrony u znamienitych, zebranych tu duchownych. Z wielką pompą zjeżdżali bogacze i radni gmin żydowskich, ludzie wpływowi, w błyszczących kapeluszach aksamitnych, o szerokich rozczesanych brodach, zjawiający się wszędzie tam, gdzie się kotłuje. Ciągnęli drogami zabłoceni żebracy, liczący na sowitą jałmużnę. Biedni autorzy niewydanych dzieł sofistycznych, ściągali ze swemi gęsto zapisanemi manuskryptami, by wyjednać u kilku wpływowych rabinów ich „placet“ i rozpocząć następnie rozjazdy po kraju w poszukiwaniu prenumeratorów. Pogorzelcy, ojcowie zasiedziałych córek, zubożali potomkowie dawnych cadyków, zawczasu już zgromadzili się w Mieszawie, by na miejscu zebrać trochę pieniędzy i zaopatrzyć się w odpowiednie listy polecające od kilku znanych osobistości, które pozwoliłyby im przez całe życie podróżować i zbierać hojne datki po miastach i miasteczkach. Zjawili się stroskani ojcowie, których córki na wydaniu w jakiś tajemniczy sposób straciły cnotę, i muszą otrzymać świadectwo duchownych, stwierdzające ich niewinność. Mężowie obłąkanych żon przybyli zebrać tu podpisy stu rabi-

nów, zaświadczające chorobę umysłową ich małżonek — co dawało im możność ponownego ożenku, przy którym nie jest wymagany rozwód z chorą. Kandydaci na rabinów zjechali się, by wystarać się o rabinackie świadectwa kwalifikacyjne wielkich autorytetów. Młodzi rzezacy przywieźli ze sobą swe rytualne noże rzezackie, by się wykazać swem mistrzostwem w fachowem ostrzeniu narzędzi. Młodzi teolodzy, tęgie głowy, przybyli tu dyskutować z powagami nauk talmudycznych, by wykazać swą biegłość w wiedzy pobożnej, i zyskać ich pochwały — co dawało im możność otrzymania dużego posagu lub odpowiedniego stanowiska na rabina. Przybyli też znani swaci, aroganckie darmozjady, obracające się w zamożnych sferach żydowskich — dla skojarzenia partyj małżeńskich wśród bogatych panien na wydaniu i młodzieńców ze znanych rodzin rabinackich. Wdowy po rabinach w dużych atłasowych czepkach, którym gminy nie wypłacają emerytur, zasiedziałe córki zmarłych rabinów, żądające od gmin posagu w postaci urzędu po ojcu, dla zdobycia sobie kandydata rabinackiego na męża — zjechały się tu szukać sprawiedliwości. Sprzedawcy „tałesów", hafciarze, wyszywający szychem rozmaite szaty rytualne, szmuklerze sznurów i „cyces", kuśnierze, wyrabiający kołpaki futrzane, czapnicy, drukarze-wydawcy utworów rabinowych — wszyscy rozłożyli tu swój towar na sprzedaż. Ajenci firm gastronomicznych, sprzedający kilki, herbatę, sardynki, oliwę, herbatniki i tym podobne artykuły, młodzieńcy w krótkich ubraniach, zcienkiemi laseczkami w ręku, przybyli tu, by starać się o poświadczenie któregoś z rabinów, że wyroby ich firm są koszer-

ne i że Żydzi mogą spożywać je z czystem sumieniem. Nawet pewien chrześcjanin, aptekarz z Munkacza, który wynalazł jakiś proszek na usuwanie zarostu, błąkał się tu niezaradnie w poszukiwaniu „Grand rabbi'ego"; chciał od niego wydostać poświadczenie, że środkiem jego na usuwanie zarostu mogą się posługiwać wszyscy Żydzi zeuropeizowani, a którzy jednak nie chcą naruszać zakazu golenia brody brzytwą. Własnemi wozami i końmi zjechali się też zaharowani Żydzi wiejscy ze swemi rodzinami, przywożąc z sobą krewnych swych, cierpiących na wszelkiego rodzaju niedomagania: bezpłodne kobiety, umysłowo chorych, sparaliżowanych, opętanych przez złego ducha — spodziewając się, że tu wreszcie znajdą ratunek u tylu świątobliwych mężów.

Jako ostatni już, przybyli najdostojniejsi zpośród owych siedemdziesięciu sędziów.

Przyjechał rabin z Dynaburga, zwany powszechnie dla swej wybitnej wiedzy — „Żelazną Głową", okrągły i pulchny człowieczek, którego powierzchowność i ubiór przypominałyby raczej kupczyka, niż rabina, gdyby nie wielkie niespokojne oczy, biegające bez przerwy tam i z powrotem, jak wilki w klatce.

Przybył rabin-mędrzec z Lublina, sędziwy starzec z białą długą aż po pas brodą, podobny do patrjarchy Abrahama na malowidłach kościelnych. Zjawił się też starzec z Łużan, człowiek niewielkiej wprawdzie wiedzy, lecz zato autor wielu komentarzy, zabraniających wszystkim wszystkiego, co wolno, i czego nie wolno do przemytu traktatów. Dawno już Żydzi pragnęli uczynić zeń cadyka, lecz starzec stale odmawiał przyjęcia tej godności. W końcu przyjechał najstarszy wie-

kiem i największy z rabinów, rabin krakowski, człowiek w podeszłym wieku, że nikt nawet nie wiedział, ile lat liczy; był to skurczony, chudy, wyschły jak trzaska staruszek, którego dwóch ludzi prowadziło pod ręce, a na jego chudej, zmarszczonej, kurzej szyjce nie przestawała chwiać się na prawo i lewo wielka głowa, jakgdyby wszystko na świecie zawzięcie negował: nie, nie...

Z Białogóry przybyła prawie połowa ludności z szamesem Kune i jego córką. Oboje byli wypasieni, na twarzach mieli wypisany dostatek. Byli też dobrze odziani, a Cywja miała nawet nową chustkę na głowie. Podrabin reb Szachne szedł zamaszystym wielkim krokiem zwycięzcy; nos jego czerwienił się z radości, jak nigdy dotąd.

Nie był jeszcze zupełnie pewny, czy istotnie odseperowano Josie Cielaka od córki cadyka, i to go niepokoiło. Nie przestawał wścibiać wszędzie nosa, by wywąchać, jak rzecz się ma w istocie. W końcu przekonał się, że nie są oni razem, że nie znajdują się nawet pod jednym dachem — tak, jak on tego pragnął i jak się tego domagali rabini. Czuł się więc zwycięzcą na całym froncie, z satysfakcją wycierał głośno nos w chustkę, gryzł swą chudą bródkę i pozdrawiał rabinów, gdy tylko nawinął mu się który na oczy, pakując im rękę na powitanie:

— Szolem-Alejchem, szolem-alejchem. Chwała Panu Bogu, żeśmy do tego doprowadzili. Niema samowoli na świecie!

Przez trzy dni zrzędu odbywał się w bóżnicy mieszawskiej wielki sąd rabinacki. Przez całe trzy dni wa-

hały się szale sprawiedliwości między Mieszawą i Białogórą: to jedna przeważała, to druga.

Na pierwszem miejscu, w wielkim szerokim fotelu staroświeckim, siedział na kilku poduszkach — aby móc dosięgnąć stołu — sędziwy starzec i mędrzec, rabin krakowski. Jego wielka głowa nie przestawała się kiwać, jakby nie zgadzał się zgóry na żaden kompromis. Obydwiema wyschłemi rękami osłaniał swe obrośnięte uszy, chcąc uchwycić słowa mówcy.

Po obu stronach stołów, ustawionych w podkowę, zasiadało pozostałych sześćdziesięciu dziewięciu rabinów, stosownie do wieku i zasług. Przy oddzielnym stole siedział cadyk reb Mejłech ze swym zięciem. Proponowano mu honorowe miejsce wśród sędziów, lecz cadyk nie chciał siedzieć razem z rabinami.

— Chcę być przy zięciu moim, reb Nachumie, — powiedział.

Chciał tem podkreślić, że nie ma najmniejszych wątpliwości co do osoby przybysza. Wywołało to ciche szepty w całej bóżnicy. Wszyscy utkwili wzrok w podsądnym, lecz ten zdawał się nikogo nie widzieć. Kościsty, postawny, okazały, siedział spokojnie na swem miejscu, zagłębiony w leżącej przed nim księdze. Izrael-Awigdor, wyprostowany, jak żołnierz, stał za fotelem cadyka.

Z przeciwnej strony usadowili się na ławce szames Kune i podrabin Szachne. W przeciwieństwie do podrabina, który nie mógł usiedzieć na miejscu, wycierał nos, zażywał tabakę, gwałtownie gestykulował — szames Kune był spokojny, zrównoważony i pewny siebie. Na długich ławach siedzieli świadkowie, mężczyźni. Dla kobiet oddzielono osobny kąt, zasłonięty pokry-

ciem z kazalnicy. Cała bóżnica wypełniona była po brzegi publicznością, wpływowemi osobami, bogaczami, uczonymi, dworakami i służbą. Nie przestawano kłócić się o zaszczyty i miejsca.

— A gdzież się pchasz, gałganie — besztano się wzajemnie. — Więcej poszanowania, kapcanie jeden! Na kazalnicy stały wielkie, czarne oraz woskowe świece; leżały przygotowane do przysięgi „tałes", koszula śmiertelna i róg barani. W kącie bóżnicy stała deska do rytualnego obmywania trupów, na którą zgromadzeni starali się nie patrzeć. Na dworze ogromny tłum rzemieślników, kobiet i dzieci oblepił wszystkie drzwi i okna.

Naprzód zostali wywołani świadkowie z Białogóry, a wśród nich Abisz—rzeźnik.

— Żydzi! — przemówił rabin krakowski — świadkowie według zakonu naszego nie przysięgają, ale zeznanie przed sądem rabinackim jest równoznaczne z przysięgą na Pismo Święte. Stoicie wobec siedemdziesięciu sędziów, jakbyście stali w obliczu Synhedrjonu. Zważcie przeto bacznie każde słowo, zanim uczynicie wyznanie, albowiem szeroko rozwarte są wrota, wiodące do piekieł, lecz wyjście z nich jest ciasne i wąskie. Życie i śmierć człowieka wiszą na końcu języka. Czy dobrze pojęliście moje słowa?

— Pojęliśmy je, rebe — odparli trwożnie świadkowie.

— Podejdźcie do oskarżonego, przyjrzyjcie mu się uważnie i powiedzcie: kim jest?

— Josie... Josie-Cielak z Białogóry!

— Jakie możecie dać dowody na to, że jest to istotnie Josie z Białogóry? — zapytał rabin.

— Poznajemy go... z wyglądu!

— A czy wiecie o tem, że może istnieć dwóch ludzi, podobnych do siebie z wyglądu?

— Tak, rebe.

— Może zatem wydaje wam się tylko, że to Josie?

— Nie, rebe.

— Czy pewni jesteście waszych słów?

— Tak.

— A może macie najmniejszą choćby wątpliwość — mówcie, nie wstydźcie się!

— Nie, rebe — duszy nie sprzedamy!

Białogóra przechyliła szalę na swoją stronę.

— Podrabinie, reb Szachne — wezwał rabin krakowski — jesteście duchownym i nie muszę pouczać was, jakie znaczenie ma zeznanie przed sądem.

— Wiem to — odpowiedział podrabin.

Kilkakrotnie przytem wytarł sobie z głośnym świstem nos, na znak, że zdaje sobie doskonale sprawę z tego, co się tu dzieje, poczem donośnym, ochrypłym głosem począł zeznawać.

— W obliczu sądu siedemdziesięciu największych powag i autorytetów, zeznaję, że ten oto, siedzący przed trybunałem człowiek, jest to pomocnik szamesa z Białogóry, Josie, przezwany Cielakiem, na którego białogórski sąd, złożony z trzech sędziów, wydał wyrok, że winien jest uczynić swą żoną córkę szamesa Kunego, Cywję, pochodzącą z tego samego miasta. Przyznała się ona przed tym samym sądem, że zaszła w ciążę z winy Josiego, i dlatego poślubiono mu ją na miejskim cmentarzu. Związał się z nią ślubem w obecności wszystkich mieszkańców miasta, a w noc poślubną uszedł od niej, pozostawiając Cywję samotną i opu-

szczoną. Oświadczam przed sądem, że ten oto człowiek jest tym samym właśnie Josiem.

Cichy pomruk przebiegł bóżnicę. Przenikliwe westchnienia przecinały zgęszczoną atmosferę.

— Cicho, sza! — zawołał rabin krakowski.

— Cicho, sza! — echem wtórzyli mu wszyscy rabini.

Szala białogórska przechyliła się nadół jeszcze mocniej. Lecz oto stanął przed sądem Izrael-Awigdor i tak zaciążył na wadze, że szala Białogóry wzniosła się raptem dogóry.

Izrael-Awigdor uczynił to bardzo uroczyście. Najpierw opłókał sobie ręce, jak przed nabożeństwem, poprawił na głowie jarmułkę i kapelusz, przewiązał ściśle sznur na biodrach, i krokiem pobożnym, jakgdyby wywołano go przed rodały, zbliżył się do stołu sędziowskiego. Wyprostował się, przymknął oczy, i słowo za słowem, głosem doniosłym, oświadczył:

— W obliczu trybunału, wobec mego cadyka, przed zgromadzeniem wiernych, tutaj, w Domu Bożym, oświadczam ja, Izrael-Awigdor, syn Fejgi-Lei, że ten oto oskarżony tu przed nami jest reb Nachumem, zięciem mego rebego. Dał na to dostateczne dowody po swym powrocie z pokutnej wędrówki po świecie. Osobiście zbadałem jego znaki i przekonałem się, że znaki i znamiona, podane przez żonę jego, córkę mego cadyka, zgodne są z prawdą. Proszę Wysokiego Sądu i zezwolenie na udzielenie szczegółowych wyjaśnień.

— Mówcie! — rozkazał rabin krakowski.

Izrael-Awigdor opowiedział wszystko, jak było. Historję z kartką, założoną w księdze u cadyka, historję o szklance mleka i o wielu innych znakach rozpoznaw-

czych. Nie pominął żadnego szczegółu, żadnej drobnostki. Mieszawska szala ciążyła wciąż wdół i wdół, i nagle opadła tak nisko, że wszyscy zastygli na swych miejscach.

— Sędziowie — rzekł — nie jestem już młodzieńcem, niewiele dni brakuje mi do Najwyższego Sądu, do Trybunału na tamtym świecie. Przysięgam na mą siwą brodę, że wszystko, co wyjawiłem przed trybunałem, jest prawdą — jak prawdą jest nasze Pismo Święte, zesłane nam przez Pana.

Izrael-Awigdor nie przeliczył się. Siwa jego broda zaciążyła tak gwałtownie na szali, że podrabinem reb Szachnem aż coś zatrzęsło.

Po przesłuchaniu tych świadków wezwano obie niewiasty. Najpierw wysłuchano zeznań córki szamesa, Cywji.

Cywja była teraz nie do poznania. Jeżdżąc z ojcem po świecie, stykając się z wielu obcymi ludźmi, stała się podobniejsza do człowieka. Rozumiała już wiele z tego, co do niej mówiono, odpowiadała dorzeczy, mniej nawet jąkała się i rzadziej chichotała.

— Niewiasto — przestrzegał ją rabin krakowski — stoisz przed sądem rabinów. Czy wiesz, co to oznacza? Musisz powiedzieć całą prawdę. Albowiem za kłamstwo czeka cię ogień wiekuisty w piekle. Czy wiesz o tem?

— Tak — odpowiedziała Cywja.

— Podejdź bliżej do tego oto człowieka i powiedz, kim jest?

— Josie... Cielak — odpowiedziała Cywja.

— Czem jest on dla ciebie,

— Mąż... mój!

— Jakie masz na to dowody, że jest on zaiste mężem twoim?

— Ja... poznać... Josie — wybełkotała.

— Czy nie posiadasz na dowód prawdy żadnych innych znaków?

— Nie wiem...

— Czy możesz przysiąc na Pismo Święte, że jest to mąż twój, Josie?

— Ja... przysięgać — wyrzekła Cywja.

Po Cywji wezwano Serełe, córkę cadyka.

Izrael-Awigdor torował jej drogę z takim szacunkiem, jakby prowadził samego cadyka.

— Z drogi! — wołał.

Blada, z zaczerwienionemi od płaczu oczyma, przechodziła cichym krokiem bóżnicę. Rzuciła spojrzenie w stronę, gdzie siedział ojciec jej i mąż jej, Nachum, z którym już od kilku tygodni ją rozdzielono. Ojciec spojrzał na nią, mąż nie podniósł nawet ku niej wzroku. Siedział, pochłonięty księgą. Poczuła naraz, jak uginają się pod nią kolana. Izrael-Awigdor podsunął jej krzesło.

— Córko cadyka mieszawskiego — zwrócił się do niej rabin krakowski. — Wiecie przecież, co to znaczy stać przed sądem siedemdziesięciu rabinów?

— Wiem — szepnęła Serełe — to jakby Synhedrjon.

— Prawda — potwierdził rabin. — Wyznajecie się w Piśmie Świętem?

— Tak.

— Czy wiecie, jaka kara czeka mężatkę za cudzołóstwo?

— Tak. Ukamienowanie.

— To prawda. Wiadomo wam, że od czasu zburzenia Świątyni, sądy nasze nie mają mocy kamienowania. Lecz wówczas karę zsyłają niebiosa.

— Wiem — wyszeptała Serełe — przedwczesną śmierć!

— Prawda — zgodził się rabin krakowski. — Podejdźcie teraz do tego oto człowieka, przyjrzyjcie mu się bacznie, i głośno wyznajcie przed sądem, kim zacz jest?

— To mąż mój, reb Nachum — pewnym głosem rzekła Serełe.

— Skąd macie tę pewność? Wasz mąż rozstał się z wami przed laty piętnastu. Czyż możecie go poznać?

— Dał mi na to dowody.

— Jakiego rodzaju były te dowody?

Serełe opuściła głowę.

— Nie wstydźcie się. Stoicie przed Sądem. Czy były to dowody natury intymnej?

— Tak.

— Czy nie mógł o nich wiedzieć nikt inny? Czy nigdy nie czyniliście zwierzeń bliskiej jakiejś przyjaciółce?

— Nie.

— A może mąż wasz zawierzył je komuś, a ten wyzyskał wiadomość dla siebie?

— Wiedziałam, że ma na ciele znamiona — szepnęła Serełe, oblewając się rumieńcem. — Ojciec — oby żył długo — kazał je sprawdzić.

Szmer przebiegł całą bóżnicę.

— Cicho! — zawołał rabin krakowski.

— Cicho! — jak echo powtórzyli rabini.

Serełe wróciła na swoje miejsce. Teraz wezwano szamesa Kune.

— Reb Kune — oświadczył rabin krakowski — jesteście powodem, ojcem porzuconej niewiasty z Białogóry, która twierdzi, że ten oto człowiek jest jej mężem. Według praw naszego Zakonu, strony winny złożyć przysięgę; lecz ponieważ przysięga niewiastom jest wzbroniona, wy, jako ojciec jej, przysięgać będziecie za nią. Czy możecie przysiąc, że człowiek ten przed wami jest mężem waszej córki?

— Tak, rebe, — odparł Kune bez wahania.

Rabin potrząsał głową na wszystkie strony.

— Przysięga, to nie drobnostka — podkreślił groźnie.—Za krzywoprzysięstwo, za mimowolną nawet pomyłkę pod przysięgą — piekło samo jest karą zbyt łagodną. Jeśli was dręczy choć cień wątpliwości — wyjawcie go nam!

— Ja mogę przysięgać — odrzekł reb Kune. — Prawda nie boi się przysięgi!

— Szamesie, zagaś świece woskowe i zapal czarne!— rozkazał rabin swemu podręcznemu.

Szames spełnił polecenie.

— Przynieś deskę dla zmarłych i ustaw ją u kazalnicy.

Wszyscy obecni pobledli. Lecz Kune zdawał się nawet nie zwracać na to uwagi. Zbyt dobrze był z tem wszystkiem obeznany.

— Reb Kune, obmyjcie sobie ręce, wejdźcie na kazalnicę i wdziejcie koszulę śmiertelną i „tałes".

Kune podszedł do mosiężnego zbiornika z wodą i obmył ręce. Potem spokojnie wszedł na kazalnicę i wdział szaty rytualne.

Rabin krakowski, podtrzymywany przez dwuch rabinów, chwiejnym krokiem zbliżył się do kazalnicy i uderzył w blat.

— Świat cały zadrżał w posadach — rzekł słabym i drżącym głosem — gdy Wiekuisty przykazał na górze Synaj: „Nie będziesz krzywoprzysięgał!“ Wszystkie grzechy mogą być odpuszczone, prócz krzywoprzysięstwa, za które niemasz przebaczenia. Za wszelkie występki odpowiedzialny jest osobiście sam tylko grzesznik — za grzech krzywoprzysięstwa kara dotyka wszystkich jego potomków, i dzieci ich, i wnuki, i prawnuki. A z karą niebiosa nie zwlekają, lecz wymierzają ją natychmiast.

Trwoga ogarnęła całą bóżnicę. Żydzi stali się bladzi, jak podczas ostatnich modlitw pod koniec postu w Sądnym Dniu.

— Biada nam! biada! — rozległy się jęki.

— Niech zadmie róg! — rozkazał rabin.

Trębacz w „talesie“ zadął w barani róg.

— Powtarzajcie za mną słowa przysięgi — rozkazał rabin. — Ja, Kune... syn... Henji-Peszy...

— Ja... Kune... syn... Henji-Pesy — powtarzał Kune.

Ale w tej samej chwili cadyk reb Mejłech, który przez cały czas siedział w „tałesie“ i „tefilim“, zerwał się z miejsca i krzyknął głosem przerażającym:

— Zaprzestać! Zaprzestać!

Śmiertelna cisza zaległa bóżnicę. Słowa zastygły na ustach rabina krakowskiego.

Rebe mieszawski, przybrany w biel, stał ciężki i nieruchomy, jak zastygły posąg.

— Nie dopuszczę do krzywoprzysięstwa w mojem mieście! — wołał.

Wśród sędziów zapanowało poruszenie i popłoch. Cadyk podniósł do góry obie ręce, na znak, że dalej chce mówić.

I znów zapanowało grobowe milczenie.

— Ja, Mejłech, potomek świątobliwych przodków, w tych oto rytualnych szatach zeznaję, że ten, zasiadający przed nami podsądny, jest zięciem moim, reb Nachumem. Gdy po piętnastu latach powrócił do mego domu, nie został przeze mnie poznany. Odszedł był, jako młodzieniec pozbawiony zarostu, a wrócił dojrzałym mężem, posiadającym brodę i pejsy. Lecz dał mi niezbite dowody swej tożsamości. Powtórzył mi wiernie to, o czem rozprawialiśmy i co było przedmiotem naszych dociekań za jego pobytu w Mieszawie. Przypomniał mi o owej kartce, założonej w księdze Kabały. Przejrzałem sam księgę i stwierdziłem prawdziwość jego słów. Nadto przytoczył szczegóły z życia codziennego na dworze, mówiąc naprzykład, co gotowano w wigilję jego zniknięcia.

Reb Mejłech gwałtownie zerwał przytem „tefilim“ z czoła i kurczowo ściskając go w obydwu starczych dłoniach, wołał głośno:

— Przysięgam na ten święty pergamin!

Poczem opadł bez sił na fotel.

Ciszę, która zaległa bóżnicę, przerwało tylko czyjeś szlochanie. Lecz nikt nie wiedział, gdzie się rozlegało.

Szames Kune, przybity, zdjął koszulę i „tałes“. Szala mieszawska przeważyła do końca. Lecz gdy Trybunał przystąpił do przesłuchiwania samego podsądnego, szale sprawiedliwości poczęły znów ważyć się obłąkańczo, tak że rabinom strzałka wag migotała tylko przed oczyma.

— Podsądny — pytał rabin krakowski, nie wiedząc, jak ma go nazwać: Nachumem, czy też Josiem. — Wyznajcie przed sądem, kim jesteście?

— Nie wiem — odrzekł podsądny, nie odrywając oczu od księgi.

— Nie wiecie?.. — zdumiał się rabin. — A któż więcej wiedzieć może, niżeli człowiek sam o sobie?

— Nic nie wie się o samym sobie — odparł podsądny.

— Nie rozumiem — rzekł rabin.

— Nie rozumiemy — powtórzyli rabini.

Cadyk mieszawski utkwił wzrok w podsądnym.

— Reb Nachum — rzekł — ja pojmuję twoje słowa. Ale przed sądem musisz mówić jasno i wyraźnie. Winieneś wyznać, że jesteś Nachumem.

—Jestem Nachumem — powtórzył, jak echo, podsądny.

— Powiedz, kiedy brałeś ślub z moją córką? — zapytał cadyk.

— W trzydziestym trzecim dniu świąt Wielkiej Pokuty, roku pięć tysięcy sześćset dwudziestego dziewiątego od Stworzenia Świata — wyrzekł zapytany tym samym dalekim głosem.

Cadyk wytrzeszczył oczy na tłum zebranych.

— Kto z was był na ślubie córki mojej, Serełe, z reb Nachumem?

— Ja! Ja! Ja! — rozległy się głosy.

Cadyk znów wpił wzrok w podsądnego.

— Zięciu mój, czy pamiętasz przemówienie, jakie wówczas wygłosiłeś na swojem weselu?

— Tak.

— Powtórz je wobec Sądu.

Podsądny obcym, niesamowitym głosem powtórzył całe przemówienie.

— Zgadza się — rozległ się głos.

— Pamiętamy! pamiętamy, — wtó:rzyły mu inne.

Cadyk reb Mejłech gniewnie spozierał w stronę zebranych.

— Podrabinie z Białogóry — zagrzmiał — czy ów Josie z Białogóry uczonym był, czy nieukiem?

— Odmawiał wyłącznie psalmy — odpowiedział podrabin.

—Żydzi — oświadczył cadyk — Reb Nachum jest uczonym i kabalistą.

— Nie do pojęcia! — powtórzyli za nim rabini.

Cadyk reb Mejłech zasiadł głębiej w fotelu z miną zwycięzcy. Lecz wnet podrabin reb Szachne, po kilkakrotnem, siarczystem utarciu nosa, wziął podsądnego w krzyżowy ogień pytań, i szala znów poczęła chwiać się gwałtownie.

— Josie — zawołał podrabin reb Szachne — zaprzecz przed sądem, że jesteś Josie Cielakiem z Białogóry!

Podsądny milczał.

— Milczysz — wrzasnął podrabin — nie zaprzeczasz? To znaczy, że się przyznajesz?

Podsądny milczał.

Reb Szachne wyprostował się. Stał się naraz dłuższy i większy.

— Sędziowie — zawołał — takiem samem milczeniem zbywał sąd w Białogórze. W mieście, uchowaj nas Boże, szerzyła się zaraza. Córka szamesa zeznała, że zgrzeszył z nią — Boże nas strzeż — lecz i wtedy milczał, jako i teraz. Nie przyznał się i nie zaprzeczył.

Złączono go ślubem z uwiedzioną, lecz ją opuścił. Niech się odważy zaprzeczyć temu, co mówię!

W śmiertelnej trwodze wyczekiwała bóżnica.

— Podsądny — spytał rabin krakowski — czyście słyszeli, co o was wyrzekł przed sądem podrabin reb Szachne,

— Tak.

— A wy co na to możecie odpowiedzieć?

Podsądny milczał.

Reb Szachne podskoczył aż na swojem miejscu.

— Zaprzecz! — pienił się. — Zeznałem przed sądem, że ty nie jesteś Nachumem, lecz Josie Cielakiem. Zaprzecz temu, jeżeli możesz!

Podsądny nawet nie spojrzał na rozgorączkowanego rabina.

Rabinowi krakowskiemu trzęsła się głowa tak silnie, jakby za chwilę spaść miała na ziemię.

— Podsądny — rzekł wzburzony — Sąd pyta was, kim jesteście,

— Nie wiem.

Rabin porwał się z miejsca.

— Rzekliście przedtem, że jesteście Nachumem, zięciem cadyka z Mieszawy. Czemu porzuciliście żonę?

— Musiałem.

— Gdzie przebywaliście?

— Na szerokim świecie.

— Wyliczcie miasta, gdzieście bywali?

— Nie do policzenia jest ich liczba.

— Czy słyszeliście o Białogórze?

— Tak.

— Czyście tam byli?

— Wszędzie byłem.

— Coście robili na świecie?

— Nie wiem.

Rabin siadł wyczerpany. Nie mógł już słowa więcej wymówić.

— Sędziowie — zwrócił się do siedzących obok rabinów — narazie wy prowadźcie dalej rozprawę.

Pierwszy zabrał się do badania podsądnego „Żelazna Głowa“ z Dynaburga, lecz nic nie potrafił z niego wydobyć. Raptus, roztargniony, gaduła, zadający pytania i sam udzielający na nie odpowiedzi, mielący szybko półsłowa, niepochwytne poprostu dla ucha — wnosił tylko zamęt w rozprawę.

— Podsądny — rzekł, pocierając czoło i łyskając swemi szalonemi, niespokojnemi oczyma — jedna ze stron kłamie chyba. Bo, jedno z dwojga: jeżeli wy jesteście Nachum — ciągnął dalej śpiewnym talmudycznym tonem — to nie jesteście Josie; a jeżeli jesteście Josie, to nie jesteście Nachum; bo przecież Rubin — to nie Szymon, a Szymon — to nie Rubin. Tak chyba dyktuje rozum! Tak czy nie? Ha?

Błysnął triumfująco szalonemi oczyma i nie czekając nawet odpowiedzi, począł szybko obracać językiem, łykając odrazu po kilka słów i sypiąc sofizmatami.

Podsądny nawet nań nie spojrzał. Wówczas Starzec z Łużan, którego Żydzi koniecznie chcieli uczynić cadykiem, lecz który nie chciał się na to zgodzić, przerwał w półsłowa „Żelaznej Głowie“.

— Reb Szymszon Rafael — rozkazał — proszę usiąść!

„Żelazna Głowa“ gorączkował się jeszcze przez chwilę, jak rozbrykany koń, którego niepodobna ukrócić. Wreszcie uspokojony siadł. Starzec z Łużan przymknął oczy, zmarszczył wysokie czoło, skupił się z na-

maszczeniem, i tajemniczym głosem, który przeniknął wszystkich dreszczem, poprowadził badania na zupełnie inne tory. Zamiast badać podsądnego, przesłuchał ponownie wszystkich świadków, przedewszystkiem zaś obydwie żony: córkę cadyka, Serełe i Cywję, córkę szamesa.

— Córko cadyka z Mieszawy — pytał — czy mąż wasz po powrocie zachowuje się, jak każdy normalny człowiek? Czy też nie?

Serełe milczała.

— Czy czasem rozmawia z wami?

— Nie — odpowiedziała smutnie Serełe.

— A cóż robi? — pytał dalej — jak żyje?

— Zamyka się u siebie w pokoju...

— Cóż więcej?

— Często po nocach wychodzi w pole i późno wraca...

— Po nocach... w pole? — powtórzył starzec. — No, a jeszcze dokąd chodzi?

— Na cmentarz — szepce Serełe.

— Na cmentarz? — głośniej powtarza starzec.

Spojrzał na nią przenikliwie i spytał ostro:

— Czy spełnia względem was swe obowiązki małżeńskie?

Serełe spuściła głowę.

— Odpowiedzcie — rozkazał Starzec. — Sąd musi to wiedzieć.

— Jak czasem — wybąkała Serełe, cała w pąsach.

— Czy widzieliście, jak się rozbierał? — zapytał głosem wiele znaczącym starzec.

— Nie.

— Czy kryje się przed wami?

— Nie wiem.

— Czyście zwrócili uwagę na jego nogi?
— Nie.
— Dobrze. Możecie usiąść.
Serełe wróciła na swoje miejsce. Przywołano Cywję.
— Powiedzno, kobieto — pytał starzec — czy długo mieszkał Josie u ojca twego w Białogórze?
— Długo...
— Czy oglądałaś go w nocy?
— Tak.
— Co robił po nocach?
— Płakał.
— Płakał? — powtórzył starzec. — Czy nie wychodził w nocy na cmentarz?
— Tak.
— Czy rozmawiał kiedy z tobą?
— Nie.
— Czy śmiał się kiedy lub radował?
— Nie.
— Widziałaś może, jak się rozbierał?
— Chi, chi — zachichotała Cywja.
— Nie śmiej się, kobieto — krzyknął na nią gniewnie starzec z Łużan. — Czyś oglądała czasem jego nogi?
— Nie.
— Czy cię unikał?
Cywja nie zrozumiała. Starzec przeszył ją wzrokiem i kazał odejść.
Przystąpił teraz do badania Żydów białogórskich.
— Skąd przybył ów Josie z Białogóry?
— Nie wiemy — brzmiała odpowiedź.
— Czy zachowywał się normalnie, czy też był niespełna rozumu?

— Był głuptakiem. Dlatego też przezwano go: Cielak.

— Czy był natrętny?

— Nie, przeciwnie, nawet gdy go bito, milczał.

— Czy wdawał się kiedy z kimś w rozmowy?

— Nie. Milczał, unikając stale ludzi.

Starzec długo przeszywał wzrokiem świadków.

— Czy widział kto z was, jak się rozbierał? — pytał.

— Nie.

— Czy widział kto jego nogi?

— Nie.

Starzec nasunął kołpak na czoło i znów przymknął oczy. Wszyscy, wylękli, trwali bez ruchu. Naraz otworzył znów oczy i drżącym głosem przemówił:

— Sędziowie, jasne jest, jak dzień, że żadna ze stron nie skłamała — uchowaj Bóg — przed sądem. Nieprawdaż?

— Uchowaj Bóg — rozległy się głosy.

— Wysokie Zgromadzenie — ciągnął dalej. — Cadyk mieszawski zeznawał tu na święte szaty, że podsądny jest jego zięciem. Nikt z pewnością nie może — niech Bóg broni — posądzić go o kłamstwo.

— Niech Bóg broni — powtórzyły głosy.

Starzec zadrżał.

— Podsądny — krzyknął — powiedz wreszcie, kim jesteś?

— Nie wiem.

— Nie wiesz? — Ale ja wiem! Jesteś upiorem, słyszysz?

Bóżnica zadrżała w przerażeniu.

— Tak, tak — mówił dalej starzec, drżąc na całem ciele i patrząc przenikliwym wzrokiem prosto w wielkie, czarne oczy podsądnego. — Błądzisz po świecie, szydzisz sobie z ludzi i nie wiesz, co czynisz!

Zgromadzeni siedzieli, jak skamieniali. Lęk odjął im mowę.

Lecz starzec ciągnął dalej:

— Jesteś Nachum i jesteś Josie. Jesteś mędrzec i nieuk. Zjawiasz się nagle w miastach i znikasz nagle. Błąkasz się po cmentarzach i włóczysz się po polach wśród nocy. Wszędzie, dokąd przybywasz, przynosisz ze sobą zarazę i nieszczęście. Straszysz wśród grobów, parasz się z niewiastami, znikasz i wracasz do nich zpowrotem. Niemasz celu w twem życiu, tak jak i w twoich uczynkach. Gdyż jesteś niczem, cieniem marnym. Gdyż błąkasz się wśród ogni czyśćcowych. Czy słyszysz?

Oczy wszystkich rozwarły się szeroko. Serca waliły, jak młotem. Jakby skazani na wieczną ślepotę przejrzeli nagle i dostrzegli własne kalectwo — tak teraz nagle ujrzeli wszyscy to, co ich tak długo dręczyło i kamieniem ciążyło na sercach.

— Biada nam! — rozległy się szlochy.

— Zaprzecz! — rozkazywał starzec podsądnemu. — Przemów nareszcie!

Podsądny milczał.

Spokojnie, chłodno, obojętnie, spoglądał swemi wielkiemi, czarnemi, szeroko rozwartemi oczyma, które nic wkoło nie dostrzegały.

Przez chwilę cisza ważyła się nad bóżnicą, jak w polu przed burzą. Lecz nagle zerwał się z miejsca cadyk reb Mejłech i wpił się oczyma w podsądnego. Wrośnięty w ziemię, z ustami rozwartemi szeroko, jak grób,

szklanem spojrzeniem oczu, które zdawały się wyłazić z orbit, zawisł na postaci zięcia — a potem zbliżył się do niego o krok jeden.

— Nachum — wyszeptał.

Naraz zachwiał się i gwałtownie, jak waląca się góra, opadł na ziemię.

Wszyscy rzucili się ku niemu.

— Rebe! — krzyczały głosy.

Izrael-Awigdor szybko, z olbrzymią siłą, odepchnął wszystkich, porwał na ręce ciężkiego cadyka, i ułożył go w fotelu. Lecz znieruchomiałe ciało stygło już powoli.

Izrael-Awigdor zaniósł zwłoki na kazalnicę i ułożył je na płycie. Tam wyprostował zmarłego, jak prostuje się rodały, i nakrył go „tałesem“.

„Błogosławiony niech będzie Sędzia Sprawiedliwy“ — wymówił głośno słowa modlitwy pośmiertnej.

Tylko jeden jedyny szloch, jęk mężczyzny, podobny do płaczu kobiety, wdarł się ostro w ciszę bóżnicy. Był to lament straszliwy, przerażający, niesamowity.

Rozdział XXVII.

Nazajutrz na wszystkich drogach wiodących do Mieszawy pełno było ludzi.

Na pogrzeb cadyka Żydzi przybywali koleją, końmi i piechotą. Po wszystkich galicyjskich wioskach mokre od deszczu słupy telegraficzne smętnie zawodziły; po drutach niosła się w dal żałosna wieść. Pastuszkowie nie odrywali uszu od brzęczących przeciągle słupów.

Nad świeżym grobem cadyka, pięciu jego synów odmawiało „kadysz“. Pięć par rąk rozdarło brzegi atłasowych kapot na znak żałoby. Poczem grupy wiernych okrążyły synów cadyka, głośno gratulując każdemu zosobna:

— Mazełtow, mieszawskie rebe!

Izrael-Awigdor wraz z grupą chasydów odłączył się od zebranych i szukał na wszystkie strony:

— Reb Nachum! — wołano. — Gdzie jest reb Nachum — cadyk mieszawski? Chcemy mu pogratulować! Lecz niepodobna było go odszukać.

Z kijem w ręku, z łatanym workiem na plecach, w którym leżały zaledwie „tałes“, „tefilim“ i kamień dla ciężaru, długim, szybkim krokiem szedł po rozmokłej drodze. Wiejskie psy ujadały za nim, pastuszkowie rzucali weń kamykami wołając: „Żyd-Chałamid“. Nie oglądał się poza siebie. Mijał wsie, łąki, stawy, wiatraki, idąc przed siebie coraz dalej i dalej.

O zmierzchu przybył do żydowskiego miasteczka i udał się do bóżnicy.

Poznano go jednak. Wszyscy stronili od niego.

— Upiór! — krzyczano, uciekając.

Zamykano przed nim wszystkie drzwi i wejścia. Wyszedł pod miasto na cmentarz, głowę wsparł na worku, kij ułożył przy boku i zasnął.

Księżyc w pełni czuwał na nim.

KONIEC.

RÓJ NOWA SERJA

Zadaniem tej serji jest oprzeć książkę na nowych podstawach kalkulacji, dając książkę pełnowartościową i starannie wydaną po cenie dostępnej dla wszystkich. Szczególny nacisk położony będzie na twórczość polską, na dzieła podróżnicze, na literaturę pogodną i egzotyczną, na wysoką wartość literacką utworów i ich możliwie szeroki zasięg.

Adams
Aveline
Bouchet
Buck
Curwood
Duvernois
Gojawiczyńska
Golding
Grabski
Gul
Hughens
Lepecki
Locke
Łopalewski
Meissner
Melcer
Miller
Mostowicz
Nichols
Nowaczyński
Piasecki
Przedmieście
Rohmer
Roth
Singer
Sobański
Szołochow
Szpyrkówna
Walpole
Wast
Zweig Stefan

I. J. SINGER

JOSIE KALB

We współczesnej literaturze żydowskiej I. J. Singer, powieściopisarz i autor dramatyczny, zajmuje jedno z miejsc czołowych. Talent to poważny i dojrzały — pełen umiaru i taktu — doskonały znawca środowiska żydowskiego — artysta rzetelny i sumienny. Przedewszystkiem zaś bezstronny, rzeczowy, daleki zarówno od zacofaństwa, jak i od zdawkowej postępowości, — duchem wolny. Stąd budzi wielkie niezadowolenie wśród ortodoksów, chasydów, rabinów i cadyków, których opisuje. Ale dlatego właśnie jest tem ciekawszy.

Powieść Josie Kalb (czyli Józio Cielak) przeczytać powinni nietylko ci wszyscy, którzy lubią zajmujące i dobrze napisane powieści niecodzienne, pełne głębszego sensu, o nieprzemijającem w literaturze znaczeniu, ale i ci, którzy — dla jakichkolwiek celów, filosemickich, czy antysemickich — chcą naprawdę poznać świat niższych warstw żydowskich. I może nawet zwłaszcza antysemici.

Powieść ta cieszyła się wielkiem powodzeniem w świecie anglosaskim — zarówno w angielskiem wydaniu książkowem, jak i w przeróbce scenicznej. O ileż większy sukces powinna odnieść w kraju, gdzie miljony Żydów od setek lat mieszkają, tworząc naród mniej znany dla swych aryjskich bliźnich od wielu z dalekich, egzotycznych plemion!

Dla zrozumienia psychologji, etyki, religji, obyczajów, przesądów i zabobonów żydowskich, książka ta ma znaczenie poprostu pierwszorzędne. Wczytując się w nią — bo objektywny, czysty i prawy artysta, Singer jest dyskretny i n e poucza ani nie wykłada, on tylko maluje — zagłębiając się w tę książkę, rozumie się dopiero, w czem leży właściwa odporność narodu, który do dzisiaj przetrwał w odrębności swojej, gdy tylu innych jego rówieśników dawno zginęło już bez śladu.